

N^o 843

Witona

Wron Kowalski 180-3

K R E W N I .

J. W. S. Y.

K R E W N I.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. Korzeniowskiego.

Tom III.



WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1857.



Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 23 Lutego 1857 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

**INSTYTUT
BADAŃ HISTORICZNYCH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-350 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

1546

I.

Na początku grudnia, Kański, za wstawieniem się swego protektora, miał sobie dyety powiększone tak, że mu wynosiły po pięć złotych dziennie. Jest to najwyższe wynagrodzenie dyetaryuszów, dobrze widzianych, pilnych i zdatnych. Przy stole i stancyi, jakie Kański miał, była to pensya wcale znaczna, i mogła młodemu człowiekowi wystarczyć na porządne utrzymanie się, a nawet na pewną elegancyę, do której wszyscy w Warszawie dążą, i nie każdy z właściwą oględnością na jutro. Ale Kańskiemu wydała się ta summa w czwórnasób większą, niż była w istocie, i wzmogła jego wiarę, że mu wszystko już pójdzie jak z płatka, że to, co mu powiedział referent sekyi, a co

słyszał od sekretarza dyrektora wydziału, spełni się niezawodnie, że zatem najdalej za trzy miesiące dyety te zamienione zostaną na pensję etatową, i do dwóch tysięcy się powiększą. Na tej zasadzie zaczął więc młody człowiek budować czarowny zamek, który miłość wyzłociła i tęczo- wemi umalowała farbami; a wmówiwszy w panią Jelewską, że te nadzieje są pewnością, że to, co powiedział referent i sekretarz dyrektora wydziału, jest tak dobrze jak ewangielia, że zatem etat ma już w kieszeni, skłonił kobietę słabą, znękaną swemi cierpieniami, przeczuwającą blizki koniec i lękającą się przedewszystkiem zostawić córki swe w sieroctwie i bez opieki, że mu przyrzekła oddać Paulinkę i pozwoliła zająć się przygotowaniem gdzie na tejże samej ulicy małego lokalu.

Zdarzyło się, że ubogi krawiec, który zajmował na tym samym piętrze dwa pokoiki od dziedzińca, spotkał się raz z Kańskim na schodach i szedł z nim razem na górę. Kański wielką miał ochotę na te dwie stancye, jako tanie i na tym samym piętrze leżące. Wdał się więc w rozmowę z krawcem, i z wielką radością dowiedział

się, że krawiec niekontent ze swego mieszkania, że jest za wysoko i w takim zakącie, że nikt do niego trafić nie może, że go to zrujnuje zupełnie, jeżeli będzie musiał dotrzymać kontraktu, który jeszcze ma na dwa lata, że myśli pomówić z gospodynią, i w każdym razie wywiesi kartę. Miarkując się w swojej radości, zaczął mu Kański z daleka robić propozycyę, wszedł z nim do lokalu, niezmiernie brudnego i zarzuconego starzyzną, którą biedak ten reperował, i niezważając na brudy, zaklejone papierem okna, wyłamane drzwiczki od pieca, ułożył się z krawcem, kontrakt jego wziął na siebie i dawszy mu trzy ruble odstępnego, zszedł zaraz z nim do gospodyni domu i żądany złożył zadatek.

To zdarzenie taką mu dało radość, tak go utwierdziło w tej wierze, że co tylko przedsięwzięcie udać mu się musi, że pobiegł prawie bez tchu na górę, upadł do nóg pani Jelewskiej, potem ukląkł przed Paulinką i przysiągł im, że do ostatniego tchu życia będą miały w nim podporę, obronę i opiekę. Matka pobłogosławiła go ze łzami, Paulinka, która go serdecznie kochała, podała mu obie rączki, i dopiero zaczęły się układy, proje-

akta na przyszłość, wyrachowania kosztów, zwykle w takim różowym momencie daleko mniejszych od dochodu; zaczęło się dobieranie sprzęcików i porządkowanie tej siedziby zgody, pracy i miłości, która miała być rajem na trzeciém piętrze. Stało się więc, że zaraz po wyprowadzeniu się krawca, oczyszcza trochę owe dwie stancye, kupią tylko rzeczy najistotniejsze, parę łóžeczek jesionowych, małą kanapkę wyplataną i takichże sześć krzesłek, stolik jeden dla niego do pracy, drugi dla Paulinki do roboty. Debatowano długo, czy przydatniejszą będzie komoda, czy szafa, i stało się, że będzie i komoda i szafa, bo pierwsza konieczna na ich bieliznę, a druga na suknie i stroiki, nie tylko Paulinki, ale i te, które ona robić będzie dla przyczynienia dochodu. Firanki pokazały się także koniecznymi dla zasłonięcia brudnej części kamienicy, która była naprzeciw, i wazoniki z kwiatami także były rzeczą nieodbitą, bo jakże wyglądałby raj bez róż, lewkonij, hyacynków i rezedy. Na wszystko to kładł Kański ceny umiarkowane i summa wyszła wcale niewielka. Stało się przytém, że się obejdą jedną sługą, która z małego dodatku, jaki jej zrobi, będzie

bardzo kontenta i wystarczy wszystkiemu; że stół będą mieli wspólny, i jeszcze za stołownika przyjmą Ignasia, który doda z ochotą czterdzieści groszy dziennie, i będzie mu miléj i smaczniéj niż pod *Gruszką*; że dwa tysiące Kańskiego, które już były tak pewne, jak amen w pacierzu, półtora tysiąca z procentów pani Jelewskiej, drugie tyle z ich pracy, tysiąc złotych z tego, co przyda Ignas i co on jeszcze zarobi przez korepetycyą w tém miejscu, które ma teraz, i gdzie mu stół i stancyą na gotowiznę zamienia, złożą razem ogromną sumę sześciu tysięcy złotych, która przy umiarkowaniu, wytrwałości i zgodzie nietylko na przyzwoite utrzymanie wystarczy, ale jeszcze pozwoli kiedy niekiedy małej użyć przyjemności, pójść czasem na teatr, wyjść lub wyjechać na wiosnę gdzie za miasto, a nawet na wszelki przypadek choroby, lub jakiej nieprzewidzianej a i przewidzianej potrzeby, mieć jakie dwieście lub trzysta złotych w zapasie. Wszystko to było tak jasne, tak do przekonania mówiące i czarno na białém tak widne, że nawet matka nie wątpiła, że w tém wszystkim jest wola i zrządzenie Boże, że już teraz będzie mogła spać spokojnie i wyglądać bez trwogi

swego końca , o którego prędkim przyjsciu jak najmocniej w duszy była przekonana, choć nigdy tego przed dziećmi nie okazywała.

Trudno sobie wyobrazić, jak szczęśliwym był Kański. Ale jakkolwiek nie wątpił, że to wszystko tak się ziści jak sobie ułożył, bał się jednak zimniejszego rozsądku Ignasia, a lękając się w duszy, aby jaką perswazją nie złamał postanowienia matki, i rachunkiem prawdziwszym i weale różnym od tego jaki oni zrobili, nie przywiódł jej do odłożenia na czas tego związku, matkę i córki uprosił, że wszystko to robić się będzie w sekrecie przed przyjacielem, aby miał miłą siurpryzę wtedy, kiedy już prawie cała rzecz będzie gotowa.

Ignas wiedział dobrze o powodzeniu Kańskiego w biórze. A chociaż nie wierzył w tak prędkie jego przejście na etat, a do tego na pensyą jeszcze wyższą od dyet, szczerze się cieszył, że praca biednego i poczeiwego kolegi jest ceniona, że mu daje przyzwoite utrzymanie i dalszego kierunku nadzieję. Aprobował on także jego zabiegi i serdeczną miłość dla Paulinki, i pragnął z duszy, aby los Kańskiego mógł się ustalić, i aby

serca tak siebie godne mogły się z sobą kiedyś połączyć; ale nigdy mu nawet przez myśl nie przeszło, aby to mogło nastąpić teraz, zaraz, kiedy młody człowiek rozpoczynał dopiero swój zawód, i dla dojścia do czegoś na tej drodze, po której szedł, potrzebował całej swobody i sił, jakie daje myśl wolna i ręce zbyt ciężkimi obowiązkami nie spętane. Postrzegłszy więc widoczną zmianę w przyjacielu, który się uśmiechał, wyciągał najtrudniejsze tryle i na hazardowne puszczał się pasażę, który na jego zapytania, co mu się tak szczęśliwego zdarzyło, odpowiadał tylko: «alboż nie wiesz, alboż nie wiesz, zresztą obaczysz później.» Wniósł, że słowa te odnoszą się do owego dodatku, jaki do dyet swych otrzymał, natchnione mu są przez tę ufność, jaką miał w przyszłym swym powodzeniu, biorąc każdą nadzieję za pewność, każdą obietnicę za rzecz już dokonaną i niemogącą się zmienić. Przestał więc Ignas na tym wniosku i ruszając tylko czasami ramionami, na widok uszczęśliwienia przyjaciela, którego utaić nie mógł, o nic więcej nie zapytywał i niezwykłego jakiegoś zakrętu w domu krewnej swej nie uważał.

Stosownie do polecenia Eugeniusza, dowiadywał się Ignas w pierwszych dniach grudnia na Leszno, ale Kasztelaństwa jeszcze nie było. Postanowił więc przeczekać jeszcze parę tygodni i znowu się do mieszkania ich dowiedzieć. Około połowy miesiąca, odebrawszy swoje honorarium od stolarza, który kontent z jego pracy, zawsze mu je przed terminem wypłacał, poszedł na teatr Rozmaitości. Rzadko sobie Ignas tej uciechy pozwalał, raz dla braku funduszków, a potem dla tego, że mu wieczory miło i niepostrzeżenie w towarzystwie kuzynek schodziły. Ale tego wieczora dawano *Przyjaciół*, jedną z większych i lepszych sztuk Fredry. Oryginalna sztuka w teatrze warszawskim w roku 1840, była jeszcze niezmierną rzadkością. Wszyscy bowiem artyści w owym czasie, przejęci dawnymi tradycjami, nawet w talent Fredry nie wierzyli. A chociaż publiczność w każdym takim razie cisnęła się do kassy i wszystkie zapełniała miejsca, przypisywano to nie wartości dzieła, ale innym zupełnie względom. Ta sztuka znalazła wyjątek dla tego, że celująca ówczesna aktorka, której głos był przeważnym, miała tam rolę popisową, i mogła w niej rozwinąć i rze-

czywiste zasoby swego talentu, i wdzięk swego ułożenia, a nadewszystko gust swęj toalety. Wcześniej Ignasz i Kański opatrzyli się biletami; Kański wystroił się w swój zapasowy, nowy garnitur, wynajęli lornetkę na wspólny koszt, i oba z dobrymi minami, w czystych i nowych rękawiczkach, zasiedli w przedostatnim rzędzie krzesel, na miejscu środkowem, z kądem i scenę i wszystkich spektatorów mogli doskonale widzieć.

Pierwszy raz w uszach naszego bohatera zabrzmiała ze sceny ta jędrna mowa, te wiersze pełne dowcipu i treści, wymówione z owym wdziękiem, z owem doskonałym zrozumieniem i oddaniem każdego najdelikatniejszego odcienia, które było właściwem owęj znakomitej aktorce. Nie posiadał się więc z radości i w pierwszym międzyakcie, siedząc pogrążony w myślach o sztuce i o tych, co byli jęj tłumaczami, nie obejrzał się nawet na łożę, chociaż go Kański do naśladowania innych zachęcał.

—Przypatruj się, przypatruj sam — odpowiedział mu — po drugim akcie dasz mnie perspektywkę.

Jakoż gdy się drugi akt skończył, Kański trącił go w bok i rzekł mu:

—Patrzno! w czwartej łoży na lewo.

Ignas spojrzal i poznal swoja ciotke Herminie. Byla nadzwyczaj pieknie ubrana; brylanty swieciły w uszach i przy gustownem ubraniu na glowie; jedna ręką, obcisnieta biala rękawiczka i kosztowna bransoletka, okryta drogiemi koronkami, trzymala perspektywe ze sloniowej kości, a druga pieściła wonny zapewne bukiet z rzadkich w tej porze kwiatów. Sama jedna w łoży, obrócona byla prawie tyłem do sceny, i patrzyła śmiało i z uśmiechem ku krzesłom. W całym teatrze nie bylo kobiety tak wystrojonej, tak widnej, a nawet tak powabnej i ładnej.

Ignas odwrócił się prędko, żeby go nie poznała, a Kański rzekł:

—Uważaj, jak wszysecy mężczyzni ją lornetują.

—Widzę— odpowiedział Ignas— i każdy spojrzawszy uśmiecha się i coś szepeze sąsiadowi.

—A wiesz czemu?— rzekł Kański— oto temu, że tu w Warszawie wszysecy wiedzą, czem jest przystojna kobieta, która przychodzi tak wystro-

jona na teatr i siedzi sama jedna w łoży. Ale jeśli nie chcesz żeby cię poznała, nie podnoś teraz na nią głowy, bo cię podobno postrzegła i pilnie ci się przypatruje.

—Biedna!— rzekł Ignaś westchnąwszy smutnie— i powstawszy, oparł się na poręczy poprzedzającego rzędu krzeseł i obrócił się całkiem ku prawej stronie teatru. I z tej strony wszystkie łoże były napełnione. W każdej nawet było po pięć osób. W jednej tylko, ku środkowi posuniętej, było ich trzy. W głębi poważny mężczyzna z siwą głową, a na przodzie dwie damy, widocznie matka i córka. Matka słusznego wzrostu, przystojnej ale imponującej twarzy, ubrana z powagą odpowiadającą jej wiekowi, równie strojem jak ułożeniem i każdym ruchem okazywała jakąś wyższość położenia i stanu. Córka także widać słusznój kibici, pełna gracyi w ułożeniu swem, miała błękitną materyalną sukienkę pod szyję, z długimi rękawami, skromną, ale jakoś odziewającą ją lepiej, niż inną kosztowne stroją axamity; bujne i czarne jak heban włosy, gładko przyczesane, ozdobione tylko były zieloną gałązką, i drobnemi ponsowemi kwiatkami; czoło ja-

sne i białe okazywało zamyślenie, oczy miała spuszczone, a w całej twarzy bladłej, ale formnej i pięknej, wyraźny był jakiś smutek, jakiegoś głębszego zajęcie nie tēm co ją otaczało. Ignas tak się w nią zapatrzył, tak mu się wydała czēmściś wyższēm i niezwyčajnēm, że zapomniał o tēm smutnēm wrażeniu, jakie na nim widok wystrojonej i afiszującej rzemiosło swe ciotki zrobił. Wziął więc lornetkę i skierowawszy ją na pannę w błękitnej sukience, pilniej się jēj przypatrywał. W kilkanaście sekund potēm i właśnie w tēj chwili gdy ją widział najlepiej, panna podniosła rękę, potarła z lekka palcami czoło, potēm zwróciła oczy ku kurtynie i patrzyła tak przez długą chwilę niezmięniając pozycyi, jak gdyby chciała wzrok swój posłać gdzieś daleko za myślami, które ją odbiegały. Wtedy Ignas obaczył, że oczy te były błękitne, czarnemi otoczone rzęsami, pełne wyrazu i blasku; i wtedy także przyszedł mu na myśl Eugeniusz i prawie pewnym był, że to ta, o której on myśli patrząc na arcydzieła sztuki włoskiej, i która tu, gdzie się wszyscy śmieją i wesela, za nim posyła tęskny wzrok i może tęskniejszą jeszcze duszę.

To przypuszczenie, a raczej ta pewność, niezmiernie go zajęła. Nie z taką już uwagą słuchał trzeciego aktu, i podnosząc często wzrok ku loży, śledził jak słuchała tych mistrzowskich wierszów, często po mistrzowsku wymówionych. Oczy jej ciągle zwrócone były na scenę. Kiedy wszyscy klaskali i śmieli się, twarz jej wyrażała jakąś myśl poważną i głębsze zastanowienie się; w tych znowu miejscach, gdzie delikatny dowcip Fredry wydawał się w takim zbliżeniu obrazów, iż tej cieniutkiej nici, która je wiązała, tłum nie postrzegł, wtedy śliczny uśmiech rozjaśniał jej oblicze i lekkie kiwnienie głowy było jakby hołdem, który rozumna kobieta oddawała znakomitemu poecie. I wtedy uderzająca była pięknoscia, a na jej twarz blada i foremna zlewało się jakby widomie światło wyższej intelligencji. Ignas nie dziwił się teraz oczarowaniu, któremu uległ Eugeniusz i dopiero wówczas zrozumiał i zupełnie pojął to wszystko, co o niej brat pisał. Ale im piękniejszą, im wyższą istotą wydawała mu się ta, którą brał za towarzyszkę jego młodości i ideał jego bogatej wyobraźni, tem więcej żal mu go było, tem mniej przypuszczał, aby kiedykolwiek los i

okoliczności podnieść go mogły tak wysoko. Takie myśli rozlały smutek i zamyślenie po jego twarzy, zupełnie nieodpowiedne temu humorowi, jakim wyborna komedia napełniła wszystkich. Kański, który był dziś weselszym niż kiedykolwiek, sądząc, że go tak widok ciotki zasmucił, przez delikatność nie robił mu żadnych zapytań. Po teatrze rozłączyli się przyjaciele; jeden nocąc sekstet z *Lucyi* poszedł na ulicę Elektoralną, a drugi po komedyi Fredra myśląc o Rzymie wrócił na Podwale. Długo jeszcze Ignas chodził po swojej stancyjce, rozmyślając o dalszym losie brata. Wreszcie przyszło mu na myśl: A nuż to zupełnie kto inny?— i wtedy uśmiechnawszy się i ruszywszy ramionami, że może daremnie tak mocno się zafrasował, postanowił zaraz nazajutrz pójść na Leszno, zmówił pacierz, i z wyobrażeniem błękitnych oczów, ale weselszych i nie tak głęboko i daleko patrzących, zasnął.

Nazajutrz o godzinie drugiej wyszedłszy z bióra, stanął Ignas w mieszkaniu kasztelana. W sieniach zastał zaprzężoną karétę, a w przedpokoju lokaja w długim liberyjnym surducie, z kołnierzem obłożonym niedźwiedziem i z kapeluszem na

głowie suto ogalonowanym. Na zapytanie czy Państwo wrócili już ze wsi, odpowiedział mu lokaj, że pan kasztelan jest, ale zajęty, a pani zaraz jedzie z wizytami. Ignas, który teraz widział oczywiście, że wczoraj odgadł pannę Jadwigę w owej pięknej osobie, co go tak zajęła, chciał już odejść i w innym czasie probować szczęścia, gdy się drzwi otwarły, i wyszła ta sama dama i ta sama panua, które wczoraj widział, obie w salopach z futrem i w takich strojach na głowie, że to zapewne musiały być ceremonijalne wizyty.

Ignas zrzucił prędko z siebie płaszczyz i ukłonił się z uszanowaniem. Kasztelanowa spojrzała na niego z góry i zapytała:

—Do kogo acan masz interes?

—Jestem Ignacy Zabuzski— odpowiedział młody człowiek— brat Eugeniusza, który od Jasnie wielmożnych państwa tyle odbiera dobrodziejstw. Chciałem złożyć uszanowanie moje Jaśnie wielmożnemu kasztelanowi.

Gdy tak Ignas mówił patrząc w oczy damom, postrzegł, że wyraz twarzy kasztelanowej złagodniał, a oczy panny Jadwigi zwróciły się na nie-

go z zajęciem, i na lice jej lekki wystąpił rumieniec.

—Cóż acan tu robisz w Warszawie?— zapytała kasztelanowa.

—Pracuję w biurze w Komissyi Skarbu, i utrzymuję się z prywatnych lekcyj— odpowiedział Ignas, a to ostatnie dodał umyślnie dla tego, aby nie myślała, że przyszedł prosić o protekeyą lub wsparcie.

—To bardzo chwalebnie— odpowiedziała kasztelanowa— że acan własnymi siłami starasz się utorować sobie drogę na świecie. Chciałabym, żeby i Eugeniusz był trochę praktyczniejszym. To jedno tylko mam mu do zarzucenia.

Ignas postrzegł, że panna Jadwiga spuściła oczy, i że znowu twarz jej delikatnie poczerwieniała. Gdy w téj chwili pokazał się ów stary sługa, którego już Ignas znał, kasztelanowa rzekła:

—Pójdź powiedz panu, że brat pana Eugeniusza przyszedł, i że ja proszę, aby go przyjął.— Bohater nasz uklonił się, widząc w tych słowach znak uprzejmości, a ona kiwnawszy mu głową, dodała: —Nie mam teraz czasu dłużej z acanem mówić, ale proszę w niedzielę o czwartej na obiad—

i poszła, a we drzwiach rzekła do córki: — *Il a l'air intelligent.*

Panna obejrzała się jeszcze odedrzwi i kiwnęła mu głową z uśmiechem, a Ignas został sam jeden i myślał o tém wrażeniu, jakie wspomnienie Eugeniusza na pięknej téj pannie robiło; wniósł, że się brat jego nie mylił, wierząc w jej serdeczne zajęcie, że zatém tém większe życiu i pokojowi jego grozi niebezpieczeństwo.

Kasztelan przyjął go ze zwykłą sobie uprzejmością. Mówił mu o Eugeniuszu z prawdziwie ojcowskiem uczuciem, dodał, jak piękne ma o nim nadzieje, jak myśli już nad tém, gdzie i jakby go najlepiej ulokować, jak wróci z podróży, z której zapewne wiele skorzysta.

— Boję się tylko — dodał z uśmiechem — czy Eugeniusz trochę nie za nadto poeta. Nie bardziej biednemu chłopcu nie szkodzi w tym prozaicznym świecie, jak takie usposobienie. Ale cieszę się, żeś się zdecydował tu próbować szczęścia i przebijać się przez ciernie i głogi. Z listu księdza Zielenkowskiego, który do mnie pisał wtedy, gdyś się urządził w Lublinie, wiem, żeś chłopak praktyczny i nie lubisz wałęsać się my-

ślami w chmurach. Dasz dobry przykład bratu, i twoje rady będą skuteczniejsze, jak nasze. Któż ci dopomógł do ulokowania się w biurze? zapewne mój brat, u którego byłeś już, nieprawdaż?

—U pana referendarza byłem— odpowiedział Ignasz czerwieniąc się, a nie chcąc zdradzać przed kasztelanem sposobu, jakim był przyjęty, dodał: — ale rekomendacya brata Jaśnie wielmożnego pana już mi była niepotrzebną. Miałem list od hrabiego Adama S** i ten mi był dostatecznym.

—Spodzielam się, że był dostatecznym— odpowiedział kasztelan — i wiesz ci, żeś sobie zjednał protekcyą tak znakomitego obywatela. Pensi żadnej naturalnie nie masz.

—Utrzymuję się z korepetycyj matematyki— odpowiedział Ignasz — i mam dosyć. Obecnie więc ci mi nie potrzeba.

—Mało jest milionowych panów — rzekł kasztelan z uśmiechem — którzyby powiedzieć mogli, że im więcej nie potrzeba. Wiesz ci takiego umiarkowania. Możesz z niem zajść daleko. Przypominasz tém usposobieniem twojego ojca, do którego z twarzy jesteś cokolwiek podobnym. Daj ci Boże abyś był zupełnie do niego

podobnym z energii charakteru i prawości serca. Był to człowiek prawdziwie wyższy w swoim ograniczonem' położeniu. Szanowałem go nawet za tę dumę, która go oddaliła odemnie. Żal mi serdecznie, że tak prędko zszedł z ziemi, a szczególnie, że nie doczekał tej pociechy, jakąbyście mu obadwa przynieść mogli.

Ignas zalał się łzami, wziął rękę kasztelana i do ust przycisnął, a on pocałowawszy go w głowę, dodał:

—No, uspokój się poczeiwy chłopcze! Smutne to wspomnienie, ale cóż robić, taka była wola Boża, którą wszyscy szanować i poddać się jej musimy. W jakimże jest stanie wasze dziedzictwo?

—Nasze dziedzictwo— rzekł Ignas uśmiechając się przez łzy— jest w bardzo mizernym stanie. Ojciec nasz utrzymywał je z niezmordowaną pracowitością i przemysłem; po jego śmierci naturalnie upaść musiało. Obecnie ksiądz Zielenkowski znalazł uczeiwego dzierżawcę, który podjął się przyprowadzić do dawnego stanu wszystkie budynki, przez poprzedniego possesora zrujnowane. Cały więc dochód idzie na ten cel; dźwi-

gnienie howiem domu, gdzie mój ojciec mieszkał, uważałem za najpiérwszy obowiązek.

—Więc z dzierżawy nie masz nic? — zapytał kasztelan.

—Nic, Jaśnie wielmożny panie— odpowiedział Ignaś.— Ale mam stół, stancyą i odzienie, które mi wystarcza.

—A fraczek ładny masz?

—Fraga nie mam, ale w biórze nie jest mi potrzebny— rzekł bohater nasz czerwieniąc się.

—Spraw sobie ładny garnitur— rzekł kasztelan biorąc ze stolika trzy dziesięcio-rublowe papierki— bobym chciał, żebyś tu czasem u nas bywał i oswoił się cokolwiek z tym światem, jaki tu zastać możesz. Nie życzę ci abyś się piął do towarzystwa, w którym ci żyć nie przeznaczono. Jest to także choroba, która nie jednego biedaka zgubiła; ale otarcie się z ludźmi dobrze wychowanymi przyda ci się zawsze w życiu. Bo i któż zgadnie gdzie i jak los cię popchnie?

Ignaś zawahał się i nie wyciągał ręki po podawane sobie pieniądze. Kasztelan spojrział na niego ze współczuciem i uśmiechając się dodał:

—Pochwalam ci to, żeś nie łapczywy na da-

rowizny. Ale odemnie nie powinienes tego uważać za jałmużnę. Chcę i pragnę w każdym gwałtownym razie zastąpić ci ojca, który cię zawczasie opuścił.

Ignas wzruszony rzucił się na rękę szanownego człowieka, którą rzewnemi okrył pocałowaniem, wziął ofiarowany sobie zasilek, i gdy kasztelan zanotował sobie adres jego mieszkania, pożegnał go i poszedł.

Łatwo sobie wyobrazić w jakim stanie wracał do domu i jak ogromną między braćmi znalazł różnicę. Tego samego dnia w wieczór opowiedział kuzynkom, ze łzami w oczach, jak go przyjęli ci, których Eugeniusz słusznie dobroczyńcami swemi nazywa. Nazajutrz po godzinach biórowych, poszli z Kańskim po magazynach strojów męzkich i wkrótce ładny czarny garnitur, przypasowany do zgrabnej figury młodzieńca, był już w jego kuferku.

W niedzielę Kański był obecnym przy toalecie Ignasia, jako niby więcej bywały i znający wymagania warszawskiego świata. Zapinał jego frak, ogładzał i oczyszczał; chciał mu nawet dać swój łańcuszek od zegarka, utrzymując, że się dobrze wyda na czarnej atłasowej kamizelce; ale Ignas

nie przyjął téj próżnej i cudzej ozdoby, na którą ludzie bogaci i przywykli do rzeczy pięknych nie zwróciliby żadnej uwagi. Gdy już był zupełnie ubrany, obejrzał go jeszcze raz przyjaciel od stóp do głowy, jak oficer prowadzący żołnierza na ordynans, i puścił w imię Boże na wielki świat, na którym po raz pierwszy w życiu miał się obaczyć.

Ujrawszy się już na Lesznie, niepokoił się nasz bohater, czy się potrafi znaleźć w tém wysokim towarzystwie tak, żeby się nie wydał śmiesznym, niezgrabnym i takim, który nigdy ludzi nie widział i za piecem się wychował. Wyobrażał on sobie, że to tam musi być wszystko inaczej, że ludzie tacy nie tak jak wszyscy chodzą, siadają, jedzą i piją, że w każdym ich słowie i ruchu musi być coś szczególnego, kiedy sami widzą w sobie tak wielką od pospolitych ludzi różnicę, i tak są z niej pyszni. Wprawdzie niezmiernie prosty i naturalny sposób mówienia i postępowania hrabiego Adama i samego kasztelana, naprowadzał go na tę myśl, że właśnie dobre wychowanie, wyższe ukształcenie, o którym panowie tyle mówią, zależy na prostocie i naturalności, którą i

sam miał i od której nigdy nie odstępował; postanowił jednak w drobnych nawet rzeczach, w rozmowie, przy stole i t. d. przypatrywać się dobrze i mieć się na ostrożności, aby czémkolwiek nieprzyzwoitem, zbyt śmiałym i rubasznym nie zepsuć tego przychylnego wrażenia, jakie zdawało mu się, że nawet na kasztelanowej zrobił.

Zastał on parę salonów bardzo gustownie umeblowanych, ale postrzegł od razu, że porządek, symetria i nieprzeładowanie bogactwem było największą ich ozdobą. Domowi byli już zebrani. Kasztelan z uśmiechem uprzejmości podał mu rękę i zaprowadził do żony, która łaskawie na niego spojrzała i parę grzecznych i ośmielających słów wymówiła. Panna Jadwiga była w tej samej sukience, w jakiej ją widział w teatrze, nie wystrojona, a dziwnie piękna poważnym ułożeniem, myślą rozlaną po jej twarzy, wdziękiem i udatnością urody słusznej i zgrabnej, miękkością i gracyą każdego ruchu. Sama przystąpiła do niego i w kilku słowach, w których widocznym był wyraz prawdy i szczerości, wyraziła mu, jak rada że go pozna bliżej, jak jej to miło, że bę-

dzie mogła dziś pomówić z nim, na co przy pierwszym widzeniu się nie miała czasu.

Wkrótce za Ignasem weszło dwóch panów, których miny i ułożenie okazywały, jak pewni są siebie. Jednego nazwano księciem Januszem, drugiego księciem Henrykiem. Weszli oni w tej chwili, kiedy panna stała przed bohaterem naszym i z nim mówiła. Ignaś postrzegł, że na ich widok twarz jej blada, jeszcze mocniej pobladła, że na jednego z nich rzuciwszy wzrok, odwróciła natychmiast oczy, jak się je odwraca od przedmiotu niemiłego, któryby się chciało z widoku usunąć. Był to właśnie ten sam książę Janusz, dla którego panny referendarzówny tak leciały do okna, i którego zapewne tu poznały.

Książę Janusz, daleki krewny kasztelanowej, miał już lat trzydzieści kilka. Trochę łysy, włosów rudawych, siwych oczu, średniego wzrostu, wyprostowany i zadzierający głowę, miał coś nie miłego w wyrazie twarzy, zresztą nie brzydkiej i cokolwiek tylko piegami oznaczonój. Przez ubiór staranny, maniery pańskie i dumę arystokraty, przebijały się demokratyczniejsze nawyki satyra, który niebardzo wchodził w genealogię

tych Dryad, za któremi się po cieniach uliczek i brudnych schodków upędzał. Piętno obyczajów przedzierało się oczywiście przez pozłotę światową. Chociaż go Ignas pierwszy raz w życiu widział i niewiele jeszcze umiał czytać w tej księdze, jaką jest fizynomija ludzka, uderzył go jednak od razu ten wyraz, i dziwnie mu się niepodobał. Wrażenie zaś, jakie na P. Jadwidze zrobił, dało mu do myślenia, że to musi być jeden z tych, który w momentach poważniejszych życia, jako to, przy obliczaniu intraty, przy układzie budżetu, przy czytaniu raportów i listów rządcy, donoszącego, że dla podniesienia majątku potrzebna koniecznie jakaś oddzielna summa, której z dóbr wyciągnąć nie można, i o niej także zamyślał.

Gdy się przywitał z kasztelanową, przystąpił do P. Jadwigi, podał jej rękę z poufałością krewnego i zapytał po francuzku o jej zdrowie, dodając, że ją znajduje cokolwiek bledszą, niż była na wsi, i że to zapewne powietrze Warszawy musiało zepsuć to, co wieś naprawiła.

Wszystko to powiedziane było z wdziękiem i łatwością, okazującą człowieka, którego frazes

nie nie kosztuje, i który najpospolitszą rzecz umie ubrać tak, aby się wydawało, że w tém co mówi zamyka się interesowanie i głębsze znaczenie.

P. Jadwiga cofnęła zaraz rękę, a chociaż odpowiedziała grzecznie, ale odpowiedziała bez uśmiechu, niezmiernie seryo i tak, że nawet książę się zamyślił. Wtedy kasztelan zarekomendował mu Ignasia, jako brata Eugeniusza.

—A! brat Eugeniusza!— rzekł książę podnosząc głowę i niby przypominając. Potém nie rzekłszy ani słowa do bohatera naszego, obrócił się do kasztelana i o czém inném mówić zaczął. Takie obejście się dziwném się wydało młodzieńcowi, który o delikatności i wychowaniu ludzi żyjących na tak nazwanym wielkim świecie, wysokie miał wyobrażenie. Nie wiedział on jeszcze o tém, że wyrafinowana grzeczność i wyrafinowane grubijaństwo jest ową wielką sztuką, której sekret mają tylko panowie nasi, i którą w miarę potrzeby i interesu umieją doskonale przyciągnąć lub odepchnąć.

Drugi książę był to młodzieniec wypieszczony widać w domu zamożnym, ale przykrojonym zupełnie na wzór cudzoziemski, i tą wielką zasłu-

gą, w którą w owym czasie więcej wierzone, niż dziś, starającym się utrzymać swoją wyższość. Młodzieniec ten urodził się za granicą, nawet mleka polskiego nie kosztował, a co gorsza, że się tém chwalił. Wychowała go bona Szwajcarka, potem guwerner Francuz. Nie znał dobrze języka, którego się już później od sług nauczył. Wszystko to byłoby zwyczajną u nas zdrożnością, której wielu ulegało; ale książę Henryk afiszował ją umyślnie, szukał w niej chluby i zasługi, i popisывał się jakby z czem dobrem z błędami językowemi, które ojca i matkę śmieszyły. Przebaczali mu oni wszystko, bo czczył przedewszystkiem swój tytuł, i w żadnej okoliczności o nim nie zapomniał. Próżność tę do tego stopnia posunął, że raz, mając już lat szesnaście, stanawszy na dziedzińcu pałacu, w którym rodzice jego mieszkali, a niechcąc wchodzić na górę, zapytał lokaja stojącego w otwartem oknie: »Czy książę papa jest?» — Nie ma, odpowiedział sługa. »A księżna mama jest?» — Także nie ma. »A księżniczki siostry są?» i t. d. Chodziło to w swoim czasie po Warszawie i doszło do ojca i matki. Zamiast widzieć w tém śmieszność, ucieszyli się

oboje; ojciec rzekł, że dobrze, iż pamięta o swém pochodzeniu, a matka dodała, że czy będzie myślał po francuzku, czy po polsku, zawsze jednak godność rodu swego utrzyma. Dziś młodzieniec ten miał już dwudziesty drugi rok, a nie zmieniał się bynajmniej. Wszelkich towarzystw, gdzieby go wyśmiano unikał, garnął się więc szczególniej do dam, które przywykły go widzieć takim jak był, i nie miały mu za złe, że był niedoszłym i niedorzecznym francuzikiem z polskiem imieniem. Owszem, lubiły z nim szczebiotać, bo mówił doskonale po francuzku, najczystszym akcentem, dobornemi frazesami, i głosił, choć ciekim, ale miłym, który pieścił ich uszy. P. Jadwiga nie lubiła go, i odpowiadała mu najczęściej krótko i zawsze po polsku. Ale musiała nieraz słuchać jego szczebiotania przez wzgląd na matkę, która do imienia jego rodziców wielką przywiązywała wartość i chlubiła się ich dalekiem pokrewieństwem.

Gdy służący otworzył drzwi i dał znać, że obiad na stole, Ignaś postrzegł, że P. Jadwiga w tejże chwili odsunęła się od księcia Henryka i stanęła przy nim. Gdy więc widział, że książę

Janusz podał rękę matce, on to samo zrobił względem córki, która na pierwszy znak jego gotowości ramię jego przyjęła, i tak poszli razem i obok siebie usiedli. Pomiedzy nią i matką usiadł młody książę, i zaczął ją bawić opowiadaniem swojego pobytu na wsi, wyliczając jacy książęta i hrabiowie ich odwiedzali i u jakich książąt i hrabiów, on lub sam, lub z księciem papą, lub z księżną mamą bywał. Gdy P. Jadwiga nic mu nie odpowiadała, a kasztelanowa zrobiła mu jakieś zapytanie, które szerszej wymagało odpowiedzi, panna zwróciła się do Ignasia i zaczęła z nim rozmowę, z początku ogólną: jak mu się wydaje Warszawa, czy był w teatrze, i t. d. Stopniami zaczęła robić pytania, które go bliżej obchodziły i okazywały, że ją jego los i dalszy kierunek interesuje. Ignaś mówiąc jój o swych nadziejach i wyrażając ich niepewność, dodał:

—Eugeniusz szczęśliwszy w tej mierze ode mnie. Bóg mu dał opiekunów, którzy mu pomogli do wyższego ukształcenia i mają tyle dobrej woli i środków do pokierowania go na świecie.

—Czy pan sądzisz — rzekła P. Jadwiga z lek-

kiem zaczerwienieniem — że to panu wyjdzie na złe, żeś był zostawiony własnym siłom?

— Dotąd nie miałem powodu na to narzekać— rzekł Ignas.

— Ja sędzę, że i dalej nie będziesz pan miał żadnych — odpowiedziała, i twarz jej przybrała wyraz powagi i wyższości, który go zastanowił.— Życie bowiem, jak mi się wydaje, jest to trudny instrument, którego panem ten tylko być może, kto wcześniej z nim łamać się zaczyna. Niewprawnego grajka lada takt zmiesza i splącze. Mistrz w każdym razie da sobie radę. Pan jesteś na tej drodze mistrzostwa, i cieszyć się powinienes, że usposobienie twoje odpowiada twemu położeniu, a siły zawodowi, jaki masz przebiecz. Eugeniusz możeby nie wytrwał na tej drodze, jaką pan idziesz.

— Za to przed nim inna droga otwarta, dzięki temu dobrodziejstwu, jakie w domu państwa otrzymał—mówił Ignas—mój zawód ciasny i może podołam memu ograniczonemu zadaniu. Jego wyższy i rozległy, jak kraina męśli. Ale i on ma siły odpowiednie i mam nadzieję, że nie u-

padnie w połowie swojego biegu — dodał Ignas żywiej, z uczuciem.

Oczy panny Jadwigi były spuszczone, gdy to młody człowiek mówił; ale widać było, że ją słowa te przeniknęły, i że piersi jej wznosiły się prędszym oddechem. Po krótkiej chwili milczenia zapytała ciszej:

— Czy miałeś pan od niego jaką wiadomość?

— Miałem list z Rzymu — odpowiedział Ignas — Jest tam obraz jego wrażeń i myśli, jakie mu to wielkie miasto natchnęło. Może sądzę o tem po bratersku, ale mi się to zdaje tak napisaném, że z zdolności jego a może i o jego powodzeniu w zawodzie pisarza większe powziąć można nadzieje.

— Przynieś mi pan to, bardzo proszę — rzekła P. Jadwiga jeszcze ciszej i oko jej błysnęło jakby radością i dumą; potem dodała zlekka zaczerwieniona: — i oddaj pan to memu ojcu.

Ignas obiecał i na tem skończyła się ich rozmowa.

Gdy wrócił do domu, przejrzał jeszcze raz list brata, i w całej tej jego części, gdzie mówił o stolicy Piotrowej, nieznalazłszy nic, coby zdradzało

tajemnicę jego serca, usiadł zaraz i wziął się do starannego przepisania tej pracy, do której tak wielką przywiązywał wartość.

Trzeciego dnia poszedł znowu do kasztelana, a gdy przyjętym został, wręczył mu przepisany przez siebie wyjątek. Kasztelan spojrzawszy na spory i wykaligrafowany sekstern, jaki mu podawał, rzekł:

— Już mi moja córka mówiła o tej robocie Eugeniusza, którą podobno wysoko cenisz.

— Mogę się mylić JW. panie — odpowiedział Iguas czerwieniąc się. — Wiadomości moje są bardzo ograniczone i zdanie może być stronniem. W każdym razie praca ta daje tylko dowód, jak wielką wdzięczność brat mój JW. panu winien. Nie każdy z nas, w jego wieku, i przy równych nawet zdolnościach, potrafiłby takim okiem patrzeć na to, co on widział, i tak myśli i uczucia swe wyrazić.

— Obaczymy — rzekł kasztelan. — Bardzo rad będę podwójnie, i że Eugeniusz dobrze napisał, i żeś ty dobrze i trafnie go ocenił. Ale to nie jego ręka — dodał patrząc mu w oczy.

— Przepisałem to czyściej i wyraźniej — odpo-

wiedział Ignaś czerwieniąc się jeszcze mocniej.— On pisał za prędko i wiele tam rzeczy poprzemazywanych i nieczytelnych.

— Ładnie piszesz — rzekł kasztelan uśmiechnąwszy się nieznacznie — w twojem położeniu to przymiot bardzo użyteczny, o który młodzież dzisiejsza nie dba weale i źle robi. Czy widziałeś kiedy dawne pisanie ludzi starych, poważnych wiekiem i urzędem, i którzy więcej mieli na głowie, niż wy dziś macie.

— Nie JW. panie, nie widziałem nigdy — odpowiedział nasz bohater.

Kasztelan dobył z szafy sporą tekę, gdzie były autografy listów królów, hetmanów, wojewodów, biskupów i t. p. i kładąc ją przed młodym człowiekiem, rzekł:

— Przejrzyj to sobie, i uważaj, jak to u nas dawniej pisano, jak mniej więcej wszyscy starali się, aby pismo odpowiadało swemu celowi, i nie zadawało ciężkiej pracy tym, co je czytać mieli.

Ignaś zaczął przeglądać i przypatrując się charakterowi, mającemu tak wyraźne i oryginalne piętno, uprzytomniał sobie w myśli te poważne postaci, których ręka, złożwszy berło, miecz

lub pastorał, słowa te kreśliła. Kasztelan tym czasem wrócił do swojej sztalugi, przy której go młodzieniec zastał. Ggdy skończył i złożył tekę, rzekł kasztelan :

— A co? prawda. Nie jeden z waszych gimnazystów otrzymałby daleko prędziej posadę, gdyby tak pisał, jak Zygmunt III, a szczególnie jak Jan Kazimiérz, jak Karol Chodkiewicz, Stefan Czarnecki, Kościuszko lub książę Józef; jak Kromer, Maciejowski Bernard i Fredro Maksymilijan.

Ignas przyznał, że ma racyą i zaproszony znowu w niedzielę na obiad, pożegnał zacnego człowieka, dla którego coraz większym przejmował się szacunkiem.

W niedzielę po obiedzie P. Jadwiga trzymając w ręku skrypt Ignasia, usiadła obok niego i rzekła:

— Dziękuję panu, żeś prośbie mojej zadość uczynił. Nigdy nie wątpiłam o zdolnościach Eugeniusza. Widne one już były i wtenczas, kiedyśmy oboje byli dziećmi, i kiedy mi pomagał w tém, co dla mojej głowy kobiecej było za trudne. Ale z tego listu widzę, że umysł jego szybko dojrzewa pod słońcem Włoch, i że serce jego przejmuje się temi uczuciami religijnymi, bez

których każdy, mający w myśli autorstwo, które w mojem rozumieniu powinno być kapłaństwem, będzie lub oschłym pedagogiem, lub szkodliwym kusicielem. Szczególniej cieszy mię to, że znacznie przygotowany wprzód, jak należało, dojeżdżał do Rzymu, który słusznie nazwał ogromną księgą, którą wieki pisały. Zapewne ks. Augustyn wiele mu ułatwił; ale jest w tem widoczna usilność i samego Eugeniusza. Z listów mego brata widzę, że mu i światły ten towarzysz nie wiele pomógł. Cały ten obraz, który mię zapalił chęcią widzenia tej stolicy dawnego świata, wpiisałam sobie do mojej książki, w którą wpisuję wszystko to, co mię w czytaniu mem najwięcej uderza. Rodzicom moim także się to podobało, i cieszą się, że ich dobra chęć tak piękny wydaje owoc. Zwracam panu pański kajecik, który może ci się przyda dla pokazania go kolegom — i oddając skrypt Ignasiowi, który ją słuchał ze czcią i przejęciem, tak seryo mówiła, i jak muza jaka, tak była piękną i poważną, dodała:—Jutro mamy wiliję. Nie wiem czy mama pana zaprosi; a choćby cię zaprosiła, nie wiem czy będziesz mógł być u nas. Masz więc pan tu opłatek. Rozłam go

w domu na połowę. Jedną zachowaj dla siebie, na znak mojej życzliwości, a drugą przeslij pan w liście swym tam, gdzie zapewne ten szanowny zwyczaj przodków naszych nie jest obserwowany.

Te ostatnie słowa wymówiła głosem, który wyraźnie zadrżał, i nie czekając odpowiedzi wzruszonego do gruntu serca młodzieńca, powstała i odeszła. Ignasz wziął sekstern i opłatek leżący na nim tak, że był niewidocznym, schował nieznacznie ten dar, drogi dla siebie, a stokroć razy droższy dla Eugeniusza, i nie zabawiwszy długo, tak mu pilno było do domu i do stolika, pożegnał się i wyszedł. W pierwszym tedy uczuciu uszanowania, jakie powziął dla domu, w którym się brat jego wychował, i uwielbienia dla tej młodej kobiety, o której niezmiernie wysokie powziął wyobrażenie, napisał do Eugeniusza list nie długi, ale ile można szczegółowy, w którym zdał mu sprawę ze wszystkiego, co zaszło. Doniósł mu więc że już ją widział, że ją odgadł w teatrze, porównywając wyraz jej twarzy z tym obrazem, jaki mu on w listach swych skreślił; dalej mówił o przyjęciu jakiego doznał od kasztelana, i o rozczuleniu, do jakiego go zaczął ten człowiek przy-

prowadził. «Póki żyć będę, pisał, nie zapomnę obu tym braciom sposobu, jakim każdy z nich wspominał o naszym ojcu. Zapytanie referendarza, jak się ma krewny, o którego śmierci wiedzieć był powinien, i który od pięciu lat w grobie, wiecznym napełniać mię będzie wstrętem; jak nawzajem do niezgasłej wdzięczności obowiązują mię słowa kasztelana, malujące szczerzy szacunek i współzucie, i które mi rzewne łzy wycisnęły.» Opisawszy potem niedzielny obiad i dawszy obraz dwóch tych panów, którzy na nim byli, nie mówiąc wszakże, aby nie martwić Eugeniusza, iż mu się zdaje, że jeden z nich jest konkurentem, doniósł mu, jakim sposobem w rozmowie z panną przyszło do tego, że wspomniał o obrazie Rzymu, który mu w liście swym przesłał; jak z widoczném wzruszeniem i radością panna Jadwiga słuchała go, gdy pracę tę chwalił, i prosiła, aby ją jej przyniósł; wspomniał o rozmowie swój z kasztelanem, gdy mu przepisany przez siebie sekstern oddał, i nareszcie przytoczył prawie dosłownie to, co mu na drugą niedzielę panna Jadwiga powiedziała. List jego kończył się temi słowy: «Masz tu więc kochany Eugeniuszu wszyst-

ko, co cię interesować może. Dar, który ci przesyła, obwinąłem umyślnie w twardy papier, żeby się nie starł na poczeie. Nie polecam ci, abyś go szanował; bo jeżeli dla mnie ten upominek jest drogim, czémże będzie dla ciebie? Widzę w tém jęj myśl i serce, że dla przypomnienia się tobie nie co innego wybrała, ale tę okruszynę poświęconego chleba, w którym zamyka się znak męki i zbawienia, który u nas tylko uświęca tę ucztę rodzinną, tak miłą i pamiętną dla dzieci i rodziców, dla braci i siostr, dla wszystkich serc blizkich i spojonych z sobą najświętszemi ogniwami krwi i miłości. Nie mogę ci wypowiedzieć, jak wyglądała wtedy, kiedy mówiła to, com ci tu prawie dosłownie przytoczył, jak drżał jęj głos, kiedy mi polecała, abym w domu rozłamał ten upominek na dwoje i drugą połowę przesłał tobie. Im bardziej ją poznaję, tém więcej przekonywam się, że nigdy mężczyzna nie może tak prędko dojrzeć głową i sercem, jak kobieta. Ja jestem smarkacz w porównaniu z nią, chociażśmy równi wiekiem. Ona mi się wydaje czémścis tak wysokiem, tak czystém, tak pozbawioném wszelkiego przy-mieszania tej gliny ziemskiej, z której żaden, by

najszlachetniejszy mężczyzna zupełnie oczyścić się nie może, i która zawsze brudzi myśli, że nie wiem, czy się znajdzie taki, coby jój był godnym, nie wyjmując i ciebie, który ośmielasz się ją kochać. Nawet wstręt mię jakiś bierze, gdy pomyślę, że i ona pójdzie kiedyś za mąż, i że z istoty takiej, iż ci jój teraz ani nazwać, ani opisać nie umiem, zrobi się zwyczajna kobieta. Przynajmniej ten grzech ciężcyć nie będzie na tobie, mój biedny Eugeniuszu! bo wierz sobie jak chcesz w jój przywiązanie, które zapewne masz, spodziewaj się, że się zrobi cud na tym świecie, i że ci raptem przybędzie jeszcze ze sześć lat wieku i ze sześćdziesiąt tysięcy intraty, co i jedno i drugie jest ci nieodbitcie potrzebnem, a ja ci powiadam, że ani cię ta wiara nie zbawi, ani te nadzieje nie staną się duszą i ciałem. Poznawszy ją nie dziwię się, że ją czειςz i kochasz, ale na wszystko zaklinam cię Eugeniuszu! idź do tój świątyni, gdzieś się czuł tak małym, a gdzie Bóg jest tak wielkim, upadnij na twarz przed jego ołtarzem i proś go, aby z miłości twej odjął wszystkie ziemskie nadzieje, które cię zgubią i lot twój zwiehną, a zostawił ci ją taką, jaka jój godna, jaką się

tylko wybranych jego kocha. Taka jedynie miłość stanie się ozdobą i dumą twego życia, stanie się podniętą twój działalności i potężnym myśli twój skrzydłem. Nie gniewaj się na mnie, że różgą rozsądku rozpędzam te mary w tęczowych sukienkach, które cię otaczają i zwodzą. Takie jest moje przekonanie, a może i powinność. Czy cię sprowadzę na taką drogę, na jakiejbym cię chciał widzieć, tego nie wiem; ale dałbym kilka lat z życia, żeby to nastąpić mogło. Bądź więc zdrow i mocuj się z sobą, abyś się stał panem tego instrumentu, jakim jest życie i grał na nim jak mistrz, ze swobodą myśli i biegłością, która partaczów zadziwia. Powtarzam ci tu jej słowa, jej oznaczenie życia i walk, jakich ono wymaga. Tém bardziej więc utkwić ci to powinno w głowie i sercu, tém świętszą powinna ci być ta przestroga, że od niej pochodzi.

Wiliję nazajutrz przepędzili na Święto-Jańskiej ulicy. Była to uczta uboga, ale serdeczna. Gdy przyszło do łamania się opłatkiem, przystąpiła Paulinka do matki i wzruszona tą myślą, że może raz ostatni, jako zupełnie do niej należąca, z nią się tym tajemniczym chlebem łamie, rozplaka-

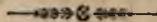
ła się i do nóg jej upadła. Kański był tuż przy niej i ukląkł także. Matka położyła ręce na ich głowach, i błogosławiła w myśli dalszemu ich życiu.

Ignasia nie zadziwił wcale krok i śmiałość Kańskiego, wiedział bowiem że matka przyzwalała na tę skłonność, jaką w córce swjej dla niego widziała. Ale nie myśląc wcale, żeby to było błogosławieństwo, mające tylko kilku tygodniami poprzedzić ich związek, coby go było zmartwiło, i inne podałoby mu myśli, wzruszył się tym widokiem, i spojrzawszy na Julkę z miłością i z przywiązaniem, szepnął jej:

— A ty siostrzyczko! kiedy i z kim tak uklękiesz?

Julka nie na to nie rzekła, ale błękitne jej oczy podniosły się na wzruszonego młodzieńca, łza wielka i błyszcząca jak perła stanęła na czarnych jej rzęsach, i rumieniec, który oblał jej twarz, dał odpowiedź na to pytanie, które widać serce jej zrozumiało. W chwili tej była tak piękną, ale razem tak pociągającą powabem szczęścia, jakieby dać mogła, tak podobną była do ślicznego kwiatu, który nie spada z jakichś górnych

stref, ale wychodzi z ziemi na to, aby był jej ozdobą i napawał rozkoszą swych barw i woni, że Ignas ucieszył się, że nie jest tak wysoką i wywołującą tylko cześć istotą jak tamta, że ją może kochać taką miłością, która stanie się udomowieniem i światłem tej trudnej drogi życia, co się przed nim otwierała, i że ją od niej tylko zbyt duża jego młodość i wspólne ubóstwo oddziela. Czas doda mi lat, pomyślał wtedy, a ubóstwo nasze zwycięży moja praca. To przekonanie o jej wzajemności, to postanowienie mocne i niezłomne dało mu najlepszy humor i wieczór ten należał dla nich wszystkich do najszczęśliwszych chwil życia. Byli oni za nadto młodzi, za nadto niedoświadczeni i zajęci sobą aby wiedzieć mogli, że zwykle takie chwile niewymównego szczęścia są przepowiednią i wigilią ciężkich frasunków i tych burz, które łamią bez miłosierdzia najpiękniejsze takich wiosnianych momentów zasiewy.



II.

W parę tygodni po Nowym Roku Kański, którego postępowanie było dla Ignasia coraz bardziej zagadkowym, zaprowadził w niedzielę bohatera naszego na summę do Ś. Jana. Torował on drogę koledze przez tłum który napełniał kościół, i ciągnął go za sobą tak, aby byli na przeciw ambony i każde słowo kazania słyszeć mogli. Gdy się kazanie skończyło i ksiądz zaczął wyliczać regestr zabierających się do stanu małżeńskiego, postrzegł Ignas jakiś niepokój na twarzy przyjaciela i wkrótce z prawdziwem zmartwieniem dowiedział się sekretu, który mu wszystko, czego dotąd i w domu krewnej i w postępowaniu Kańskiego nie rozumiał, wytłómaczył. Zwykłym tym tonem, jedno-

stajnym i równym, z którego żadnej wróżby na przyszłość wyciągnąć nie można, przeczytał książkę: Aleksander Kański, urzędnik Komissyi Skarbu, kawaler, z Pauliną Jelewską, panną, zapowiedź pierwsza.

Wtedy Kański, widząc że Ignas spójrzył na niego jakby z żalem i pobladł jak ściana, wziął go za rękę i zapytał:

— Co ci jest? czemuś tak pobladł?

— Usłyszałem zapowiedź biedy, frasunków, a może i nieszczęścia téj, którą nie powinienes być gubić za to, że cię pokochała.

— Zwaryowałeś—rzekł Kański cokolwiek zmieszany— chodź, ja ci wszystko wytłómaczę.

— Nie mi nie wytłómaczysz — rzekł Ignas. — W czém nie ma rozsądku, na to najbieglejszy nie znajdzie racyi, któreby przekonały. Czułeś to pewnie i sam, że płocho narażasz i siebie i tę, którą kochasz, kiedyś tań się przedemną z tym projektem wtedy, gdy jeszcze był czas wyperswadować ci pośpiech, który cię zgubi.

— Ale dajże pokój. Chodźno, chodź, a obaczysz, że to nie tak straszne, jak ci się wydaje — odpowiedział Kański i wyciągnął Ignasia z kościoła.

Poszli więc na Podwale, do stancyi bohatera naszego, i tam jak mu zaczął młody człowiek, ufny w swoją przyszłość, wyklądać wszystkie swoje nadzieje, liczyć i obliczać wszystkie dochody i wydatki, upewniać go, że to jest życzeniem matki, która coraz czuje się słabszą, i myśli prędkiego końca swego odpędzić nie mogąc, boi się, aby dzieci swych nie zostawiła bez opieki; jak go zaczął prosić i błagać, aby szczęścia jego nie psuł nie tylko perswazyą i odradzaniem, ale nawet taką miną, któraby mogła do serca kobiet rzucić jakąś trwogę i niepewność, dokazał tyle, że chociaż rozsądnego młodzieńca nie przekonał i nie uspokoił, wymógł jednak na nim obietnicę, że niczém nie okaże, iż to uważa za krok pospieszny, który całej rodzinie może wyjść na złe.

— Nigdy nie zapomnę — rzekł mu Kański — tego momentu, kiedym stanął po raz pierwszy przed tym domem, gdzie się rozwiązała zagadka mojego życia, i gdzie niby usłyszał jakiś głos tajemniczy, który mi powiedział: jeżeli tu nie znajdziesz swojego szczęścia, to go nie znajdziesz nigdzie. Zkądże mi to przyjść mogło, jeżeli nie

ztamtąd, z kąd płynie dla człowieka wszystko dobre i zbawienne, z kąd pochodzi kierunek jego woli, i ta łaska, która go oświeca o jego powinności i przez mowę sumienia, niewyraźną tylko dla tych co jej rozumieć nie chcą, uczy go, co ma robić, a co zaniechać. Myślisz, że i mnie rozsądek nie mówił, że to jeszcze za wcześnie, że lepiej zaczekać, że zwiążę sobie ręce i spętam swe nogi. Wierz mi, nie jestem ja tak płochym, jak ci się może czasem wydaję, i jakim mię dziś kilka razy nazwałeś, abym nie wiedział o tém, że każdemu, komu nawet najlepiej idzie, może się urwać i niedopisać. Ale dla czegoż nie mam ufać, że ja w tej mierze będę wyjątkiem, kiedy postanowienie moje nie zasłużenia niczém na to, aby mi się powinęła noga, jest tak mocnym, jak świętém jest to zobowiązanie się, które biorę na siebie. Mówię ci to seryo, z powagą, która mi nie jest zwyczajną, bo przysięgam ci drogi Ignasiu, na tę przyjaźń, jaką mam dla ciebie, że do tego pośpiechu nie nagli mię niecierpliwość zostania co prędzej mężem ślicznej dziewczyny, która mię kocha, ale jakiś głos tajemny, głos mego sumienia, który mi mówi: nie odkładaj, bo to twoje

przeznaczenie, abys dla nich pracowal, abys byl ich podpora i opieka. I bede, klnę sie Bogiem i tem wszystkiem, co dla ucziwego czlowieka jest swietem—dodal Kański z dziwnem wzruszeniem i lza w oku.—A chočym miał dzien i noc nie wstawac od stolika i oczy wypisac, na niczem zbywac jej nie bedzie i niedostatek nie zmiesci sie tam, gdzie wytrwalosc, praca i umiarkowanie wszystkie zajmą katy.

—Wolałbym, zeby to nastapilo pózniej—rzekl Ignas, tknięty tem wzruszeniem przyjaciel. —Ale kiedy juz inaczej byc nie moze, niech ci Bóg dopomaga. Powiedzialem ci kiedyś, zem twój do śmieci, i powtarzam ci to teraz. W razie potrzeby, bedziemy pracowac razem. Daj tylko Boze, aby ta praca byla skuteczna. Bo ze mi bedzie rownie miła jak tobie, tego ci mówic nie potrzebuje.

—Nie bój się, wszystko będzie dobrze—zawołał Kański, wracając do zwykłej sobie ufności i humoru, i uściskawszy Ignasia, z którego twarzy nie znikła obawa o dalszy los krewnej i przyjaciela, zaprowadził go do tej stancyjki, już prawie gotowej, co miała być ich rajem.

Było tam już czyściutko; a chociaż umeblowanie było bardzo skromne i składało się z rzeczy najistotniej potrzebnych, wymówił się jednak Kański mimowolnie, że wszystko to kosztuje prawie dwa razy tyle, niżli pierwsiastkowo wyrachował.

— Tak będzie we wszystkiém później— rzekł mu Ignas, niepodzielający jego uniesienia dla formy krzesłek i doskonałych zamków stolika i szafki, któremi tamten bawił się jak dziecko.

— Nie bój się— odpowiedział Kański— wszystko to wynagrodzi się potém, jak się uregulujemy. W każdój rzeczy początek jest trudny. Nie miałem doświadczenia i cierpliwości, i to i owo przepłaciłem.

— Zkądże na to dostałeś pieniędzy— zapytał Ignas.

— Trochę dała matka, trochem pożyczył— odpowiedział Kański spuszcżając oczy.

— Więc od długów zaczynasz, cóż będzie jutro?— zawołał Ignas.

— Dla mnie jutro zawsze jest lepsze od dnia wczorajszego— odpowiedział Kański.— To dług taki, który mam odrobić, a w tém wiész, że nie

chybię i sił mi stanie. Nie myśl więc o tem proszę cię, a nadewszystko nie wspominaj nie na tamtej stronie, i nie miej takiej zafrasowanej miny. Daj mi słowo, że będziesz wesoły.

Ignas przyrzekł, że zrobi z siebie co będzie mógł i poszli do kobiet, które ich z obiadem czekały. Pomimo całej usilności obu młodych ludzi, obiad nie był wesoły. Matka z córkami były także w kościele i słyszały zapowiedzenie aktu, który miał o losie jednej z nich stanowić. Oczy więc wszystkich były zapłakane i usposobienie uroczyste. Gdy Ignas wszedł i uściskał rękę pani Jelewskiej, ona objęła jego głowę, przycisnęła ją do swych piersi i rzekła:

—Więc już wiesz o wszystkiem,

— Wiem, droga wujenko!— odpowiedział Ignas, gdyż taki jej zawsze dawał tytuł.— Da Pan Bóg, że to będzie dobrze.

— Mam nadzieję w łasce i miłosierdziu Jego— odpowiedziała— młodzi są oboje, zdrowi i pracowici, kochają się i wiedzą o tem, że nie wystawa i próżność, ale pokój serca i przestawanie na tem, co jest, dają szczęście? Ubodzy są oboje, to prawda, ale jak się złożymy wszyscy, to

wystarczy na kawałek codziennego chleba. A choćbyśmy nawet mieli dobry apetyt przy zdrowiu, zawsze jednak rąk będzie dwa razy tyle, jak żołądków. Zresztą będę mogła umrzeć spokojnie, wiedząc, że biedne te dziewczęta zostaną pod opieką uczciwego człowieka, któremu Pan Bóg dał rozum i obyczaje, i któremu się pewnie poszczęści.

Ignas nie zbijał jęj w niczém, ścisnął tylko rękę Paulinki, życzył jęj aby była szczęśliwą, i na tém się rozmowa o tém skończyła. Gdyby śliczna ta panienka wychodziła za mąż za jakiego bogatego panicza, pysznego rodem i imieniem, gdyby robiła tak nazwaną świetną partją, słowem gdyby tu na piérwszém miejscu była próżność i nadzieja olśnienia oka ludzkiego niespodziewaném szczęściem, któreby miało obudzić zazdrość i podziwienie, ileżby to w kółku familijném było do gadania po piérwszój zapowiedzi, ile powinszowań, ile opowiadania o przyszłych meblach i wystawie, o koniach i ekwipażach, o miejscu gdzieby mieli żyć, i o tych wszystkich miastach i krajach, po których mieliby jeździć i szczęście swe, jak ogon pawi przed okiem ludz-

kiem roztaczać. Ale tu każde z nich czuło, że za pośpiesznie usłuchali serca, że życie ich będzie trudem i mokołem, że ani zazdrość, ani podziwienie ludzkie nie osłodzi tych goryczy, które zaprawić mogą dni i godziny, jeżeli rachuby omylą, nadzieje zawiodą, siły nie wystarczą i do nektaru miłości, żal po niewczasie przymiesza cierpkie swe i gryzące krople. Każde więc z nich miało więcej do myślenia, niż do mówienia, i dla tego przy stole powszechnie prawie panowało milezenie.

Po obiedzie, gdy matka wyszła do drugiego pokoiku przedrzęmac się, a może pomyśleć i popłakać w samotności, gdy Kański usiadł przy Paulinee, tuląc jej rączkę i starając się ją rozweselić całym zapasem tych nadziei, których mu Bóg dał tyle, Julka przystąpiła do Ignasia, który stanął sobie przy oknie i zamyślił się, i rzekła:

— Smutny jesteś, braciszku.

— Teraz już nie— odpowiedział Ignas z uśmiechem i patrząc na śliczną dziewczynę, której wzrok go przenikał.

— A czemuż byłeś smutny?— zapytała czerwiniąc się.

— Czy mam prawdę powiedzieć.

— Zawsześ powinien mi mówić prawdę.

— Nawet taką, która jest dla mnie najdroższą tajemnicą?— rzekł Ignas, którego wzrok tę tajemnicę zdradzał.

— Takiej nie mów, bo jak przestanie być tajemnicą, to może ci nie będzie tak drogą— odpowiedziała jeszcze mocniej zaczerwieniona.

— A jakiej-że chcesz prawdy?

— Już więc zapomniałeś, o com się pytała?— rzekła z minką niby nieukontentowaną, z którą jej było niezmiernie ładnie.— Więc nie tylko możesz być smutnym, ale i roztargnionym. To źle braciszku. Mężczyzna powinien być zawsze przytomnym, czynnym i pewnym siebie w każdym zdarzeniu. Ja nie lubię ludzi roztargnionych.

— Więc mnie nie lubisz, siostrzyczko!

— Kiedyś smutny i roztargniony— odpowiedziała z wyrazem oczu, które mówiły zupełnie co innego niż słowa.— Z roztargnionym, nawet rozmówić się nie można i trzeba go prowadzić

pytaniem, jak się prowadzi ślepego, żeby gdzie w dół nie wleciał.

— Prowadź mię więc siostrzyczko! chciałbym być i ślepym, byleś ty mnie prowadziła.

— Ale ja sobie tego wcale nie życzę. Owszem, tyś powinien mieć dobre oczy i umieć patrzeć za siebie... i za mnie— dodała spuszczać wzrok ku ziemi. A gdy Ignas uradowany chciał wziąć jej rękę, cofnęła ją, założyła obie rączki za siebie i podnosząc oczy, rzekła— nie ręką braciszku, ale pytaniami cię poprowadzę. Czy apróbujesz to, co się tu dzieje?

— Nie— odpowiedział Ignas.

— I dla tego byleś smutnym i zamyślonym?

— Dla tego.

— Otoż widzisz, i ja nie apróbuję tego, że się to robi tak prędko i pośpiesznie— mówiła Julka seryo i ciszéj.— Nie dziwię się temu, że pan Alexander tak kocha Paulinkę, bo i ja Kocham ją więcej niż sama siebie, bo nie widziałam jeszcze w Warszawie panienki tak ślicznej jak ona, a takiego serca pewnie na całym świecie nie ma. Ale ja myślę, że można kochać i bardzo nawet kochać i czekać rok, dwa i trzy i

cztery, póki wszystko nie złoży się tak, żeby wspólnemu życiu nie przeszkadzały te głupie troski, które psują każdą radość i wszędzie muszą swoje trzy grosze wścibić. A on najlepszy człowiek, ale jak mama zbyt wierzy wszystkim ludziom, tak on ślepo wierzy swoim nadziejom. Nie prawdaż braciszku, że to trochę nierozsądnie.

— Nawet bardzo— odpowiedział Ignasz spojrzawszy smutno na parę, która zajęta sobą, nie słyszała ich wcale.

— Dla tego też i mnie to martwi i czasem w nocy nie śpię, jak o tém wszystkiém myśleć i rozmyślać zaczę— mówiła Julka— ale trudno było perswadować, kiedy pan Alexander tak jakoś wszystko to dobrze wyłożył i obrachował, iż pokazało się, że jak będziemy wszyscy razem i jak każde z nas obydwoma rękami coś do wspólnego woreczka dołoży, to nam nawet będzie lżej i wygodniej jak teraz. Mama uchwyciła się tej myśli, tém bardziej, że wie, jak to uszczęśliwi Paulinkę, która go niezmiernie kocha, i że mamie od nicjakiego czasu przyszło do głowy, że prędko umrze i nas zostawi bez żadnej opieki i obrony. Nawet ja z początku, widząc jak to po-

dwoiło zdrowie i radość Paulinki, uwierzyłam tym wszystkim kalkulacyom pana Alexandra. Dopiero później, kiedy już stancya była najęta, i różne expensa porobione, kiedy już sobie nabili głowę, że wkrótce do siebie należeć będą i nie ich nie rozdzieli, zaczął mię jakiś strach ogarniać i wszystkie rozsądne perswazye przyszły po niewczasie.

— Szkoa żeś mi od razu nie powiedziała— rzekł Ignaś.

— Kiedy pan Alexander uprosił nas wszystkich, żeby przed tobą, rozsądny braciszku— rzekła Julka, poglądając nań filuternie— był sekret, żeby ci zrobić siurpryzę. Ja myślałam zrazu także, że ci to będzie przyjemniej; ale potem czułam to, że i ty się tém trochę zmartwisz, i świerbiał mię nie raz język; ale cóż? dałam słowo i mileżałam. Teraz dopiero mówię ci, jak myślę, ale razem chcę cię o jedną rzecz prosić.

— Wszystko zrobię, co chcesz siostrzyczko— rzekł Ignaś.

— Może też Bóg da— mówiła dalej Julka, patrząc na niego rzewniej— że to nie będzie tak

źle, jak nam się wydaje. Serce, kiedy bardzo kocha, to się czasem niepotrzebnie straszy. Zresztą pokalkulowawszy dobrze, byleśmy miały zdrowie i robotę, to nam to wspólne gospodarstwo wystarczy. Dla tego zrób tak braciszku jak ja; martw się sobie cichuteńko, ale nie pokazuj im tego, że się martwisz. Bo widzisz, to najprzód przykro będzie mamie, gdyż to od niej najwięcej zależało, i ona temu pośpiechowi najbardziej winna; powtóre, zasmuci się bardzo Paulinka, i pomyśli sobie, że to szczęście, którego ona tak bardzo pragnie, nie musi być prawdziwem szczęściem, kiedy ci, co ją kochają, martwią się tylko i frasują, zamiast się cieszyć; a nareszcie pan Alexander będzie w rozpacz, bo już ci to wszystko przez niego, przez jego niecierpliwość i zbyteczną ufność w losie, któremu on wierzy jak najlepszemu przyjacielowi. A jabym nie chciała, żebyśmy mu naszymi kwaśnymi minami zatruwali taki szczęśliwy moment, bo to człowiek oddany nam duszą i ciałem, a ja szczególnie mam dla niego wielką wdzięczność.

— Ty siostrzyczko. A za cóż to?— zapytał Ignas.

— Czy mam ci prawdę powiedzieć?— zapytała patrząc mu w oczy.

— Zawsze powinnaś mi mówić prawdę— odpowiedział Ignas powtarzając jej słowa.

— Nawet taką, co jest dla mnie tajemnicą?— rzekła ciszej.

— Nawet taką, droga siostrzyczko— mówił Ignas biorąc jej rączkę.

— Gdyby nie on, braciszku! to byśmy się pewnie nigdy w życiu nie spotkali— odpowiedziała z drzeniem, cofnęła rękę i wybiegła z pokoju. Ignas ścigał ją wzrokiem, póki drzwi nie zamknęła, potem obrócił się do okna, przytknął płonące czoło do chłodnej szyby, zaczął marzyć o przyszłości, a przez te rojenia, w których mu nie przedstawiało się wyraźnie, w których mieszały się z sobą obrazy tych wszystkich twarzy, które kochał, przeciągał jakby promień jasny, który trysnął z jej oka wtedy, gdy mu przyznała się, jak jest szczęśliwą, że się spotkali w tém życiu.

Wkrótce Ignas, jak i inni oswoił się z tém wyobrażeniem, że młodzi ludzie wkrótce się pobiorą, i po kilku dniach przyglądał się bez zmar-

szczenia przygotowaniom, jakie się robiły, a pamiętając na prośbę i przestrożę Julki, mówił nawet o tém tak, jak gdyby nie widział nic, coby dalszemu ich pokojowi zagrażać mogło.

Gdy się zbliżał dzień ślubu, udał się Kański z potrzebnymi papierami, z Ignasiem i drugim kolegą, którzy jako świadkowie w księdze aktów ślubnych podpisać się mieli, do kancelaryi parafii Śgo Jana. Zastali już tam dosyć osób, z których jedne przyszły do zapisania nowonarodzonych i żądały chrztu, inne umarłych i żądały pogrzebu, inne dopiero zapowiedzi, a inne już aktu ślubnego. Wszyscy otaczali stół pisarza kancelaryi, a każdy chciał być pierwój wyexpedowanym.

Pisarz ten był to człowiek już nie młody, małego wzrostu, czerwonej twarzy, z wielką łysą głową i mający za zasadę, że pośpiech na nic się nie zda, i może do fatalnych doprowadzić pomyłek. Siedział więc w swoim krześle nieporuszony, a wszystkie prośby i nalegania obijały się o jego uszy jakby o ucho sfinksa wykutego z granitu. Był on nadzwyczaj ostrożny, i mruczając sobie pod nosem, »zaraz, zaraz, kto powoli je-

dzie, ten dalej zajedzie," póty się nie wziął do pióra, póki się dobrze nie rozpytał i potrzebnych papierów nie przejrzał. Leżały przed nim cztery książki, w które żądania interesantów zapisywał. Ale żeby czasem do książki umarłych nie zapisać nowonarodzonego, za każdym razem, nim ją przed siebie położył, nakładał okulary, podnosił się na krzesło i przewróciwszy okładkę książki czytał na tytule, co w sobie zawierać powinna.

Potem dopiero obracał się do osoby, która najbliżej stała z zapytaniem, które najczęściej chybiało, bo jeden przed drugim się cisnął.

— Więc to panu dziecko umarło? dobrze. Jakże się nazywało.

— Ale mnie się dziecko urodziło, nie umarło.

— A, urodziło się, dobrze, to zaraz — i znowu odsuwał tę księgę, podnosił się na krzesło i odwracał okładkę tej, która była potrzebna. Jeżeli w tym czasie udało się komu stanąć tak, że wzrok jego pierwiej padł na nowo przybyłego, to zapominał o tamtych, i tego co się miał dopiero zenić zapytywał, co mu się urodziło, czy syn, czy córka. Pomyłki te bawiły jednych, ale niecierpliwiły drugich. Ztąd przychodziło czasem

do przymówek, które równie jak prośby nie poruszały go wcale i ze zwykłej nie wyprowadzały manipulacyi.

Tym razem, ponieważ Kański ze świadkami swemi przyszedł ostatni, stanęli więc zdaleka i bawiąc się tym galimatiasem, który z niestosownych pytań pisarza wynikał, czekali aż się wszyscy załatwią. Czekanie to trwało z godzinę i byłoby potrwało dłużej, gdyby był nie nadszedł ksiądz dyżurny, który zaprowadziwszy pewny porządek między interesantami i sam pytając i dyktując odpowiedzi do właściwej księgi ułatwił biednemu pisarzowi jego robotę i wszystkich prędko wyexpedyował. Tego samego kapłana, ponieważ kolej jego jeszcze się jutro nie kończyła, uprosił Kański, że związkowi jego pobłogosławi. Tak więc ślub młodej pary, po zweryfikowaniu czasu oznaczonego dla innych, naznaczony był nazajutrz na godzinę czwartą, w kaplicy Pana Jezusa.

O godzinie siódmej rano narzeczeni odbyli spowiedź, potem odbyły się inne formalności, jakich akt tak ważny wymaga, a o godzinie trzeciej, kiedy Julka z drugą družką ubierały pannę mło-

da, kiedy do jęj białęj, ubožuchnej ale czystęj, jak jęj dusza, sukienki przypinały zielony bukiet, a na czarne i lśniące włosy, którychby jęj każda królowa pozazdrościć mogła, kładły wieńiec, z wszelkich oczyszczony cierni; kiedy na drugiej stronie, w przyszłym swym raju, Kański i jego świadkowie przystrojeni i z bukietami, oczekiwali, aż zawołają nowożeńca, aby upadł do nóg matce, podziękował jęj za perłę, jaką mu daje, i przyrzekł jęj wprzódy nim przysięgnie Bogu, że będzie ją strzegł i chronił do śmierci; wtedy kaplica Pana Jezusa była już pełna młodzieży, która się tam cisnęła, krzątała się i szepotała z dziadkiem i zakrystyanem. Byli to sami aplikanci, koledzy Kańskiego, i inni z różnych biór, którzy uwiadomiwszy jeden drugiego prędko, że taki poczciwy chłopiec żeni się, i że się żeni z panienką ubogą, ale piękniejszą od wszystkich pięknych, zbiegli się hurmem, zajęli wczesnie całą kaplicę, aby tam już nikt nie wlaźł, i rzuciwszy co kto mógł, uprosili zakrystyana, że suto oświecił kaplicę, aby piękność tęj, co miała być ozdobą i kwiatem aplikacyi jak najżywiej się wydała.

Jakoż olśniona została światłem i zwróconém na siebie wzrokiem tylu młodych ludzi biedna Paulinka, kiedy podpisawszy się już ostatecznie w księdze przygotowanej obok zakrystyi, bocznemi drzwiami weszła do kaplicy. Prowadził ją Ignas, Kańskiego prowadziła Julka. Obie były jednakowo ubrane, obie równie piękne i tak podobne, że tylko wieniec na głowie oznaczał narzeczoną. Szmer pochlebny i słowa: *śliczna, obydwie śliczne* przebiegały z ust do ust, i chociaż panienki przestraszone nie słyszały ich wcale, ale słyszał je Kański, słyszał Ignas i oba równie wdzięczni byli kolegom.

Gdy kapłan wszedł i stanął przy ołtarzu, młodzież tak się nacisnęła, że Ignas stanął przy Julce, aby zbyt ciekawych obecnością swoją odsunąć. Zaczął się wreszcie obrzęd i nastąpiła zupełna cisza. Wszyscy patrzyli z zajęciem na młodą parę, wszyscy słuchali, jak z ust tak pięknych wyjdzie obietnica miłości i przysięga wiary do śmierci. A gdy przyszły słowa te uroczyste, gdy je nowożeńcy wymawiali głośno i z przejęciem, wtedy ręka Julki znalazła się w ręku Ignasia, a wspólne ściśnienie powiedziało im,

że i on i ona w głębi duszy przyrzekali sobie to samo, co tamci przyrzekali w obec kapłana i ludzi. Tak więc dwa śluby odbyły się razem, jeden jawny i głośny, który wszyscy słyszeli, drugi tajemny i cichy, który słyszał tylko Ten, co widzi myśli i mowę duszy rozumie.

Gdy się obrzęd skończył, i nowi małżonkowie trzymając się za ręce odchodzili od ołtarza, wtedy otoczyli ich młodzi ludzie i ze wszech stron wołali: szczęście ci Boże, szczęście Boże, kolego! Rozpłakał się Kański widząc taką życzliwość, i obracając się do nich, rzekł:

— Dziękujemy wam bracia! da Bóg, że nam nie będzie źle, kiedy nam tyle pocziwych serc błogosławi.

Wdzięcznym wejrzeniem, które im pokazało cały urok tych czarnych i cudnych oczu, podziękowała im Paulinka, a gdy się wszyscy rozeszli, młodzież wracając gromadą, mówiła tylko o piękności obu siostr, o nieporównanym ich wdzięku, a szczególnie o tém wejrzeniu młodej żony, którem im za ich życzenia podziękowała.

Początkowe miesiące przeszły szczęśliwie i żadna chmurka nie zasępiła tych chwil, które zdo-

biła wzajemna miłość, zupełna zgoda, praca i dobry humor wszystkich. Kański podwoił usilność swą w biórze, odrabiał pilnie swój dług, kobiety miały roboty dosyć, Ignas stołował się razem, i półtora złotego dołożywszy dziennie ułatwiał cokolwiek ekspens. Nawet rzadkiem zdarzeniem dostali dobrą sługę, która za kilka złotych dodatku do zwykłej płacy, jaką tu sługi pobierają, krzątała się pilnie i wystarczała wszystkiemu. To też jak przyszła niedziela i święto, siostry jednakowo zawsze ubrane, trzymając się pod ręce szły wesoło do kościoła, Kański prowadził matkę, Ignas towarzyszył młodym kobietom, a przechodnie stawali, patrząc na te piękne i promieniejące szczęściem twarze, i nie jeden pomyślał, że to pewnie jakieś posażne panny, że to żona jakiego bogatego kupca lub wyższego urzędnika, że pewnie mieszkają na pierwszym piętrze, że powróciwszy z kościoła, zastaną sługi krzątające się, stół suto nakryty, sześć potraw kipiących na płycie angielskiej kuchni, i dla tego to sukienki ich tak świeże i ładne, kapeluszyki tak zgrabne, dla tego oczy ich tak błyszczą i usta tak się bezpiecznie uśmiechają.

Jakżeby się zadziwił ten ciekawy i domyślny spektator, gdyby po summie, której całej słuchały klęcząc i z pokorą, poszedł za niemi do domu, gdyby wgramolić się musiał aż na trzecie piętro po ciemnych i krętych schodach; gdyby tam obaczył tylko jedną sługę, a na kuchence przy skromnym ogniu dwa tylko garnki; gdyby zajrzał do ubogich pokoików, noszących na sobie piętno, że to nie miejsce wizyt i siedziba gości, ale warsztat uczciwej i usilnej pracy, i obaczył, że nie sługi i lokaje, ale te same panienki obcierają talerze i nakrywają do stołu, że się to odbywa wśród wesołej rozmowy i serdecznego śmiechu, że potem, gdy już wszystko przygotowane, siostry obejmują się wpool, stają przed małym klawikorcikiem, na którym jeden młody człowiek brząka akompanijament, a one śpiewają ducek nie trudny, ale melodyjny, i śpiewają tak zgodnie i wdzięcznie, że w głosie ich dzwoni swoboda i czystość ich serca, a z myśli słuchacza znika całe to rusztowanie próżności i pychy, które ludzie wznoszą z mozołem i kosztem, mając budować gmach swego szczęścia, którego nikt jeszcze nie skończył.

Tak było do końca maja, a zieloność i ciepło wiosenne pomnożyły jeszcze ich niewinną radość, pozwalając w czasie odpoczynku orzeźwić się świeżem tchnieniem i ucieszyć się widokiem odradzającej się natury. W ciągu tych miesięcy także Ignasz odebrał dwa listy od Eugeniusza, jeden jeszcze z Włoch, a drugi już z Genewy, gdzie czas niejaki przebywali, mając przez Szwajcaryą udać się do Francji. Listy te znacznie go uspokoiły. Widział z nich bowiem, że Eugeniusz oswoiwszy się z tą myślą i z tą wiarą, że jest kochany, oddawał się z usilnością pracy i nauce, aby być godnym takiego serca, które się ku niemu skłaniało, i tej opinii, jaką taka kobieta o jego zdolnościach powzięła.

Ale szczęście ich było za nadto wielkie, aby według praw ziemi mogło trwać długo. Przy końcu maja zaczęły się ciężkie próby, przez które stopniami przechodząc, doszli do tego smutnego przekonania, że jeden krok nierozsądny może zepsuć wszystkie dalsze rachuby, i szczęście budowane na nadziejach, nawet przy największym wysileniu pracy i cierpliwości, zachwiać się musi.

Pani Jelewska zaczęła zapadać na zdrowiu, tak,

że lekarz i apteka stały się koniecznymi i ściśle obrachowany budżet pomnożył się rubryką, która weni pierwiastkowo nie wchodziła. Choroba ta zamieniła się na ciągły stan jakiegoś nieniania i upadku sił, a krzątanie się koło niej, czuwanie nad nią często po nocach, odejmowało córkom możność oddawania się ciągłej pracy, która przy wzrastających wydatkach stała się nieodbitą. Przymtem Paulinka już bez tego nie mogła tak pracować jak dawniej. Za kilka miesięcy miała zostać matką, a ten jej stan, połączony z tylu przykrościami i cierpieniami, nakazywał wszystkim, aby ją oszczędzano i należnego jej nieodmawiano odpoczynku. Wszystko to zasępiło wprawdzie czoło Kańskiego, ale pocieszał się jeszcze tą myślą, że się los jego wkrótce ustali i że lada dzień przejdzie na etat. Ignas, który żadnej takiej pociechy nie miał a nawet w piękne nadzieje Kańskiego nie wierzył, na widok Julki, pracującej podwójnie, usługującej i matce i siostrze serdecznym przejmował się smutkiem.

W połowie czerwea wrócił raz Kański do domu blady i zupełnie zmieniony. Paulinka nie u-

ważała tej zmiany, ale zaraz na progu rzuciła mu się na szyję donosząc mu głośno, że matka ma się lepiej, a cicho do ucha szepnęła jakąś inną wiadomość, która na twarz jej wywołała rumieniec. Kański nie jej na to nie odpowiedział, pocałował ją tylko w czoło jakby obojętnie, i usiadłszy przy stoliku, wsparł głowę na rękę i tak siedział w milczeniu. Pierwszy to raz doznała ona od męża takiego przyjęcia, i ból niewypowiedziany ścisnął jej serce, że go doznała w tej chwili dla każdej kobiety tak rozkosznej i drogiej, kiedy szczęściem swém chciała się podzielić z tym, którego ono najwięcej obchodzić powinno. Poszła więc na drugą stronę, położyła główkę swą na piersiach Julki i gorzko płacząc, zawołała tylko: On mię już nie kocha. Niestety! on ją kochał nad życie, ale ta nadzieja, w której obietnice tak święcie wierzył, zaczynała go opuszczać, i stan jego w tej chwili był rzeczywiście bolesnym i krytycznym. Nabił on sobie głowę, że wkrótce przejdzie na etat. Wiedział, że rzecz ta jest już w robocie, a widząc pomnażające się wydatki domowe, które wkrótce z powodu stanu Paulinki jeszcze bardziej powiększyć się miały, wyglądał

niecierpliwie rozwiązania tój ważnej dla siebie kwestyi, która miała byt jego zapewnić i pokój domowy ugruntować. Wierzył bowiem niezłomnie w słowa referenta i sekretarza, że pensya ta etatowa, którą otrzyma, nie będzie mniejsza od dwóch tysięcy. Tymczasem dziś wręczono mu nominacyą z pensyą etatową najniższą, zatém wynoszącą daleko mniej, niż to, co miał teraz, pobierając tylko dyety. W pierwszym uczuciu tak gorzkiego zawodu chciał się wyrzec tój posady i prosił, aby go zostawiono przy dyetach, jakie pobierał; ale protektor jego od dwóch miesięcy chory, wyjechał do wód, a ten co go zastępował, odpowiedział mu obojętnie, że dyety te przeznaczone już są dla kogo innego, a on jeżeli z miejsca swego nie kontent, może się podać do dymissyi. Takie obejście się, tak gorzki zawód, napełniły go zupełnem zwątpieniem. A jak to zwykle bywa z ludźmi takiego charakteru, jak dawniej był zbyt ufny i śmiały, tak dziś, przy pierwszym niepowodzeniu stracił zupełnie odwagę i z przestachem niemęzkim patrzył na przyszłość.

Wkrótce po tój scenie nadszedł Ignas, który

już wiedział o wszystkim, i dowiedziawszy się od Julki o powodach łez siostry, nazwał ją dzieckiem i uwiadomił ją od razu, jaka jest przyczyna zmartwienia i humoru Kańskiego.

— Jest to rzeczywiście— dodał wmawiając w nią odwagę— ubytek dla was znaczny; ale jak nie godzi się takiej szkody, którą można naprawić i czém inném nagrodzić, nazywać nieszczęściem, tak nie należy do przykrości, jaką ona daje, dodawać jeszcze takie bolesne myśli jakie ci siostrzyczko, przyszły do głowy. Teraz kiedy wiesz co go tak zmartwiło, dla czego cię tak w pierwszym momencie przyjął, obowiązkiem twoim jest być mężniejszą od niego, i zanieść mu tę pociechę, że potrafisz odważnie znieść wszystko, co go spotka. Bo gdyby cię tak nie kochał, jak kocha, pewnieby go ten zawód nie obszedł był tak bardzo. Zniósłby on go tak, jak każdy z nas znosi biędę, kiedy jest sam, i kiedy wie, że z nikim się nią dzielić nie musi.

— Więc to tylko to— odpowiedziała odważnie Paulinka— Dziękuję ci braciszku! żeś mi od razu powiedział. Biedny mój Oleś! czyż on mógł

pomyśleć, że ja się czegokolwiek ulęknę oprócz tego, żeby mię nie przestał kochać!

I pobiegła do męża, i mówiąc mu z uśmiechem odwagi i rezygnacyi, że już wie co go zmartwiło i dla czego ten zawód tak go dotknął, zaczęła mu perswadować, a rzuciwszy mu się na szyję, słodką pieszczotą i upewnieniem, że się z nim chętnie suchym kawalkiem chleba podzieli, byle ją kochał, i był spokojnym i wesołym, rozpędziła w części tę ciężką chmurę z jego czoła.

W kilka dni pani Jelewska dowiedziała się o tym znacznym ubytku, jakiego Kański doznał. Zmartwiło ją to tém bardziej, że jój choroba przyczyniła ekspensy, i że mimo jój prośby, dzieci i słuchoać nie chciały, aby dać pokój wszelkiemu leczeniu i zdrowie jój i życie zostawić Bogu i naturze. Jednego więc poobiedzia przywołała do siebie Ignasia do drugiego pokoiku, kazała mu usiąść przy łóżku, na którem teraz przynajmniej siedzieć mogła i szyć, i wydobywszy z pod poduszki papier, złożony jakby jaki akt urzędowy, rzekła:

— Mój kochany! widzę ja, że wam ze mną coraz ciężej, i że już nie bardzo na tym świecie

jestem potrzebna, kiedy ze mnie dzieci nie mają ani pociechy, ani pomocy, ale tylko podwójny ekspens i umartwienie. Może też Pan Bóg wejrzy na mnie i zabierze mię prędko, aby wam wszystkim przez to przybyło ulgi. A choć na razie popłaczecie za mną, nawet ty poczciwy chłopcze, bo i ciebie już w sereu mém nie odłączam od moich dzieci, a córki moje nie prędko zapewne zapomną o mojej miłości i staraniu, aby były poczciwe i dobre i umiały sobie dać radę w życiu, wkrótce jednak wyperswadujecie sobie wszyscy, i podziękujecie panu Bogu, że i wam da odetchnąć i mnie uspokoi i uspi mocniejszym snem, niż ten który mię teraz więcej męczy niż pokrzepia.

Ignaś zaczął ją całować w ręce i przypominać, że nie godzi się kierować wolą Pana Boga i płochemi życzeniami przepisywać mu, co ma zrobić. Ona uściskawszy jego głowę, odpowiedziała:

— Ja też nie wyzywam jego wyroku, ale czując to, że jest blizkim, okazuję tylko gotowość i poddanie się. Gdybym miała choć iskierkę nadziei, że jeszcze pozostanę, że odzyskam siły, że będę mogła być wam użyteczną i miłą, wo-

łałabym pewnie w modlitwach moich: Boże! niech się dzieje wola Twoja, ale pozwól mi jeszcze cieszyć się zdrowiem i powodzeniem moich dzieci. Ale widzisz, ja téj nadziei nie mam, i dla tego mówię tylko: niech się dzieje wola Twoja! a mimowoli i chęci, myśli moje dodają: Panie! przyśpiesz, bo mi już ciężko. I wtedy robi mi się lżej, bo już się teraz tak nie boję jak dawniej, że zostawię sieroty moje bez opieki i niezycjéj miłości. Oleś poczeiwy nie da uczuć Paulince, że mnie już nie ma, a ty jako krewny czuwać będziesz nad jedną i drugą. Nieprawdaż Ignasiu!

— Przysięgam ci wujenko! — odpowiedział Ignas, który ją zawsze tak nazywał — że póki żyć będę, żadnej z nich nie stanie się krzywda. Ale po co takie smutne myśli? doprawdy, że to grzech tak nie ufać w miłosierdzie Boże!

— Jest to właśnie ufność w miłosierdzie Boże! — odpowiedziała z bolesnym uśmiechem. — Ale dajmy temu pokój, kiedy cię to tak boli, że aż łzy masz w oczach. Dobrze z ciebie dziecko. Żal mi, żeś jeszcze tak młody, i że nie masz takiego funduszu, któryby ci życie zrobił lekszém i mniej pracowitém. A chciałabym jeszcze jednéj w ży-

ciu doczekać pociechy. Ale o t \acute{e} m p \acute{o} zniej kiedy pogadamy.

Ignas \acute{u} s ukl \acute{a} kn \acute{y} przed ni \acute{a} i ca \acute{o} wal \acute{a} j \acute{e} y gor \acute{a} c \acute{a} r \acute{e} k \acute{e} . Ona po \acute{o} zyla drug \acute{a} na jego g \acute{o} wie i doda \acute{a} :

— Je \acute{z} eli serce twoje zgad \acute{l} o, com m \acute{o} wi \acute{c} mia \acute{l} a, to b \acute{a} d \acute{z} pewny m \acute{o} j synu! \acute{z} e b \acute{l} ogos \acute{l} awie \acute{n} stwo moje b \acute{e} dzie zawsze z wami, kiedykolwiek to nast \acute{a} pi. Jest to od niejaki \acute{e} go czasu, jakim si \acute{e} wam ob \acute{o} ju \acute{g} u lepiej przypatrzy \acute{l} a, moja serdeczna my \acute{s} l, kt \acute{o} r \acute{a} sk \acute{l} adam codziennie u st \acute{o} p tro \acute{n} u Najwy \acute{s} szego, b \acute{l} agaj \acute{a} c go aby si \acute{e} zi \acute{s} ci \acute{l} a.

— Zi $\acute{s$ ci si \acute{e} matko!— rzek \acute{l} Ignas \acute{u} s— je \acute{z} eli mi B \acute{o} g dopomo \acute{z} e, \acute{z} e b \acute{e} d \acute{e} mia \acute{l} tyle, aby dzie \acute{c} ie twoje mia \acute{l} o pok \acute{o} j i bezpiecze \acute{n} stwo.

— No! cicho! nie p \acute{l} acz- \acute{z} e tak i m \acute{i} ecz o t \acute{e} m— rzek \acute{l} a nachylaj \acute{a} c si \acute{e} i ca \acute{o} luj \acute{a} c go w czo \acute{l} o.— Niech to b \acute{e} dzie tajemnic \acute{a} twego serca. O takich rzeczach du $\acute{z$ o m \acute{o} wi \acute{c} nie trzeba, bo to ro $\acute{d$ zi niecierpliwo \acute{s} ć i po \acute{s} piech. Gdyby nie to, \acute{z} e ju \acute{z} p \acute{r} edko umr \acute{e} , i tym sposobem oneby zosta \acute{l} y same, by \acute{l} abym i Paulince wyperswadowa \acute{l} a, \acute{z} e lepiej zaczeka \acute{c} ni \acute{z} pot \acute{e} m \acute{z} alowa \acute{c} . Ale wi \acute{d} ać, \acute{z} e to by \acute{l} o jakie \acute{s} wy \acute{s} ze natchnienie. I wi-

dzisz, sprawdziło się. Coby one teraz poczęły biedne, gdyby tylko zostały we dwie, same, opuszczone, wystawione tylko na oczy i języki ludzkie. Ale siadź-no. Co innego miałam ci mówić, a ot do czego przyszło.

Ignas usiadł, a ona odpocząwszy, dodała:

— Podobno tam Olesiowi nie udało się i te piękne nadzieje, jakie miał, zawiodły go. Biedny chłopiec, musi go to bardzo martwić, chociaż przedemną udaje obojętność i mówi, że się to prędko naprawi. Tysiąc dwieście złotych! Mój Boże! zamiast więc zyskać, stracił kilkaset złotych; a to ubytek dla nich bardzo wielki, kiedy jeszcze moje lekarstwa tyle kosztują, i w robotach nie mogę im pomódz, i czas sobie marnują, chodząc i krzątając się koło mnie. Wszystko to pogorsza mój stan i myśli tych z głowy zbyć nie mogę. A jeżeli jeszcze moja choroba przeciągnie się i przyjdzie do rozwiązania Paulinki, to ekspensa się tak powiększą, że nie będą nawet mieli za co poratować ją, jeżeli tego będzie potrzeba. Jeżeli zaś ja pierwój umrę, to nie będą mieli za co mnie pochować i z myślą o ich niedostatku i takich kłopotach waszych umie-

rać będę. Otoż chciałabym temu zaradzić. Masz tu mój Ignasiu! wykaz hypoteczny tej sumki, którą z porady dawnego przyjaciela moich rodziców, pana Chryzantowicza, ulokowałam na domu jednego antreprenera różnych dostaw, niejakiego pana Warenkowskiego. Człowiek to bogaty i ma być bardzo akuraty, jak mię zaręczał pan Chryzantowicz, i żądanie moje nie robi mu żadnej różnicy. Mam u niego dwadzieścia pięć tysięcy, na szóstym procencie, który mi zawsze z góry i bardzo regularnie od czterech lat wypłaca. Umowa jest roczna i kończy się dopiero za miesiąc, a ja miesiąca pewno nie pożyję. Otoż proszę cię mój Ignasiu! pójdź dziś jeszcze do pana Chryzantowicza, który mieszka w narożnej kamienicy, jak się idzie na Mostową z prawej strony, numeru już nie pamiętam, i proś go czy nie mógłby mi oddać w tych dniach pięć tysięcy, które chciałabym mieć w ręku na wszelki przypadek. Dwadzieścia tysięcy może zostać u niego nadal, jeżeli mu się podoba. Tylko nie im tam nie mów po co cię posyłam, i zrób to w sekrecie drogi Ignasiu! bardzo cię proszę. Pomyśleliby, że już jest tak źle, że kapitał trzeba

marnować i zmartwiliby się bardzo. A ja to robię na wszelki przypadek, czy mojej śmierci, czy inny, żeby nie zostali bez grosza i kawałka chleba. I mnie także straszno trochę poruszać ten ostatni fundusz biednych dzieci, bo to jest wszystko, com z posagu mojego ochroniła, zapłaciwszy długi ich ojca. Ale cóż robić kiedy nie można inaczej. Lepiej stracić trochę procentu, niż zgryzotą i umartwieniem umniejszyć im zdrowia, a szczególnie Paulinee, która teraz podwójnej wymaga opieki i starania. Zresztą będzie to u mnie leżeć schowane i tylko ty będziesz wiedział, gdzie i w jakiej szufladce. Jeżeli Bóg da, że się nie wyekspensuje, a przynajmniej nie wszystko, bo cię proszę na wszystko, aby pogrzeb mój był ubożuchny i żeby jak najmniej kosztował, to za resztę kupisz listy zastawne. Idź-że już teraz Ignasiu, idź i wracaj prędko z dobrą nowiną.

I powiedziawszy to, zmordowana tak długą rozmową, położyła głowę na poduszkach, przymknęła oczy i oddychała prędko i ciężko. Ignas rozwinął papier i rzucił okiem na wykaz. Nie znał on się na tém bardzo, ale czytał nie raz w Kuryerku, że żądane były zwykle lokacye ka-

pitałów na numer pierwszy, lub drugi. Tu zaś był numer dalszy. Rzekł więc:

— Ale kochana wujenko! czy to nie będzie jaką przeszkodą, że tu jest jakiś numer daleki, ani pierwszy, ani drugi.

— O! to nie— odpowiedziała.— Ja sama jakoś wahałam się i chciałam gdzieindziej kapitał mój ulokować. Ale pan Chryzantowicz wyperswadował mi, że będę miała z bardzo uczciwym i akuratomnym człowiekiem do czynienia i upewniał mię, zaklinając się na dawną znajomość i przyjaźń dla moich rodziców, że walor domu o trzydzieści kilka tysięcy przewyższa wszystkie wierzytelności, licząc w to nawet i mój kapitałik. Przytém ostrzegał mię, żebym nikomu nie wierzyła, bo mało kto sumiennie radzi, a każdy tak jak mu trzeba. Ja się na tém wprawdzie nie znam czy to daleko, czy blisko, ale wolałam jemu uwierzyć, niż pytać się i rozpytywać obcych, przez co bym mogła zniechęcić uczciwego i przychylnego człowieka. A powiedz mu też, że o mnie zapomniał zupełnie, tak dawno nie był.

Wszystko to, co mówiła o tym przyjacielu, dało Ignasiowi cokolwiek podejrzenia i niepokoju;

nie pokazał jednak tego po sobie i schowawszy wykaz, poszedł za poleconym sobie interesem.

Gdy wszedł na drugie piętro oznaczonej kamienicy po schodach wązkich, brudnych i zlanych nie dawno widać przyniesioną wodą, obaczył na drzwiach sporą tablicę blaszaną, pomalowaną olejno, na której był napis następujący: *Jan Kanty, Wincenty a Paulo, Józef Kalasanty, trzech imion Chryzantowicz, były rejent okręgu Opoczyńskiego. Jest w domu na usługi przyjaciół z rana od godziny ósmej minut dwadzieścia pięć, do godziny drugiej i minut dziesięć po południu.* Uśmiechnął się Ignas widząc taką akuracność i mimo ostrzeżenia zadzwonił. Za pierwszym razem nikt się nie odezwał; że jednak słyszał, że ktoś jest za drzwiami, zadzwonił mocno po raz drugi.

— Kij-że tam diabeł taki uparty— zawołał wewnątrz jakiś głos kobiety i drzwi się otwarły. Była to kuchnia, przez którą widać wchodziło się do pokojów. Przed bohaterem naszym stanęła we drzwiach baba wysoka, chuda, z wypukłymi plecami, w czépcu na bakier, z pod którego siwe wyglądały włosy. Rękawy od koszuli zakasane

były po łokcie, ręce zamaczane i zalepione ciastem, które widać miesiła. Tak trzymając jedną ręką drzwi, a drugą opierając na oddzwierku, stanęła jak cerber przy wnijsciu do tego Acheronu i rzekła gniewnie:

— Kto widział tak dzwonić. Jakbyś pan był urwał dzwonek, tobym była na pana garnek wody wylała.

— Tam i tak już jest wody dosyć na schodach— rzekł Ignas nie zrażając się impertynencyą i przypatrując się dość oryginalnie wyglądającój, nie ślubnej zapewne Xantypie pana Chryzantowicza:

— Woda!— zawołała baba— nibyż to woda co złego, kiedy to woda od Słupskiej. A pan możebyś chciał, żeby to były pomyje?

— Jabym chciał— odpowiedział Ignas — żeby tam nie było ani wody, ani pomyjów, ale żeby było sucho. Błota jest dosyć i na ulicy.

— Jakie mi bócioski! proszę!— rzekła mierząc go złośliwym wzrokiem.— Taki z pana panicz, że obrywasz dzwonki i chcesz żeby na schody nie chlupnęła woda, kiedy ją stara baba dźwiga na drugie piętro, a czytać nie umiesz.

— Jakto czytać nie umiem?— zapytał Ignas.

— Pan przyszedłeś do pana Chryzantowicza?— zapytała.

— Mam do niego pilny interes— odpowiedział młodzieniec.

— A toż co?— rzekła ukazując palcem, na którym było ciasto, to miejsce na napisie, które wyrażało kiedy pan ex-rejent jest w domu.

— Już ja to czytałem— odpowiedział Ignas— ale potrzebuję koniecznie dziś jeszcze widzieć się z panem Chryzantowiczem. Dla tego chciałem panią prosić, abys pani była łaskawa powiedziała mi, gdziebym go mógł znaleźć.

— Bóg-że go wie, gdzie on chodzi. Ale idź pan do Hempła.— To powiedziawszy, mimo grzeczności Ignasia i powtórnego dwa razy z przyciskiem wyrazu *pani*, zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

Ignas, jako nienależący do sądownictwa, nie wiedział kto jest Hempel, a miał szczerą chęć ułatwić ten interes jeszcze dziś i zaspokoić chorą i niecierpliwie oczekującą go kobietę. Wyszedł więc z kamienicy, gdzie go tak niegrzecznie przyjęto, i nie wiedząc dokąd drogę swą skierować,

wyminął kościół po Pauliński i na los szczęścia puścił się Długą ulicą. Wkrótce spotkał dwóch panów stojących przed trotoarem i rozmyślających widać, dokądby się udać na przechadzkę. Przy-
stąpił więc do nich grzecznie i skłoniwszy się, zapytał:

— Czy nie moglibyście mię panowie objaśnić, kto jest pan Hempel.

— Przednia to rzecz, panie dobrodzieju!— rzekł jeden smakując.— Najwytrawniejszy z całej Warszawy zieleniaczek; a jest stare na dukata, na dwa dukaty i więcej, jak dla kogo. Wyborne minogi, sardynki, świeżuteńkie, a sér Szwajcarski, jak nigdzie, w każdym oku iza jak perła. Usługa szybka, i ceny umiarkowane, jak dla kogo, panie dobrodzieju.

— Na której-że to ulicy? proszę panów— zapytał Ignas.

— A oto masz go pan przed sobą— mówił drugi, ukazując laską na ten skład korzeni i win, jeden z najzamożniejszych i najlepiej opatrzonych w Warszawie.— Właśnie ztamtąd idziemy.

— Nie znajomy panom przypadkiem pan Chryzantowicz?— zapytał Ignas.

— Jan Kanty, Wincenty a Paulo, Józef Kala-santy— rzekł pierwszy uśmiechając się ironicznie.

— Mam do niego pilny interes i powiedziano mi, że mogę go znaleźć u pana Hempla.

— Znajdziesz go pan tam— odpowiedział drugi— jest tam właśnie z jakimś pacyentem, którego radami swemi wyprowadza w pole. Win-szuję panu, że masz do niego interes.

I skłoniwszy się poszli.

Ignas z nienajlepszym o panu Chryzantowiczu wyobrażeniem wszedł do sklepu. Chłopak skle-powy zaprowadził go do osobnego pokoju, gdzie było kilka stolików, okrągłych i kwadratowych niczém nie nakrytych, ale na każdym przy ta-lerzach, z których goście sprząтали podwieczór-ki smaczno przyrządzone, leżały arkusze bibuły, poskładane w trójkąty i tak, jak chłopcy robią pukawki. Na każdym stoliku stały butelki ró-żnej wielkości i formy, kieliszki i lampeczki; a przy każdym było po dwie i po trzy osoby, któ-re przed spacerem widać dopełniały smaczniemi przyprawami te miejsca, które szczupły obiad, przyrządzony w domu dla żony i dzieci zostawił próżnemi.

Chłopak, stukając obcasami co siła, przystąpił do jednego stoliczka pod oknem, i siedzącemu tam z drugim jegomością oznajmił, że jakiś młody pan ma do niego interes.

— A, młody! — rzekł P. Chryzantowicz — tém lepiej, ja lubię młodzież — i wstawszy ze swego miejsca szedł na przeciwko bohatera naszego.

Jan Kanty i t. d. Chryzantowicz był to stary już, sześćdziesiątletni przyjaciel wszystkich, którzy go traktowali, i tych, których ufność za butelkę wina i smaczne śniadańko lub podwieczórek sprzedawał. Niewielkiego wzrostu, otyły, z wiszącym brzuchem, objętym jasną w kwiatki jakieś kamizelką, miał na sobie niby surdut, niby kapotę szaraczkowego koloru, rozpiętą i obwisłą, której kołnierz i brzegi obszyte były wytartą i strzępiącą się tasiemką. Pluderki nankinowe, poplamione czerwonym winem, wisały na nim buchasto i spadały na stopy tak, że ledwie widać było źle wyczyszczone i łatanе bóty. Brudna chustka biała okręcała cieniutko krótką szyję, a duży kołnierz od koszuli wyłożony był i zmięty. Twarz P. Chryzantowicza miała piętno jego charakteru i obyczajów. Wielkie oblicze, czerwone

i porysowane, jak melon siatkowy, żyłkami krwistymi, szersze było u dołu, niż w górze i kończyło się poczynającym się prawie od uszu podbródkiem. Czoło miał wysokie, łyse, ale dość wąskie, brwi zaledwie można było dojrzeć, oczy siwe, okrągłe w czerwone powieki oprawione, wielkie były i wypukłe jak cebule, nosek zaś mały, wąski, trochę zadarty i okazujący dziurki pełne tabaki; za to usta były wielkie, szerokie, ze spodnią wargą trochę obwisłą i z nierównymi i żółtymi zębami, których mu już nie wiele pozostawało.

Ignas patrzył skrzywiwszy się na P. Chryzantowicza, który ustawivszy niezgrabnie tłuste swe nóżki, stał przed nim wyprostowany, wydobył z bocznej i szerokiej kieszeni kapoty chustkę dawelnianą czerwoną i rozłożywszy ją na dwóch palcach prawej ręki, nim ją doniósł do nosa, który tej pomocy widocznie potrzebował, rzekł:

— Pan dobrodziej ma do mnie interes?

— Wszak P. Chryzantowicz? — zapytał Ignas, nie wierząc własnym oczom, że to ten sam, któremu zaena i roztropna kobieta zawierzyła, i nazywała go przyjacielem.

— Jan Kanty, Wincenty a Paulo, Józef Kala-

santy Chryzantowicz, do usług przyjaciół i znajomych — odpowiedział ex-rejent.

— Przychodzę do pana od P. Jelewskiej—rzekł Ignas.

— Anny, Weroniki, dwóch imion — odpowiedział Chryzantowicz, i wytrzeszczywszy na młodego człowieka oczy cebulowe, pełne chytrłości i wina, dodał: — A czegoż ona odemnie chce, kiedy już wszystko tak dobrze jak przepadło.

— Jako przepadło? — zapytał Ignas przestraszony.

— Bo widzi pan dobrodziej—mówił ex-rejent.— Będzie temu lat trzy i miesiące ośm i pół, w sam dzień Śgo Telesfora i Emilii, a w wigilią Trzech Króli, o godzinie nie spełna jedenastej... Czego się panowie śmieją? — dodał obracając się do obecnych, którzy znając starego filuta i wiedząc, jak najprostszą rzecz pozorną dokładnością gmatwa, umilkli i słuchali go śmiejąc się. — Młody człowiek interesuje się widać tą panią, a pewnieją którą z jej córeczek, co to obie jak jedna, śliczne jak dwie perełki i podobne do siebie, jak dwie krople wody.

— Prosiłbym—rzekł Ignas nachmurzywszy się

— abyś pan nie wdawał się w opisy, a przystąpił do rzeczy. Ale możebyśmy wyszli trochę na ulicę, bo nie sędzę, aby to tych panów interesować mogło.

— Nie mam co wiele z panem mówić— odpowiedział Chryzantowicz— a to nie sekret, i ci panowie wszyscy o tém wiedzą, że Walenty Chryzostom Warenkowski, na którego domu pod numerem 3807 lit. b. sumka jój hypotekowana, zbankrutował, i że ten dom, który stanowi cały jego majątek sprzedaje się z publicznej licytacyi, na rzecz długu skarbowego i innych kredytorów.

— Ci, co są ku końcowi ulokowani, nie na początkowych numerach po pożyczce miejskiej, spadną niewątpliwie — mówił jeden z obecnych. — Na pierwszym terminie nikt się nie stawił i licytacya spełzła. Ogłoszono więc drugą licytacyą po cenie znizonej, i oszacowano już dom tak, że wynosi mniej, niż massa długów. Jeżeli konkurencya będzie mała i nikt nie da więcej, dom kupi ten, co podniesie szacunek o ilość prawem oznaczoną, i znaczna część wierzycieli pójdzie z kwitkiem.

— Jak-że pan mogłeś— rzekł Ignas zapierzony

i czerwieniąc się od gniewu — doradzać kobiecie łatwowiernej, niedoświadczonej i nieznającej się na tém, aby tak zgubnie ostatni swój fundusz ulokowała?

— Doradzałem? ja doradzałem?— mówił Chryzantowicz patrząc bezczelnie w oczy młodemu człowiekowi.— Ja odradzałem, a nie doradzałem. Otoż to wtenczas, jakim zaczął mówić, kiedy mi ci panowie śmiechem swoim przerwali, przyszła do mnie Anna, Weronika, dwóch imion Jelewska, cała zadyszana, ustąpiłem jej mojego krzesła, żeby usiadła, bo do mnie wysoko, sześćdziesiąt dwa schody.

— I cóż? i cóż? — wołał zniecierpliwiony młodzieniec.

— A cóż panie dobrodzieju—odpowiedział, wytrzeszczywszy na niego oczy i przytykając chustkę swą do nosa.— Oto to, że uczepliła się mnie, jak pijawka, żebym koniecznie jej sumkę u pana Walentego, Chryzostoma Warenkowicza, na domu Nr. 3807 lit. b. ulokował, że jej ktoś powiedział, że to człowiek bardzo zamożny, bardzo akuratny i bardzo ucziwy. Zaśmiałem się wtedy, jak się teraz śmieję, że ją jakiś oszust tak wy-

prowadził w pole— i to mówiąc zaśmiał się niby, rozszerzywszy gębę i pokazawszy żółte zęby. — I zacząłem odradzać, perswadować, prosić, zaklinać na stosunki moje dawniejsze z jej rodzicami. Ale bądź pan mądry, wyperswaduj i uproś kobietę, kiedy sobie czem nabije głowę. I ni, i ni. Jak się uparła, musiałem zrobić jak chciała, poszedłem z nią do notaryusza, który także ruszał ramionami wątpiąc czy to będzie bezpiecznie, ale ona i na to nie zważała, bo jej lepiej powiedział ten ktoś, któremu zawierzyła jak ewangelii. Tak to kobiety zawsze robią, a potem jak przyjdzie bięda, to skargi na cały świat.

— A wie pan — rzekł Ignas drząc od gniewu i przysuwając się do starego Judasza, który się przed nim cofał— kto był ten ktoś, który wyprowadził w pole i zgubił biedną i nieświadomą rzecz kobietę?

— A czy ja wiem — odpowiedział Chryzantowicz wyszczerzając jeszcze mocniej oczy i otwierając gębę, jakby chciał kichnąć.

— To był człek już stary, tłusty, mały — mówił Ignas — z bezwstydną i opiałą twarzą, który miał stosunki z jej rodzicami i zwał się ich przyjacie-

lem, którego ona miała i ma za człowieka uczciwego i przychylnego, a który tymczasem jest łgarz, zdrajca i oszust. Jeżeli się pan jeszcze niedomyślasz kto jest ten ktoś, to poproś tych panów, oni ci powiedzą.

To powiedziawszy Ignaś odwrócił się i wyszedł.

— Brawo, młodzieńcze! — zawołali za nim przytomni, spojrzawszy ze wzgardą na Chryzantowicza, który, utarłszy nosek, wrócił do stolika i do kieliszka. Gdy się to działo, jeden z młodszych gości, który tam przypadkowo zaszedł i sam jeden z boku siedział, chwycił za kapelusz i wybiegł za bohaterem naszym. Ignaś szedł prędko ku Paulinom i po twarzy jego płynęły łzy gniewu i żalu na myśl tak wielkiego nieszczęścia, jakie czekało tych, których kochał. Gdy go gość ów dopędził, wziął go pod rękę i rzekł:

— Panie kawalerze! nie znam pana, aleś mię zainteresował, żeś miał odwagę powiedzieć w oczy prawdę temu staremu łajdakowi, który bezkarnie ludzi okpiwa, i którego ucziwi pomiędzy sobą tolerują. Nazywam się August Mierniczewski, jestem pomocnikiem rady prawnego w jednym z biór tutejszych. Opowiedz mi pan ten interes.

Zajmę się nim szczerze i bez interesu. Może się jeszcze da co zrobić.

Ignasł spojrzal z wdzięcznością w poczeiwe oczy młodego prawnika, ścisnął obie jego ręce i odpowiedział:

— Dziękuję panu. Bóg panu zapłaci; bo ci których sprawy chcesz się podjąć, jeżeli ją stracą, będą bardzo biedni. Opowiadać rzeczy tej nie ma potrzeby. Ten wykaz hipoteczny objaśni ją panu dostatecznie.

Młody człowiek przejrzał wykaz, potem oddawszy Ignasiowi swój bilet wizytowy z oznaczeniem urzędu i mieszkania, rzekł:

— Daj mi pan ten wykaz do domu i chciéj przyjść do mnie pojutrze o godzinie czwartej. Dowiem się o wszystkiém i powiem panu ostatecznie, czego się spodziewać należy.

Ignasł podziękował i poszedł na korepetycyą, aby zajęciem i pracą wybić sobie z głowy tę gryzącą myśl, która go trapiła. Gdy przyszedł na herbatę mocował się z sobą, żeby się nie zdradzić, udawał spokojnego, a P. Jelewskiej powiedział tylko, że Chryzantowicza w domu nie zastał i nigdzie go znaleźć nie mógł. Nazajutrz cały dzień

umyślnie nie poszedł, dla uniknięcia powtórnego, a tak koniecznego kłamstwa; drugiego zaś potem dnia, jak było umówionem, o godzinie czwartej był już u pana Mierniczewskiego.

Prawnik przyjął go ze smutną miną, uwiadomijac, że stan jest zdesperowany i że żadnej nie ma nadziei.

— Rzeczywiście — dodał — znizone oszacowanie dla braku licytantów na pierwszym terminie, mniejsze jest daleko niż masa długu, ciężącego na domu. Trudno się spodziewać, aby się zbiegło wielu kupujących, aby się który zapalił i podniósł cenę tak, żeby aż dług P. Jelewskiej, który bardzo nisko stoi, mógł być pokrytym. Zwykle w takim razie spekulanci korzystają z cudzej biedy, zmówią się, podstawią kogoś, co postąpi nad szacunek oznaczony, i magistrat zabiera swoje, numera pierwsze swoje, a ci co nie mieli dosyć ostrożności, lub jak w obecnym razie ulegli chytrom i zdradzieckim namowom, giną bez ratunku. Co więcej panu powiem, zdaje mi się, że zguba tej pani jest skutkiem niegodziwej umowy. Tę myśl podała mi ta okoliczność, że P. Jelewska nie wiedziała o mającej nastąpić sprzedaży, kiedy Try-

bunał obwieszcza o tém wszystkich wierzycieli, aby się w prawach swych pilnowali. Obwieszczenie to Chryzantowicz musiał skręcić. Byłem także dziś u tego pana Warenkowskiego. Wiedząc z kąd inąd że to człowiek, który ma schowane pieniądze, tylko mu się nie chce płacić długów przewyższających jego fortunę widoczną i jawną, bo oprócz tego, co hipotekowane na domu, wydawał jeszcze inne weksle i rewersa łatwowierniejszym, chciałem go nakłonić prośbą, lub postraszyć prawem, żeby nie gubił biednej kobiety i oddał jój ostatni fundusz. Zgadnij pan, kogom tam zastał?

— Domyślam się — rzekł Ignas zaciskając pięści — zapewne tego mniemanego jój przyjaciela.

— Zastałem ich obu przy okopconej butelce — mówił prawnik — byli w najlepszym humorze i śmieli się zapewne z tych ofiar, które przez ich nieuczciwość pójdą z torbami. Bankrut zaś ów, zapijający dwudukatowe wino, umył od wszystkiego ręce i odsyłając wierzycieli swych do majątku oddanego na ich zaspokojenie, i gadać ze mną nie chciał.

— Któż jest ten łajdak — zawołał Ignas — że

mu tak wolno oszukiwać i gubić zdradzieckim doradzaniem ?

— Był kiedyś rejentem— odpowiedział P. Mierniczewski.— Za jakieś nadużycia, których nie umiem panu wyszczególnić, zamknięto mu jego bióro i wzbroniono tego zajęcia, wymagającego przedewszystkiem uczciwości i dobrej wiary. Przybył więc do Warszawy, siedzi tu, ma pieniądze, i pomnaża je lichwą i pokątném adwokatowaniem. Takich *Winkelkonsulentów* mamy tu w Warszawie wielką ilość, różnej klasy, różnego wyznania i rozmaitego stopnia wiadomości i biegłości prawniej. Nie jednemu nie brak nawet nauki, ale każdy korzysta z łatwowierności klientów, i jak miecz obosieczny tnie na obie strony, tak taki tajemny i niebojący się opinii ludzkiej doradzca, sprzedaje swoją radę i temu i owemu, kto da więcej; śmiałym jest, bo go nikt nie widzi i nie odpowiada ani przed prawem ani przed ludźmi. Jest to wprawdzie rzemiosło zakazane. Policya ściga takich kącikowych mecenasów. Ale policya ściga i kontroluje i te panny, co na rogach ulic ofiarują swoje wdzięki, a tak jednych jak i drugich wytepić nie zdoła. Zawsze będą te boginie

ofiarujące swe serce za pięcio-złotówkę, zawsze będą tacy przyjaciele, którzy ufność i exystencyą tych, co im zawierzą, sprzedadzą za kilkadziesiąt rubli przeciwnikowi, a jak tu u nas w Warszawie, sprzedadzą nawet za butelkę wina i za śniadańko u Hempla albo u Brylewicza.

Ignas głęboko się zasmucił tym stanem rzeczy. Podziękował zacnemu prawnikowi za jego dobrą chęć, i zaniósłszy napowrót wykaz P. Jelewskiej, ukrył przed nią bolesną prawdę. Oświadczył jej tylko, że P. Chryzantowicz w tę sprawę wdać się nie chce, a P. Warenkowski wymówił się, że teraz nie jej oddać nie może i prosił, aby zaczekała do terminu wypłaty.

— Ach! mój Boże! nie doczekam ja tego—zawołała tylko biedna kobieta i rada nie rada musiała sobie wyperswadować i oswoić się z tą myślą, że na wszelki wypadek nie będzie miała czém poratować swych dzieci.



III.

Każde złe, z którym walczy natura ludzka, ma pewny swój przebieg, i dochodzi do owego krytycznego momentu, stanowiącego o życiu lub śmierci w cierpieniach, którym opiera się ciało, o ocaleniu lub spodleniu zupełném charakteru w jakiej zarazie moralnej, z którą się pasuje dusza, o utrzymaniu i ocaleniu walącego się pokoju domowego, lub o całkowitej jego ruinie i wynikającej ztąd nędzy, w tych strasznych zapasach z niepowodzeniem, gdzie już nie idzie o rzeczy zbytku i próżności, ale o kawałek chleba, o odzienie, o dach, który z nad głowy człowieka ucieka. Tym krytycznym momentem, pod owym ostatnim względem, dla interesującej nas rodziny, był termin

sprzedaży domu bankruta, dla którego spekulacją było to, co dla innych stało się zgubą. Oczekiwał go Ignasz z trwogą, której opisać trudno, i która go tém więcej dręczyła, że on tylko jeden wiedział o nieszczęściu, jakie im grozi. Przed chorą, której stan coraz się pogorszał, ukrywał je starannie. Paulinka i Julka nie miały nawet wyobrażenia, że coś podobnego nastąpić może i nie widziały nigdy żadnego z tych pism publicznych, w których podobnego rodzaju sprzedaże się ogłaszają; Kański zaś przez delikatność nigdy o nic nie zapytywał, starał się nawet zapomnieć o tym funduszu, i za nic w świecie nie zaproponowałby, aby go dotknąć i na bieżące potrzeby użyć mieli. Nigdy więc z Ignasiem nawet nie mówił o tym kapitaliku, który uważał za jedyną rękojmię existencji matki, jeżeliby przyszło do tego, żeby oni, przy najusilniejszym staraniu i pracy, zaledwie sobie samym mogli dać radę i jako tako życie swe utrzymać. Tak więc w najzupełniejszej niewiadomości oczekiwali końca lipca, w którym matka odbierała półroczny od sumki swój procent, gdy tymczasem 25-ty tegoż lipca naznaczony był na sprzedaż domu, i na dokompletowanie tych ciężkich

prób, przez które przechodzić mieli. Jakoż wkrótce doszli do owęj krytycznej chwili, która przyprowadziła na ich próg dwie najstraszniejsze tej ziemi postaci: nędzę i głód, i która myślom i działalności bohatera naszego, niechającego losu swego oddzielać od losu tych, z któremi go związały najśłodsze uczucia serca, zupełnie inny dała kierunek.

Smutno więc było i głucho w stancyjkach na Śto-Jańskięj ulicy, niegdys tak pełnych krzątania się, śmiechu, głośnieję rozmowy i piosnek. Nawet daleko puścięj było z jednęj i z drugięj strony, gdyż na zapłacenie lekarstw dla matki, a szczególnięj na pokrycie kwartałowej opłaty lokalu, Julka sprzedała fortepianik i jedną szafkę, a Paulinka kanapkę, sześć krzesełek z piérwszego pokoiku swego i parę najładniejszych sukienek, w których teraz chodzić nie mogła. Matka o niczém nie wiedziała leżąc ciągle w łóżku, a gdy czasem, chcąc dać poznać dzieciom swoim, że się czuje zdrowszą, prosiła je, aby jęj co zaśpiewały, wtedy one biędne, tłumiąc łzy, udawały że nie mają głosu, i że się fortepianik zupełnie rozstroił.

— Ach! Boże mój! — mówiła wtedy z westchnie-

niem—nawet i na to już nieszczęśliwym tym dzieciom nie wystarcza— i każda taka myśl czepiała się silnie jęj znękanęj głowy, odejmowała jęj sen i stan jęj pogorszała.

Wieczorem dnia 25-go lipca smutnięj tam było i ciszję niż zwykle. Matka zmęczone całodziennęm cierpieniem usnęła, Paulinka sfatygowana pracą, nachylaniem się nad robotą i siedzeniem, poszła do swego pokoiku położyć się i odpocząć, Kańskiego jeszcze nie było, gdyż wystarawszy się o nowe jeszcze zajęcie, a nie mając na nie innego czasu, jak wieczorny, nie przychodził aż o dziewiętęj; sama jedna więc tylko Julka siedziała przy oknie, i korzystając z ostatka dnia, kończyła spiesznie balową suknię, w której jęj właścicielka miała być wesolą i szczęśliwą, którą miały zdobić kwiaty i brylanty, a w którą młoda robotnica wszywała smutne swe myśli, a czasem rosila łzą, co jak perła zabłysła przy śniegu.

Wtedy otwarły się cicho drzwi i wszedł Ignas blady, zmieniony, chwiejącym się krokiem. Obejrzał się on w około, i nie mówiąc niedaleko od Julki usiadł. Los rodziny tego dnia się rozstrzygnął. Trzech tylko zjawiło się licytantów, dom

sprzedano, i sumka P. Jelewskiej przypadła. Tak więc teraz zostali tylko przy szczupłej pensyi i szczuplejszym jeszcze zarobku Kańskiego, przy tym przyczynku, który Ignas za swój stół dawał, i przy tym niepewnym i nieregularnym dochodzie, jaki przynosiła praca Julki, i pomoc coraz trudniejsza Paulinki. Długo Ignas rozmyślał nad tém, co począć, jak zwiastować im taką klęskę i komu jej najpierw udzielić. Długo więc wahał się po ulicach, chodził po samotnych alejach ogrodu Saskiego, nareszcie się zdecydował. Zdawało mu się, że z nich wszystkich najmężniejszą i najprzymowniejszą jest ta, którą równie za to usposobienie jej głowy i serca, jak dla wdzięku jej postaci i piękności twarzy pokochał.

Postrzegła ona od razu, że coś ciężkiego leży na sercu młodego człowieka, który dotąd dawał im wszystkim odwagi. Przystąpiła więc do niego, położyła rękę na jego ramieniu i popatrzywszy nań przez chwilę, rzekła:

— Braciszku! kiedyś powiedziałam ci, jak wdzięczną jestem Olesiowi, że przez niego zesliśmy się i spotkali na tej ziemi. A teraz wiesz co myślę?

— Co Julciu droga? — rzekł biorąc jęj drugą rękę i trzymając w swoich dłoniach.

— Oto to — odpowiedziała panienka — żebym dała dziś połowę życia, żebyś był nas nigdy nie znalazł.

— Czy byłoby wam bezemnie lżej — zapytał patrząc jęj smutno w oczy.

— Byłoby mi lżej — odpowiedziała — gdybym nie musiała patrzeć, że przypadek wplątał w nasze koło serce poczciwe i dobre, któremu się należy radość i swoboda młodego wieku, a które spętała bięda tych, których kocha, które wysiła i nuży walka ich z niedostatkiem i codziennymi potrzebami, którą podobało mu się z nimi podzielać.

— Chciałabyś, żebym was opuścił — rzekł Ignas, i w oczach jego był wyraz miłości, który mówił, że to już niepodobna.

— Powinieneś braciszku — odpowiedziała z odwagą i postanowieniem — twoja droga insza. Nas zostaw naszemu losowi.

— Miałabyś odwagę znieść go sama, gdyby był cięższym jeszcze niż jest teraz — rzekł młody człowiek powstając i biorąc obie jęj ręce.

— Miałabym odwagę wstawać o piątą — mówiła prędko i z ożywieniem — żyć tylko bułką i szklanką mleka, siedzieć z igłą w ręku do ciemnej nocy, pójść za wyrobnicę do jakiego magazynu, za służkę do jakiej pani. Na to wszystko stałoby mi serca, stałoby postanowienia, i spokojnie i z uśmiechem przynosiłabym matce i siostrze owoc mojej pracy, zapłatę za najniższe usługi, którebym pełniła z ochotą i bez zarumienienia. Ale mi ręce opadają i serce się ściska, gdy patrzę, że ty oddajesz nam wszystko co masz, że przy stole wybierasz sobie najgorszy kawałek mięsa, aby nam został najlepszy, że zamiast wreszcie spaceru, któryby cię orzeźwił, przychodzisz tu, abyś słuchał jęków bóleści, i patrzył na smutne czoła, po których krążą myśli niedostatku, głodu i nędzy. Opuść nas braciszku i zapomnij o nas. Twoja droga insza. A my damy sobie radę i sami.

Ignas wzruszony przycisnął ją do siebie i całując jej głowę, która się skłoniła na jego piersi, rzekł spokojnie i z powagą:

— Dziecko jesteś, moja droga Julciu! Wiesz o tym dobrze, że to być nie może. Bóg nas złączył z sobą, i śmierć tylko nas rozdzieli. Przysięgam

to twojój matce, i tobie teraz przyrzekam. Kochaj mię tylko zawsze, tak jak kochasz teraz, a próba ta, przez którą przechodzimy, będzie mi lekka i skończy się prędko, bądź pewna. Więc do śmierci Julciu moja! — dodał młodzieniec ciskając ją mocniej do swych piersi.

— Do śmierci mój jedyny! — szepnęła mu dziewczyna i wyrwawszy się z jego objęcia poszła na swoje miejsce, usiadła i zakryła rączkami twarz, płonąca od wstydu i zarumieniona szczęściem, które jak kwiatek wśród burzy wiosnianej, z tej smutnej chwili wykwitło.

Ignas stał zdaleka i patrzył na nią długo i myślał jakimby sposobem przyspieszyć tę chwilę, w której mógłby ją nazwać swoją i być pewnym, że jej da dostatek, że ją otoczy pokojem, że już lękać się nie będzie, aby ten czas ciężkiej pracy i trwogi o jutro, kiedykolwiek dla niej powrócił. I wówczas to przyszła mu myśl, która podniosła jego głowę i napełniła piersi śmielszemi nadziejami. Jako pierwszy promyk mającego nastąpić dnia, była ona jeszcze niewyraźną, jeszcze nie oświecała wszystkich zakątów jego duszy, gdzie się ukryło zwątpienie; ale już jak świeży ranek

orzeźwiła go i wzmogła siły téj męźnej piersi, którą cudza niedola dla tego tylko tak mocno przygniotła, że nie widział na razie środka, jakby jęj zaradzić, czémby choć później zagoić tę ranę, jaką krewnym i przyjaciołom jego własna ich nieuwaga, los i niegodziwość ludzka zadały. Teraz był już środek nie prędki wprawdzie, ale pewny i zależący tylko od jego pracy, odwagi, poddania się wszystkim wymaganiom téj nowęj drogi, jaką pójść postanowił, wyrzeczenia się próżności szlacheckięj i téj ubitéj ścieszki, jaką idą wszyscy, a która mało kogo doprowadza do celu, który sobie zamierza. Śmielęj więc i z pogodniejszą twarzą przystąpił do kochanki, i rzekł:

— Julciu moja! już dawno widziałem to, żeś ty odważna i męźna, i dla tego pokochałem cię tak serdecznie i powiedziałem sobie, że jak będę starszym, jak będę miał stan, który mi zabezpieczy przyszłość, z nikim się życiem mojém nie podzielę, tylko z tobą, jeżeli zechcesz i pokochasz mię tak, jak ja ciebie od początku naszęj znajomości pokochałem. Teraz nie potrzebuję się ciębie pytać, czy zechcesz, bo wiem i czuję to, że czémkolwiek będę, byłem był czemścis na świe-

cie i nie zależał od kaprysu losu i ludzi, podasz mi rękę i powiesz przed Bogiem to samo, coś tylko co powiedziała.

— Powiem Ignalku! powiem to samo, czy za rok, czy za dwa, czy za dziesięć— rzekła Julka i podała mu obie ręce.

On przycisnął je do ust i siadając koło niej mówił:

— Teraz już jestem spokojniejszy, choć mam ci nowe i wielkie nieszczęście zwiastować. I tobie tylko jednej powiedzieć to mogę, boś ty odważniejsza niż twoja siostra, i zimniejszą krwią przyjmąwszy cios, który was spotkał, poradzisz i umyślisz, jak postąpić, jak uwiadomić o tém ich i mamę.

— Cóż to takiego, powiedz — rzekła przysuwając się do niego z drzeniem.

Tu Ignas opowiedział jęj ze szczegółami jaką ponieśli stratę. Ona załamała ręce i kiwając smutnie głową rzekła:

— Biedna mama! to ją zabije.

Zaczęli więc naradzać się i stanęło na tém, że przez niejaki czas ukrywać jeszcze będą to nieszczęście i przed Kańskimi i przed matką, i że

Ignas pójdzie jeszcze do tego nowego przyjaciela, którego mu Bóg zdarzył i poradzi się, czy prawo nie poda jakiego środka ratunku. Chcąc zaś uniknąć widzenia się dzisiaj i z P. Jelewską i z przyjacielem, któryby z twarzy jego wyczytał, że jest coś złego, z czém się tai, powstał i zegnając się z panienką, na którą już inném okiem patrzył, rzekł:

— Dobra noc ci Julciu! pomódl się i śpij spokojnie, a nie pracuj do późna, bo mię ta myśl dręczy i zasnąć nie mogę, wiedząc że ty nie śpisz. Strata to wielka, ale mam nadzieję że się wkrótce nagrodzi, i nie wiele brakować będzie z tego dochodu, któryście z owęj zaginionej już sumki mieli.

— A toż zkąd?— zapytała patrząc mu w oczy.

— Oto się nie pytaj— odpowiedział zbliżając się do niej.— Przyrzeknij mi tylko, że cokolwiek zrobię z sobą, powiesz, że on to robi dla mnie, cokolwiek ci przyniosę, powiesz, że to moje, bo pochodzi od niego.

Julce stanęły łyzy w oczach, rzuciła mu się na szyję, święte i czyste pocałowanie spoiło ich usta i zlało ich dusze, i młodzieniec uskrzydłony miłością i nadzieją przyszłego szczęścia, pobiegł do do-

mu, a Julka upadła na kolana i modliła się póty, póki jęk matki nie wyrwał ją z tego stanu zachwycenia i nie przypomniał całej obecnej niedoli, jaka ją otaczała i jaka jej jeszcze zagrażać mogła.

Skoro bohater nasz ujrzał się w swojej stancyi, usiadł natychmiast i napisał list do księdza Maciejka. Wyłożył mu pokrótce opłakany stan krewnych, o których wynalezieniu pierwój mu donosił, rozciągnął się nad tem, ale ostrożnie, żeby się stary nie domyślił jak serdeczny tu wmieszał się interes, jak prostym, naturalnym i chrześcijańskim jest jego obowiązkiem ratować tych biednych ludzi, którzy z nikąd żadnej pomocy spodziewać się nie mogą; zaklinał go zatem na wszystko, co jest najświętszego, na pamięć i przyjaźń jego dla ich ojca, aby położył koniec wszelkim reparacyom i nakładom, jakie dzierżawca robi, ale wymógłszy od niego całoroczną opłatę z góry, jaka na rok następny przypada, żeby mu sumkę tę natychmiast przysłał przez pocztę do Warszawy. «Nie dziw się, mój najdroższy opiekunie! że tak nagle. Nieszczęście nie czeka, uprosić się nie daje, a głód i niedostatek są tak nieubłagane, że niczem, tylko brzękiem srebra odstraszyć się ode-

drzwi nie dadzą. Gdyby tu szło tylko o mnie, byłbym cierpliwszym, chociaż i ja potrzebuję. Mam wprawdzie na życie, ale suknie mi się zszarzały i obówie mię opada; a na to mi nie wystarczy. Ale tu główna rzecz, dobry uczynek, ratunek bliźnich, krewnych i przyjaciela, którego w tak opłakaném położeniu zostawić nie mogę. Gdyby pan Dobrzański nie chciał lub nie mógł opłacić mi całorocznój dzierżawy z góry, jak to jest zwyczaj, i jak podobno brzmi kontrakt, bo może mu łatwiej wydawać częściowo i kwitować mię tylko rachunkami, to proszę mu powiedzieć, że ja w żaden sposób zgodzić się na to nie mogę. Niech sam naznaczy termin kilku-miesięczny, w którym na ręce twe, mój szanowny opiekunie! złożę pieniądze, a ty jedź natychmiast z moim listem do kasztelana, i proś go, aby mi sumkę tę zaliczyć kazał, i odebrał ją sobie później, jak ją pan Dobrzański złoży. Wyglądam odpowiedzi twój, mój najdroższy opiekunie! z największą niecierpliwością, i wierząc w twoją łaskę i gorliwość, polecam się twój opiece i czystym, uczciwego serca twego, modlitwom. »

List do kasztelana zamykał tylko te słowa:

«Jaśnie wielmożny panie! Opiekun nasz ksiądz Zielenkowski wręczy Jaśnie wielmożnemu panu mój list i wyłoży interes i prośbę, z jaką śmiem udać się do człowieka, który jest dobroczyńcą mego brata, a dla którego w głębi duszy chowam najwyższy szacunek. Kiedym się wahał przyjąć ofiarowane mi na oporządzenie pieniądze, raczyłeś Jaśnie wielmożny pan powiedzieć, że w każdym nagłym razie pragniesz zastąpić mi ojca, któregom za prędko utracił. Słowa te, malujące serce Jaśnie wielmożnego pana, wycisnęły mi łzy i wryły się na zawsze w mojej duszy. Dziś odwołuję się do nich; i wierz mi Jaśnie wielmożny panie, że w żadnym innym razie spełnienie téj obietnicy, którą tu przypomnieć śmiałem, nie obudzi we mnie głębszej czci i żywszej wdzięczności.»

To napisawszy Ignaś, pochodził jeszcze po pokoju, pomarzył, pokalkulował wszystkie szanse projektu i postanowienia, które powziął, i pomodliwszy się i podziękowawszy P. Bogu, że mu podał szczęśliwą myśl, która mu pozwoli być pomocnym tym, których kochał, zasnął spokojnie.

Wszystkie ostrożności, których poczciwe te dzieci używały, aby zła wiadomość nie doszła do

pani Jelewskiej, nie nie pomogły. Niedola, która wisiała nad ich głowami, musiała dojść do swego punktu kulminacyjnego, podnieść się do swego południa, aby potem zwolniało jej natężenie i cichszy i pogodniejszy nastąpił wieczór. Jest to prawo natury, któremu wszystko ulega, bo wszystko na ziemi naszej w ustawicznym jest ruchu, a ten ruch niezem innem nie jest, jak ciągłym wzrostem, dochodzeniem do najwyższego podniesienia się, potem chyleniem się, umniejszaniem i upadkiem. Tak rośnie i upada wszelkie powodzenie i wszelka niedola; tak podnosi się coraz, jaśnieje najwyższym blaskiem, potem zaćmiwa się i ni knie wszelka siła moralna, talent i geniusz; tak przypływa coraz, coraz silniej buczy, podnosi się do przerażającej potęgi, potem się łagodzi, usuwa i ucisza ocean; tak rośnie, dojrzewa i opada życie samo, równie pojedynczych ludzi, jak całych narodów, jak i tej ziemi całej, która nam się wydaje trwałą i wieczną, bośmy sami zbyt mali i znikomni.

Znalazła się znajoma i przyjaciółka biednej tej kobiety, która ją niezmiernie rzadko odwiedzała, póki nie miała nic złego do doniesienia. Ale do-

wiedziawszy się przypadkiem o klęsce, jaką poniosła, przyszła natychmiast, spocona i zadyszana weszła do pokoiku choréj, i wprzód nim się Julka obejrzała, nim zdołała przebiec przez się z mieszkania siostry do swego, dowiedziawszy się od sługi, że ktoś obcy poszedł do pani, już usłużna przyjaciółka wyrecytowała pani Jelewskiej wszystko, i już córka zastała matkę zalaną łzami, załamującą ręce i w najokropniejszym stanie.

Ta myśl, że straciła ostatni fundusz swych dzieci, której Ignas żadnemi perswazyami, żadnemi środkami ratunku, które mu podał pan Mierniczewski, wybić jéj z głowy nie mógł, przyprowadziła ją do takiego stanu, że już na drugi dzień mimo starań lekarza, mimo czuwania i zabiegów przerażonych dzieci, życie jéj było w niebezpieczeństwie. Lekarz zwątpił, i wychodząc szepnął Kańskiemu, aby przygotował żonę i siostrę, że nieszczęście, które przewiduje, spotkać je może wkrótce. Jakoż siódmego dnia od wizyty owéj przyjaciółki, która się już więcéj nie pokazała, a śpiąc zapewne dobrze i popijając rano kawę nie myślała nawet o tém, że popełniła występpek, Paulinka i Julka zostały sierotami.

Ignas z przywiązaniem synowskiem zajął się pogrzebem, obstałował trumnę, zamówił miejsce na Powązkach, karawan, któryby umarłą do miejsca jej wiecznego schronienia dowiózł, i księdza, któryby ją przynajmniej do końca Nalewek odprowadził. Wszystko to miało być ubogie, wyrachowane z największą oszczędnością, a jednak koszt, nie licząc żałobnych sukienek dla dzieci i żałobnego nabożeństwa, które miało się odprawić później, wynosił sto kilkadziesiąt złotych. Z tym rejestrzem, zamykającym wyszczególnienie wydatków i w rezultacie tę ogromną sumę, wrócił Ignas smutny i znękany do cichego mieszkania na trzecim piętrze, gdzie tyle chwil radośnych mu przeszło, gdzie nie raz tak był wesołym i szczęśliwym. Tam teraz ponure panowało milczenie. W drugim pokoiku leżała umarła, spokojna i bez ruchu, w pierwszym siedział Kański z głową wspartą na obu rękach; przy jednem oknie Paulinka, przy drugim Julka, obie w czarnych sukienkach, z twarzą bladą, z zapuchłemi od płaczu oczami. Wszyscy milczeli, wszyscy myśleli ciężko i głęboko, wszystkich głowy uginały się pod ciężarem życia, które się na nie z całym zapasem trosk i bo-

leści ziemskich zwałilo, a przed Kańskim na stole leżały pieniądze, kilka papierków, kupka srebrnej monety i cokolwiek miedziaków.

Gdy Ignas wszedł, wstrząsł się w głębi duszy na ten widok, jaki go uderzył, przemógł jednak pierwsze wrażenie i zbliżywszy się do stołu ze spokojnością, na jaką się mógł zdobyć, położył na nim rejestr expensów pogrzebowych. Wtedy Kański podniósł głowę i zapytał:

—Urządziłeś już i obstalowałaś wszystko?

—Wszystko— odpowiedział Ignas.

—I wieleż to będzie kosztować?— zapytał Kański. Ignas przysunął mu rejestr i pokazał palcem sumę, a Kański zawołał— sto siedmdziesiąt cztery złote! i bez sukienek dla nich?

—Bez— odpowiedział Ignas.

—I bez nabożeństwa żałobnego?

—Bez— odpowiedział nasz bohater tym samym tonem.

—A to cały nasz fundusz— mówił dalej Kański ukazując na pieniądze leżące na stole— czterdzieści ośm złotych i groszy piętnaście. I z tego trzeba pochować matkę, i żyć potem cały miesiąc!

I to powiedziawszy porwał się z miejsca, od-

tracił od siebie krzesło i łamiąc ręce chodzić zaczął po pok oju. Ignas postąpił za nim, zatrzymał go przy drzwiach i rzekł mu:

—Wstydz się Olesiu! upadasz na duchu wtedy, kiedyś powinien dać przykład męztwa tym biednym kobietom, które na ciebie patrzą.

—Ha!— rzekł Kański, zakładając palce we włosy i szarpiąc je z bolem— wplątałem się jak szalenie w nieszczęście nad moje siły. Nie pozosta je mi nic, jak Wisła!

—Cicho bądź, słaby człowieku!— rzekł mu wówczas Ignas ściskając silnie jego rękę— zbudzisz tam umarłą, która ci odejmie błogosławieństwo, jakie ci dała.

Kański przerażony temi słowy, spójrztał z przestachem ku drzwiom drugiego pokoju, a potem rzucając się na szyję Ignasia i płacząc, szepnął mu:

—Ratujcie nas, jeżeli możesz, bo ja bez rozpaczy patrzeć na nią nie mogę.

Ignas przystąpił do Julki i rzekł jój ciszej:

—Umaeniaj go Julciu! bo upada i słabnie. Ja zaraz wrócę— i wzięwszy kapelusz, wybiegł szybko na miasto.

Gdy się ujrzał na placu przed Zygmuntem, sta-

nał nagle i dopiero wtedy zaczął myśleć, dokąd się ma udać, do czyich drzwi zapukać, do czyjego serca zawołać, aby poratowało bliźnich tonących w smutku, nie widzących przed sobą jutra. A przed nim w otwartych powozach przejeżdżały postrojone i śmiejące się panie, obok niego przechodzili panowie, jedni świszcząc i pośpiwując, inni ścigając za uchodzącą przed nimi pięknnością, inni z powagą i pokojem człowieka, który niegłodny, i wie o tem dobrze, że za lat dziesięć i dwadzieścia będzie miał taki sam obiad, jaki miał dzisiaj. Dziwnie mu się wydały wszystkie te postaci, zajęte sobą, myślące tylko o własnych uciechach, układające projekta i plany na jutro li tylko dla siebie; rzucające nawet parę groszy biednemu dla tego tylko, że razi ich oczy skrzywieniem twarzy, łachmanem źle okrywającym pokaleczone ciało, i przerywającym im myśli próżności, ambicyi lub rozpusty, które łechcą ich serce lub drażnią rokosznie ich zmysły. Nikt z przechodniów nie rzucił na niego okiem, nikt się na tem nie zastanowił, dla czego ten piękny młodzieniec, z ujmującymi rysami, z szerokim i myślącym czołem, z postacią kształtną i dorodną, stoi tak na placu

nie wiedząc dokąd się udać i gdzie znaleźć serce, coby go zrozumiało. Niestety! on wtedy myślał: Do kogoż pójdę? komu powiem: bracie! do tych wysokich szyb w oknach kamienic, które mijasz śpiewając, na które nie podnosisz wzroku, przytykają się czoła, które pali gorączka głodu, które rozrywają myśli rozpacz! tam jest więcej nędzy okrytej gruhemi i staremi murami, tającej się pod brudnym i wysokim dachem, niż tu na ulicy gdzie jej szukasz; jeżeliś dobry i szlachetny, tam zajdź czasem po ciemnych i krętych schodkach, zajrzyj do tych mieszkań, których nie masz pojęcia, w godzinach przechadzki, próżnowania lub poczciwego natchnienia; tam znajdziesz nieraz dzieci siedzące przy trupie matki i myślące nad tém, z kąd wziąć kilkadziesiąt złotych, aby ją matka ziemia do łona swego przyjęła; tam znajdziesz nie raz młodą matkę, siedzącą nad zwłokami dziecka, i myślącą nad tém, z kąd wziąć kilkanaście złotych na sukienkę dla niewiniątka, kto jej da kilkanaście groszy na białą wstążeczkę, którąby do jego trumienki przypięła. A ty tymczasem idziesz do ogrodu, abyś zarobił na apetyt, lub przechadzasz się ziewając po pysznych kobiercach swoich salo-

nów, i nudzisz się oczekując na licznych gości, których na sutą sprosiłeś biesiadę. I nie wiesz o tém, że choć może dużo dajesz dla biednych, gdy kwestarki piękne, bogate, grzeszysz jednak za sklepiając się w swoich marmurach, złotonych gżemsach, jedwabnych obiciach i aksamitnych krzesłach, na których drzemiesz, lub prawisz grzeczności tym, co ci nie wierzą; i nie wiesz o tém, że dla tego Bóg nie skazał cię na pracę, odjął ci frasunki ziemskie i potrzebę myślenia o jutrze, abyś miał swobodę wyjść z ciasnego choć świętnego koła, którem się opasałeś, abyś zespolił twą myśl z nędzą ludzką, która cię nie dotyka, abyś się poznał z życiem nie takim jak twoje, abyś miał czas szukać tych, co ciebie z wyciągniętą ręką szukać nie śmieją, abyś otarł te łzy, które płyną cicho i tajemnie i zaspokoił bez próżności i ostentacyi ten głód nie wołający głośno, a który możesz łatwo utulić setną częścią tego, co przed tobą zastawiają codzien, a na co ty patrzysz często ze wstrętem i obrzydzeniem.

Takie i tym podobne myśli przychodziły naszemu bohaterowi i żadna twarz nie przedstawiła się jego wyobraźni, na której wyczytałby te słowa:

mów a pojmem cię i wysłucham. Wtedy mignął przed nim kocz, a w nim smutna cós, choć leżąca z wdziękiem, przejechała na Podwale ciotka Herminia. Przyszło mu więc na myśl udać się za nią, i dla ratunku tych, których kochał, przebaczyć słabości i poniżeniu, korzystać z dobrego serca, o którym nie wątpił, i z tego jakiegoś smutku, a może z myśli żalu i poprawy, które w niej widział. Pewnym był Ignasz, że się ciotka ucieszy jego pobłażliwością i powrotem do niej, że na pierwsze jego słowo i obraz niedoli krewnych, otworzy swoją szkatułkę, odda co ma, a jeżeli niema, odda brylanty, co ją zdołają i czynią tak piękną i powabną. I tak myśląc, puścił się na Podwale. Ale gdy stanął przy tych drzwiach, gdzie niegdyś widział świetny powóz żyda, od którego i te pieniądze i te brylanty; gdy pomyślał, że zarobkiem niewstydu i rozpusty otarłby łzy z tych oczów, których jeszcze żadne brudne słowo nie pochyliło do ziemi, wzdrygnął się szlachetny młodzieniec na takie upodlenie, i dla odświeżenia głowy i ochłodzenia płonącego od gorączkowych myśli czoła, pobiegł do ogrodu Saskiego, i tam usiadłszy w bocznej alei, znowu rozmy-

ślać zaczął. Żał mu się zrobiło, że nie było kasztelana, któryby go zapewne poratował, choć nie śmiałyby powiedzieć mu wszystkiego; żałował jeszcze mocniej, że nie było panny Jadwigi, którejby się odważył powiedzieć wszystko, któraby go pojęła i zrozumiała, która nie mając gotowizny, lub nie śmiejąc nią szafować, oddałaby mu jaki brylant, tak niepotrzebny do podniesienia jej piękności, czysty jak lza, coby w tej chwili zrosiła jej piękne oko, i który przyjąłby chętnie z tej ręki, coby może chciała bratu jego oddać duszę swą i życie. Te myśli zaprowadziły go do Zabuża, a ztamtąd przeszedł do Sawina, do rodzinnego domu, do probostwa ocienionego staremi lipami, do grobów rodziców, do szczęśliwych chwil dzieciennego wieku, do tak pracowitego, ale tak swobodnego, tak pełnego nadziei szkolnego życia, które nibyto długo wlekło się od godziny do godziny, od klasy do klasy, a jednak gdy przeminęło, z takim wdziękiem najmilszych wspomnień, wzywa napowrót do siebie. Potem przywiódł sobie na myśl swoją podróż, która go miała wprowadzić w otwarte szranki rzeczywistego życia, i rozważał, czy to znak łaski czy nielaski, czy to dobra,

czy zła wróżba na przyszłość, że to życie, nie dawszy mu czasu zasłużyć ani na rozkosz, ani na cierpienia, przyjęło go tak dziwnie od razu, i na samym wstępie położyło na młodej głowie jego dwa wieńce, z których jeden upajał go różami szczęścia i cudnych nadziei, a drugi kłuł i krwawił cierniami boleści i przedwczesnego doświadczenia. I wówczas przypomniawszy sobie towarzysza tej podróży i jego rozmowę. Postać szlachetnego człowieka stanęła żywo w jego imaginacyi; jego rady powtarzając się w pamięci, umocniły go i ugruntowały w tych projektach i planach, jakie miał nadal, i powiedziawszy sobie w duchu: dla czegoż od razu o nim nie pomyślałem? jeżeli on mi nie pomoże, to nikt mi nie poradzi— i porwał się z miejsca i pobiegł na Senatorską ulicę.

W bramie mieszkania hrabiego Adama stał powóz zaprzężony. Szwajcar postawił laskę swą przed wchodzącym Ignasiem, i rzekł mu:

—Pan hrabia zaraz wyjeżdża i nikogo nie przyjmuje.

—Mam pilny bardzo interes, i pan hrabia po-

zwolił mi wejść o każdej porze— rzekł młodzie-
niec, którego niecierpliwość paliła.

—Ja tam tego nie wiem— odpowiedział szwaj-
car obojętnie.— P. hrabia zaraz wyjdzie, to pan
mu swój interes powiesz, jeżeli będzie miał czas
słuchać. Zaczekaj pan troszkę.

Został więc Ignas i czekał, ale szczęściem nie
czekał długo. Hrabia zaraz wyszedł mając sia-
dać do powozu, a postrzegłszy młodego człowie-
ka z bladą i zmienioną twarzą, przystąpił do nie-
go i rzekł;

—Pan Zabuzski! ledwim pana poznał, tak
zmieniłeś się. Co panu jest?

—Mam parę słów panu hrabiemu powiedzieć—
odpowiedział Ignas.

—Proszę — rzekł hrabia i wróciwszy do pier-
wszego pokoju dodał: — Słucham pana.

Ignas opowiedział mu w krótkości w jakim
położeniu znajdują się jego krewni, jakim nie-
szczęściem stracili ostatni fundusz i matkę. Po-
kazał mu rejestr kosztów pogrzebu i dodał, że
na to wszystko mają tylko czterdzieści kilka zło-
tych, z których cały sierpień żyć muszą, że on
wydał już ratując ich wszystko co miał, i że na-

wet to, co miał odebrać w połowie sierpnia za korreptycyę, także już w znacznej części wyszło.

—Nie mam nikogo panie hrabio— dodał z mocą i uczuciem— do kogobym się udał o pomoc i ratunek. Do referendarza nie pójdę za nic w świecie, a zostawić ich w rozpacz, przy trupie matki niepochowanęj, nie mogę. Postanowiłem sobie w duszy, że w razie potrzeby przyjdę do pana hrabiego po radę, przyjdę po protekcyą, ale nigdy po pieniądze. Ten gwałt, który mię teraz ciśnie, złamał moje postanowienie. Przychodzę więc z pokorą prosić o dwie łaski: pierwsza abyś mi pożyczyl na zaspokojenie tego świętego dla mnie wydatku, a druga, abyś nie myślał, że długu tego nie oddam. Za parę tygodni najdalej spodziewam się mieć tysiąc trzysta złotych od dzierżawcy naszego folwarczku w Sawinie, które mi teraz należą. Prosto z poczty przyjdę tu do pana hrabiego i to czém mię teraz zbawisz, będziesz miał w ręku.

Hrabia wydobyl pulares, wyjął z niego trzy papiery dziesięcio-rublowe i ściskając rękę młodego

człowieka, w którego oczach stały łzy żalu i upokorzenia, rzekł:

—Oddasz mi pan, jak będziesz miał, tylko nie z tych, co ci teraz przyjdą. Te pieniądze znajdują zapewne pilniejsze pomieszczenie, a ja mogę zaczekać, i czekać będę tém spokojniej, zem pewny, że mi ta sumka nie przepadnie. Więc zawsze jesteś pan aplikantem — dodał hrabia odwracając rozmowę do czego innego dla uniknięcia podziękowania.

—Zawsze panie hrabio.

—I nie masz żadnej nadziei ani pensyi, ani dyet?

—Żadnej— odpowiedział Ignasz.

—Siadaj-no pan ze mną— rzekł hrabia— zdaje mi się, że czas pomyśleć o czém inném. Bióro i aplikacya do niczego pana nie doprowadzą.

Wyszli więc razem i siedli do powozu przy kiwaniu głową i minach podziwienia szwajcara, który nie mógł tego pojąć jak pan hrabia, który jego postawił przy drzwiach, tak lada kogo sadza obok siebie w kolascie.

Na Miodowej ulicy stanęli przed jednym ze znaczniejszych domów, gdzie weszli w bramę pod-

jazdową. Tam z prawej strony na drzwiach był napis: *Comptoir*, wielkimi złotonemi literami, ładnym angielskim pismem; z lewej zaś strony drzwi mahoniowe, ozdobione bronzowemi i złotonemi klamkami, a w trzeciej części zaszkłone różno-kolorowemi szklami, prowadziły do mieszkania bankiera i właściciela lub wspólnika głównych w kraju zakładów fabrycznych.

—Obaczysz pan jak tu suto— rzekł hrabia z uśmiechem.— Już z tego wstępu widzisz pan, co będzie dalej. Chciałem panu pokazać do czego to, przy szczęśliwych okolicznościach i dobrej głowie, doprowadza przemysł. Ten pan Olkuski, do którego mam interes i z którym o panu pomówię, niegdyś żydek z Olkusza, przed dwudziestu laty był chłopcem sklepowym; dziś jest chrześcijaninem, ma herb i obraca milionami. Próżnym on jest, jak całe to pokolenie, kiedy się wyniesie nad nędzę, która je gniecie i nad szachrajstwo, jakim żyje; ale to człowiek dobry i uczciwy. Jeżeli pana użyje, jeżeli ci da zajęcie, choćby czasowo, możesz być pewnym, że nadziei twych nie zawiedzie.

To powiedziawszy hrabia pociągnął za rączkę

kryształową oprawioną w złocony bronz i wiszącą na grubym wyzłoconym drucie. Drzwi w ten moment otwarły się same, i weszli do paradnej sieni, ozdobionej pięknymi sztychami, mającej szerokie schody wywoskowane i pięknym zasłane kołbiercem, a po jednej stronie zastawione wazonami, w których były rzadkie i kwitnące rośliny. Pyszna lampa je oświecała, a w niszy, na pierwszym piętrze, stał posąg czy fortuny, czy innej jakiej bogini, do której ręki przyczepiony był trochę niezgrabnie, ale nie źle wyrobiony i suto wyzłocony róg obfitości. Drzwi wehadowe były białe, po wszystkich kątach i wyrzynaniach złocene. Gdy je lokaj otworzył i postrzegł hrabiego, rozwarł je natychmiast prosząc, aby się pofatygował do sali, a sam pobiegł i dał znać panu. Szli więc przez parę pokojów, gdzie wszystko błyszczało od złota. Nie było miejsca na drzwiach, oknach, gźemsach, gdzieby nie świecił ten kruszec, za który oddajem wszystko: zdrowie, pokój, sumienie, piękność ciała i siłę talentów i nauki. Firanki wisiały na złoconych drażkach, podpięte były złoceniemi kruczkaami; na kominku marmurowym w drugim pokoju stały złocene figurynki i zegar

cały błyszczący; krzeselka i kanapy były białe ze złotonemi fugami, pokryte ponsową materją oszytą galonem i złotą frenzlą; sztychy i zwierciadła były w złotonych ramach, nawet dwa wielkie oleandry, które stały przed oknami, rosły w dużych wazonach pomalowanych olejno, ale objętych złotonemi obręczami. W sali sporój, o trzech oknach, wymozajkowanėj biało, ze złotemi prążkami, obwiedzionėj szerokim złotonym gżémsem, wszystko kapało od złota. Tu już prążków i fug złotonych było za mało. Wszystkie poręcze kanap i krzesel, wszystkie ich nogi, oraz wyginane i wyrzynane nogi stołów, z płytami z białego marmuru, były całkowiecie wyzłoczone; zwierciadła ogromne w złotonych świeciły ramach, materja nawet żółta na meblach i firankach imitowała złoto; co zaś błyszczało, świeciło, kłuło w oczy i przypominało bogactwo właściciela, na kominie ogromnym z czarnego marmuru, którego gżéms podparty był złotonemi bronzowemi figurami, na etażerkach, które stały pod zwierciadłami, po kątach na marmurowych kolumnach, na wspaniałym żyrandolu, który wisiał z sufitu, to się ani wyliezyć, ani opisać nie da.

Zaledwie Ignas miał czas rzucić okiem na ten blask, który stworzyła zamożność i próżność, a którym gust nie kierował, gdy się drzwi otwarły i wyszedł naprzeciw nich pan Olkuski, w ubraniu pełnem elegancyi i okazującym prześliczną bieliznę, drogą materycę na kamizelee, kosztowne i błyszczące sukno na tużurku. Kilka pierścionków, jak się tego łatwo domyśleć, błyszczało na palcach, i duży brylant świecił w gorsie od koszuli. Pan Olkuski był mężczyzna słuszny, przystojny, jeszcze dość młodo wyglądający, z ładnymi wąsami, a choć rysy, kiwanie głową i cmokanie przy niektórych okolicznościach podziwienia lub politowania wydawane, zdradzało pochodzenie, nie miał on w sobie nic odrażającego, owszem, wyraz oczu objawiał pojętność, a cała twarz wyrażała dobre i ucziwe serce.

—Przepraszam pana hrabiego— rzekł pan Olkuski, wymawiając niektóre słowa dobitnie— żem pana hrabiego troszkę zatrzymał. Ale zastał mię pan hrabia przy rachunkach, przy robocie, i byłem w szlafroku.

—A czemużś pan nie wyszedł w szlafroku?— mówił hrabia z uśmiechem— pewnie sprowadzo-

ny z Paryża i musi być adamaszkowy lub aksamitny.

—Prawda, że on sprowadzony z Paryża i kosztuje dwieście franków— odpowiedział bankier— ale on więcej wygodny jak paradny. Tak sobie prosty aksamitny ze złotemi kwiatkami. Cóż mi sprowadza taki honor, że pan hrabia aż do mnie się fatyguje.

—Gdybyś pan miał interes do mnie, tobyś do mnie przyjechał— odpowiedział hrabia— ale że ja mam interes do pana Olkuskiego, rzecz naturalna, że ja powinien być służyć mu i interes swój przełożyć.

—Bardzo się cieszę, bardzo się cieszę— rzekł bankier, któremu w głowie utkwiał szczególnie ten wyraz, że taki pan powinien być jemu służyć.— Nieskończenie wdzięczny jestem temu interesowi, że on się zdarzył i sprowadził mi taką wizytę. Ale może pan hrabia pofatyguje się do mojego gabinetu, tam swobodnie pogadamy. I dam panu hrabiemu cygarko! dwuzłotowe, e! e! e! doskonałe! rok temu sprowadziłem parę tysięcy z Hamburga i wyschli jak pierz. Służę panu hrabiemu.

—To dobry mój znajomy pan Zabuzski—rzekł

hrabia— którego panu rekomenduję i o którym także mam panu parę słów powiedzieć.

Bankier ukłonił się bardzo grzecznie bohaterowi naszemu, który oddał ukłon, hrabia dodał:

— Niech pan Zabuzski będzie łaskaw zatrzyma się tu chwilkę, ja się ułatwię za kwadransik.

I wyszli oba, a Ignaś usiadł na złotém krzeselku i porównywał ten zbytek nicograniczony, bez myśli i celu, z tą nicogranieczoną niedolą, co go tu sprowadziła, i w której była głębsza myśl, jakiś poważniejszy cel, i daleko wyższa choć surowa i przerażająca piękność.

Rozmowa trwała z pół godziny i nareszcie znecierpliwiała już młodego człowieka, któremu pilno było wrócić co prędzej na Święto-Jańską ulicę, aby zanieść tam choć tę pociechę, że jest już za co matkę pochować. Ale nakoniec pokazał się hrabia, przechodząc ścisnął tylko za rękę młodzieńca, który mu oddał ukłon pełen uszanowania, i poszedł, wyprowadzony przez grzecznego i pyszniącego się stosunkami z takim panem bankiera aż na schody. Wkrótce pan Olkusi wrócił, szedł szybko i z podniesioną głową przez salę, rzucił jeszcze okiem na błyszczące w niej

złoto i spojrział na bohatera naszego, jaki też to bogactwo robi na nim efekt, a widząc, że twarz jego smutna i zniecierpliwiona, rzekł:

— Chodź pan tu.

Wszedł więc za nim młody człowiek do gabinetu, który był cały wyłożony kobiercem, miał kilka miękkich kanapek i foteli, bióro paradue zarzucone papierami, kilka nieszczęśliwych mallowideł i piękny portret jakiegoś żyda, który tam wisiał na pierwszém miejscu, i prawie pół łokciową, suto wyrzynaną i wyzłoconą ramą był otoczony. W pracowni tej, gdzie nie wielkie myśli, ale wielkie rozlegały się cyfry, było mniej złota, więcej wygody, ale zawsze nie wiele gustu.

Pan Olkusi skoro tam wszedł, krzyknął zaraz na kamerdynera, żeby mu podał szlafrok. Zrzucił więc tużurek swój bez ceremonii, odział się w owe z Paryża sprowadzone aksamity, nałożył na głowę czapkę czarną aksamitną ze złotym kutasem, i wzięwszy w usta dwuzłotowe cygaro i rozwaliwszy się na fotelu, rzekł:

— Usiądź pan bez ceremonii. Pan hrabia Adam bardzo dobrze panu życzy i dużo mnie o panu mówił. Ja wierzę, że pan masz głowę, i jak-

byś się przyłożył, toby z pana był prędko pomocnik rozumny i uczciwy. Ale widzisz pan Zabuzski, tu zachodzi jedna wielka trudność. My Polacy— dodał poprawiając wąsa, do którego wielką miał pretensją— wszystkie nasze interesa ułatwiamy po niemiecku. A pan pewnie tego języka nie umiesz.

— Mało go rozumiem— rzekł Ignasz.

— A widzisz pan Zabuzski— mówił dalej bankier.— To dla tej przyczyny ja nie mogę dogodzić życzeniu pana hrabiego, choćbym rad bardzo, żeby panu u siebie dać miejsce, i choć on tak z całego serca za panem mówił. A to człowiek taki! e! e! e! Tym bardziej jaby rad co dla pana zrobić, że on mówił także i o te smutne położenie, w jakim się pan teraz znajdujesz. Jaby nie chciał, żebyś pan odemnie wyszedł tak, iżbyś powiedział, że Olkuski nie zrobił nic dla młodego człowieka, za którym taki pan, jak hrabia Adam, bardzo go prosił. Wiész-że pan co, pan Zabuzski!— dodał bankier powstając i zbliżywszy się do młodego człowieka, który powstał także.— Te biedne kobiety pan pochowasz, ale co potem będzie? Ani pan, ani krewne pana

nie będą mieli spokojności, i będą musieli myśleć, z kąd tu wziąć na jutro. A przy takich myślach, to nie można pracować i zarobić na kawałek chleba, który z początku dużo kosztuje. Weź-że pan to, co ja panu pożyczę, żebyś pan miał spokojną głowę, i żeby oni mieli spokojne głowę i nie płakali przed panem, coby panu nie dało ani spać, ani pracować.

To powiedziawszy zbliżył się do swego biura, na którym stało kilka kupek półimperyałów, wziął z nich jedną, zamykającą w sobie dziesięć sztuk, i trzymając je między dwoma palcami, obrócił się do zadziwionego młodzieńca i rzekł:

— To się panu przyda i wystarczy na pierwszy moment, póki pan nie znajdziesz sobie jakie miejsce, albo nie znajdzie się jaki fundusz, czy z tego folwarczku, co go pan masz, jak mi pan hrabia mówił, czy jaki inszy. Bo to czasem Pan Bóg da tak, że się człowiek nie spodziewa. Nu, bierz-że pan.

— Ależ panie Olkuski!— rzekł Ignaś cofając się.— Wszystko to, coś pan powiedział jest prawdą i położenie nasze jest bardzo smutne. Ale oceniając serce pana, mogęż korzystać z jego do-

brych chęci? Ja! mużny nie przyjmę za nic, a pożyczki takiej zaciągać także nie mogę, nie wiedząc kiedy i zkaąd oddam.

— C! c! c! cmoknął bankier— jaki z pana dziwny człowiek! Czy pan myślisz, że to dla mnie taka wielka rzecz dziesięć półimperyałów, choćby przepadły. Kiedy ja wiem, że nie przepadną. Jak pan staniesz na nogi, że będziesz miał, to mnie pewnie oddasz. A kiedy pan chcesz, żeby było pewniejsze, to mi pan dasz na to rewersik i naznaczymy procent od tego ogromnego kapitału— dodał z uśmiechem, w którym malowało się lekceważenie takiej sumki.

— Dla mnie on ogromny— rzekł Ignasz patrząc z podziwieniem na twarz człowieka, w której malowała się ta mieszanina próżności i dumy z posiadanych skarbów, dobroci i wchodzenia w biedne położenie innych.

— I dla mnie kiedyś taka summa była ogromna, mówił pan Olkuski— a dziś dzięki Bogu jest fraszką. A wiesz pan dla czego? to ja panu powiem. Oto znalazłem takiego człowieka, co mnie także zawierzył, kiedy byłem młody i nie miał nic, że mu oddam z procentem. I on po-

życzył mi tysiąc złotych. A jak ja z tych tysiąca złotych zrobiłem trzy, to przyniosłem mu i oddałem tysiąc złotych z procentem. On mnie wtenczas pożyczył dziesięć tysięcy. A jak z tych dziesięciu tysięcy zrobiło się trzydzieścj, to mu znowu przyniosłem dziesięć i oddałem, a on mi wtedy pożyczył sto tysięcy. I tak przyszło do tego, co pan widzisz, a jest dzięki Bogu dużo. I wiesz pan, kto był ten dobry człowiek, co mnie tak wierzył, choć byłem młody i biedny? Oto był ten żyd, z tą białą brodą i z tą wyschłą, ale poczciwą ręką.

I ukazując na portret, stanął przed nim i patrzył przez chwilę z wdzięcznością na znaczącą i wyrazistą twarz starego dobroczyńcy swego; potem obracając się do Ignasia i oddając mu pieniądze, mówił dalej ze wzruszeniem:

— Weź pan, weź; a jak będzie potrzeba, to przyjdź pan znowu do mnie.

Ignas wziął bez wahania się, ścisnął ze współczuciem ucziwą dłoń człowieka, który wśród milionów, któremi poruszał, i złota, które go otaczało, nie wstydził się dawniejszej swojej biedy, i wzruszony wyszedł. Pan Olkuski wy-

prowadził go do sali, gdzie naprzeciwko nich szedł drugi milioner, który tylko co przybył do kolegi i współnika swego, i wchodził bez meldowania, w kapeluszu na głowie, z cygarem w gębie, z gazetą francuzką w ręku, z miną napuszczoną i odętą. Był to znajomy nasz pan Geldson.

— Jak się masz Sztasiu!— rzekł nie zdejmując kapelusza do gospodarza domu.— Tylko co spotkałem przyjaciela mego hrabiego Adama. Mówił mi, że był u ciebie.

— Przed kwadransem był tu u mnie pan hrabia— odpowiedział pan Olkuski— miał do mnie ważny interes, i rekomendował mi tego młodego człowieka.

— Któż to jest ten młody człowiek? ja jego gdzieś widziałem— i obracając się do Ignasia i patrząc na niego z góry, zapytał— gdzie ja pana widziałem?

— Widziałeś mnie pan tam— odpowiedział Ignas czerwieniąc się— gdzie jabym nie chciał być pana widzieć.

— Nu, co to jest? takie harde odpowiedź!— rzekł żyd pusząc się— ja teraz sobie przypomnę, To ja u moje dobre znajome pani Tonicę, pana

widziałem. Pan jej krewny. Może pan co potrzebujesz; to ja panu mogę dać— i wsadził dwa palce do kieszonki od kamizelki, gdzie zawsze były półimperyaly, któremi zadzwonił.

— Schowaj pan swoje złoto na co innego— rzekł młodzieniec ze wstrętem— i powiedz pan mojej krewniej, że gdybym nawet potrzebował, to wolałbym wyciągnąć rękę pod murem, niż wziąć grosz jeden od niej, albo od pana.

— Hast du gesehen!— rzekł Geldson, poglądając na pana Olkuskiego. Ten się uśmiechnął, a bohater nasz, ujęty więcej szczérością i obejściem się z nim ucziwego dorobkowicza, niż kredytem, jaki mu u siebie otworzył, ścisnął ze spółzuciem jego rękę i nie spojrzawszy na zadziwionego żyda, poszedł.

W kilka dni po pogrzebie, gdy się nieco uspokoiłi, i mogli już cokolwiek zimniej rozmawiać o przyszłym urządzeniu domu, o rozdziale zatrudnień i pracy, o ścisłym obliczeniu dziennych wydatków i sperandzie dochodów, które je pokryć miały, stanęło, że zatrzymają dla siebie dawniejsze dwa pokoiki od ulicy z kuchenką, a te, gdzie Kańscy mieszkali, ustąpią gospodyni, lub jeśli

ich z rocznego kontraktu zwolnić nie zechce, wynajmą od siebie. Przyczynek Ignasia do stołowania się miał pozostać po dawnemu do dalszego czasu, a na robocie nie brakło; niektóre bowiem litościwe osoby, dowiedziawszy się o nieszczęściu tych interesujących dzieci, pomogły im i same do zarobku, i rekomendowały znajomym i przyjaciółom. Tak więc ciężkie te chmury, co zasłaniały im horyzont, dochodząc stopniowo do najwyższej ciemności, rozerwane straszliwym błyskiem, który przeraził i ukorzył ich serea, zaczęły się zwolna rozchodzić i nawet w zwątpiałej i zawstydzonej niemęztwem duszy Kańskiego, odrodziła się wątpliwa jeszcze nadzieja jaśniejszych dni i pogodniejszego wieczora.

Wśród takiego uspokojenia, za które Julka codziennie dziękowała Ignasiowi wdzięcznym ścisnieniem ręki i spójrzeniem pełnym najserdeczniejszej miłości, gdyż rzeczywiście jemu się ono należało, wzięli się raz do przejrzenia papierów, w jednej szufladce biórka nieboszczki znaleziounych. Miedzy listami Pawła Jelewskiego do żony, które wszystkie okazywały brak przywiązania, i brak zupełny obyczajów w młodzień-

cu niegłupim i drwiącym ze swych obowiązków, i nawet z tych stosunków, co go gubiły, znajdowały się takie, w których albo przeproszał żonę, że kilka nocy nie nocował w domu, i dziś jeszcze nie przyjdzie; albo wymawiał jej, że go każe wszędzie szukać służącemu i śledzić jego kroki, jak gdyby nie był panem swojej woli; albo ją prosił o pieniądze i bieliznę do przebrania się; albo groził, że się utopi w Wiśle, lub sobie w łeb palnie, jeżeli nie podpisze weksłu na dwadzieścia tysięcy, który na siebie i na nią wydał, a którą to summę jednej nocy przegrał. Ostatni list datowany był z Chełma dnia 5 czerwca 1832 roku. Ponieważ dokument ten wyświecający cały stosunek tych dwójga ludzi, którzy nie przystając do siebie ani charakterem, ani sposobem myślenia, ani obyczajami, pobrali się jednak dla własnej niedoli, przyda się nam w dalszym ciągu opowiadania, zamieszczamy go przeto w całości.

»Najpocziwsza w świecie kobyto! żono moja Anno Weroniko! Znękany niepowodzeniem w tym kraju rodzinnym, gdzie mi się nic nie udało, nawet ożenienie; gdzim tyle narobił głupstw, z tylu

się huncwotami poznał, tyle razy był oszukany, tyle razy był już do tego przyprowadzony, że sam chciał oszukiwać i okradać innych, tak jak mnie okradali, puszczam się w świat daleki i nieznany i piszę do ciebie na wsiadaném. Jest to list ostatni, którym cię żegnam na zawsze. Wprawdzie tyle razy przyrzekałem ci, że grać nie będę, a nie dotrzymałem słowa. Ale na tém nie polegaj, że ci go i teraz nie dotrzymam. Inna rzecz karty, a inna żona. Nie pisz więc do mnie, bo ci nie odpiszę, nie szukaj mię żadnymi drogami, ani przez policyą, ani przez gazety, bo mię nie znajdziesz. Mąż łajdak i szuler, który biegnie w świat szukać szczęścia, i ucieka przed poczciwą żoną, którą zrujnował i której kochać w żaden sposób nie może, potrafi się tak schować, że go ani żandarmerya, ani szpiegi, ani żaden list gończy i nie gończy nie znajdzie. *Adieu donc mon plaisir pour jamais.*”

»Powieśz zapewne, że to postępowanie niegodziwe, że wart, aby mię pierwsza kula nie minęła tam, gdzie biegnę. Prawda, wielka prawda! Ja to i sam sobie nie raz mówię i sam myślę, że mnie za twoje łzy, za twoje pienią-

dze, za zostawienie cię bez funduszu i opieki powinna spotkać nie tylko kula, ale i stryczek. A jednak gdy się nad tém gruntowniej zastanawiam, to się znowu usprawiedliwiam, a nawet pocieszam tą myślą, że mnie w części i nagana ludzka i kara Boża ominie. Bo cóżem ja temu winien, że mię Pan Bóg tak uorganizował, iż oprócz oczu i głosu, o nieocenioném sercu twém nie mówię, znajdowałem w tobie wszystko takiem, że budziło we mnie wstręt nieprzewyciężony, który mię wypędzał z domu, i nareszcie wygnał z rodzinnego kraju. A jednak półtora roku żyłem z tobą, patrzałem na ciebie po kilka godzin codziennie, otwierałem ci czasem moje ramiona. Ach! jak pomyślę o tém dziś, to nawet nabieram tego przekonania, że jeżeli ty mi nie będziesz wdzięczną całe życie za to zwycięztwo, jakiem nad sobą odnosił, to mi to Pan Bóg za zasługę porachuje i należącą mi karę umniejszy, żem nie uciekł od razu, i koszlawe dzieło Jego do piersi moich przytulał. Nie gniewaj-że się na mnie, nie przeklinaj mię, bo widzisz sama, że tu winna moja natura, a nie zła wola, że ja chciałem być dla ciebie lepszym, chciałbym

i teraz nie opuszczać cię i nie uciekać, ale dalibóg nie mogę.”

» Wreszcie i tyś sama winna swojemu nieszczęściu. Potrzebaż ci było, kobiecie o kilka lat odemnie starszej, połamaniej i brzydkiej ciałem, choć tak prostej i pięknej duszą, pokochać tak zapamiętale młodego łajdaka, który ci nadskakiwał przez swywołę, który się potem nie tait przed tobą ani ze swemi zasadami, ani ze swemi obyczajami, ani ze swym nałogiem, któregoś ty uwzięła się uszczęśliwić, choć cię ostrzegał, że robisz głupstwo, któregoś chciała koniecznie naprowadzić na drogę cnoty i moralności, choć w duchu drwił sobie z twoich pocziwych zamiarów, i nie raz dawał ci poznać, że nie dokażesz tego, czego jeszcze żadna, najpiękniejsza nawet kobieta nie dokazała. Sobie więc przypisz swoją niedolę, i tej chwili zaślepienia, w której odważyłaś się dać mi do rąk dwadzieścia kilka tysięcy, abym zapłacił ten dług honorowy, który mi ciążył, jak kamień uwiązany u szyi, i ciągnął mię już do Wisły. Tym to sposobem, biedna, pocziwa, ale nierozsądna kobieto! obudziłaś we mnie chwilową wdzięczność, zem ci przyrzekł

poprawę, zaprowadził cię przed ołtarz, i za to, żeś mi uratowała życie, zrujnował cię potem do reszty i zgubił ciebie i siebie. Nie gniewaj-że się na mnie, i znoś przynajmniej rozumniej ten los, któryś sobie z takim nierozumem zgutowała.”

»A teraz bywaj zdrowa na zawsze, najpoczeiwsza żona moja Anno Weroniko! Po trzech miesiącach siedzenia tu między krewnymi, którym oddałem w zarząd moją wioskę, ruszam w świat, aby już więcej nie wrócić. Bracia moi stryjeczni Piotr i Marcin, mają odemnie zupełną i bezwarunkową plenipotencję do zawiadywania tém, co z ruiny mojej pozostaje. Oni to poczeiwi dali mi jeszcze kilkanaście tysięcy na drogę, i obowiązali się długi moje warszawskie opłacić. Jeżeliby więc kto do ciebie się zgłosił z jakim moim osobistym wexlem, któregoś ty nie podpisała, nie płać, ale odeszlij go do nich. Niech te hunewoty, ci kartowi przyjaciele, od których nie raz judaszowskie odbierałem pocałowania, przetrząsą się trochę na wózku pocztowym do Chełma, a ztamtąd do Sawina, a ztamtąd do Zródłówki do pana Piotra i do Karczyniec do pana Marcina. Niech

pomówią z tymi ludźmi, których nie tak łatwo okpić jak mnie, i odbiorą podły swój zarobek, jeżeli będzie z czego. A ty zamknij im drzwi przed nosem, do tego cię najsolenniejsz upoważniam.”

»W ciągu tych trzech miesięcy, w których odebrałem trochę, nie będąc zmuszonym patrzeć na ciebie, moja najpocziwsza żono! odebrałem sześć twoich listów, w których mię wzywasz, przebaczasz, zaklinasz i prosisz, abym powrócił. Czytałem je wszystkie, ale nie odpisałem ci na żaden. To ci powinno było dać poznać, że nie trzeba było pisać tak wiele, że żadne prośby i lamentacye na nie się nie zdadzą. W dwóch ostatnich listach używasz argumentu, który mię trochę zadziwia, chociaż przypominając sobie niektóre okoliczności, i to, żeś nigdy jeszcze nie skłamała, wierzę, że może być prawdziwym. Masz więc zostać matką! i piszesz mi i przysięgasz, żeś już nowe to życie w łonie swém poczuła. Jeżeli tak jest, o czém nie powinienem wątpić, jeżeli cię Bóg szczęśliwie rozwiąże, to w tej chwili, jak najuroczyściej przyznaję to dziecko za moje, i daję mu ojcowskie moje bło-

gostawieństwo. Ale oświadczam ci moja pocziwa Anno Weroniko! że tém bardziej teraz do ciebie nie wrócę, abym téj biédnej istocie, która nie wiedziéć po co przyjdzie na świat, życiem mém złego nie dawał przykładu. Chowaj je więc sama, i jeżeli to będzie syn, nie pieś go, bo pieszczoty matki mnie i ciebie zgubiły; jeżeli będzie córka, wydaj ją choć za biédnego byle pocziwego, pracowitego i kochającego ją chłopca, i naucz ją swoim przykładem, aby się nie zaślepiła powabami chłystka bez obyczajów, któryby jéj nie kochał i złamałby całe jéj życie. Syna nazwij Antonim na pamiątkę mojego biédnego ojca, któregom wpędził do grobu, a córkę nazwij Pauliną, na pamiątkę tego szelmy, który teraz płacze, a jednak wrócić do ciebie nie może. Przyłączam ci tu akt urzędowy, przed rejentem sporządzony, którym całą pozostałość, jaką uczciwość i gospodarność braci moich Piotra i Marcina oszczędzi z zostawionego w ich rękę majątku mego, dziecku temu, za dójściem jego do pełnoletności oddaję i zapisuję. Otóż wszystko, com ci miał powiedzieć po raz ostatni. Pocztarz trąbi i zaraz siadam. Nie ściskam cię

serdecznie na pożegnanie, bobym kłamał, a nakłamałem się już w życiu mojem dosyć, a przed tobą więcej niż przed innemi. Nie chcę więc rozstając się z tobą na zawsze, obciążać się jeszcze na tak daleką drogę tym ostatnim, względem ciebie, występkiem. Ale padam na twarz przed twoją cnotą, przed twém poświęceniem, choć szaloném i nierozumném, i całując nogi twoje, mniej jeszcze brzydkie, niż reszta twojego ciała, proszę cię i zaklinam, nie szukaj mię, nie czekaj, nie idź za mąż, choćbym umarł, a nadewszystko zapomnij o mnie i przebacz mi swoją krzywdę. *Adieu! adieu! pour toujours.*”

Szczęśliwym trafem dziwny ten list dostał się w ręce Ignasia i Kańskiego w téj chwili, kiedy Paulinka i Julka zajęte były z jakąś panią, która przyszła z obstalunkiem. Że ton jego mógłby boleśne na dzieciach zrobić wrażenie i wystawić im ze złej strony ojca, którego matka wystawiała im zawsze jako człowieka, mającego wiele zalet, ale który ją i siebie zgubił przez awanturnicze swe usposobienie, schowali więc go prędko, równie jak i akt przyznający mające się narodzić dziecię i przeznaczający mu pozostałość

z fortuny. Wszystkie inne papiery ważniejsze, jako akt ślubu, metryki dzieci i tym podobne, tudzież brulion listu do pana Piotra Jelewskiego i jego odpowiedź, oddzieliwszy od innych nie znaczących szpargałów, oddali Paulince do schowania.

W swoim czasie postanowił Ignas korzystać z powyższego listu i aktu, który do niego był przyłączone, i upomnieć się u wujów o wyrachowanie się z depozytu, jaki w rękach ich przez pana Pawła był złożony. Znał on lepiej ich charakter, niż ten szaleniec, który skrzywdził tak żonę i dzieci, i zamiast uregulować wszystko jak należało i zostawić pozostałość opiece i gospodarstwu biednej i uczeiwój żony, zostawił ją w rękach niewiernych i łakomych krewnych. Z odpowiedzi pana Piotra na odezwę nieboszczki, zmiarkował Ignas, że postanowili skwitować ją do czysta. Wszakże sądził, że muszą być przecież na to jakieś środki prawne, i że nie dosyć jest powiedzieć, że nie ma, ale trzeba jeszcze przekonać. Postanowił więc później udać się do pana Mierniczewskiego, w którym Bóg mu dał bardzo przychylnego człowieka, i poradzić się

jak postąpić, czy się odezwać z pretensją i po-
ciągnięciem do wyrachowania się wujów swych
zaraz, czy zaczekać, aż obie siostry dojdą do
pełnoletności.

Tymczasem wyglądał niecierpliwie odpowiedzi
od księdza Macieja, która się spóźniała, a gdy
1szy września nie nadchodził i Kański nie mógł
pensją swą zasilić wyczerpanej już zupełnie kas-
sy domowej, z wielkim smutkiem i niechęcią roz-
winął paczkę z półimperyalami, których w razie
tylko najgwałtowniejszej potrzeby postanowił był
użyć, i wyjąwszy z nich jeden, oddał go Julce.

— Braciszku drogi!— rzekła mu— nie śmiem za-
pytać, z kąd masz złoto; ale boję się jednej rzeczy.

— Czego się boisz? Julciu moja— spytał Ignas
tuląc w dłoniach swych jej rączkę.— Czy nie są-
dzisz czasem, że to wygrał w karty?

— Nie Ignasiu! przekonana jestem, że grać
nie umiesz i nigdy grać nie będziesz— odpowie-
działa patrząc mu w oczy z miłością.— Czuję ja
to dobrze, że nie będę tak nieszczęśliwą, jak
biedna nasza mama. Ale się boję, czy ci
kto nie zapłacił tęp za kilkanaście bezsensnych
nocy, strawionych nad pisaniem.

— Nie Julciu! nie— mówił Ignas z uspakajającym ją uśmiechem— za pisanie u nas płacą złotówkami, a nie dukatami. A tu jest trzydzieści cztery złotówek, ileżbym ja to nocy musiał nie spać! Ale pamiętasz o com cię prosił?

— Aby się o nic nie pytać— odpowiedziała z wyrazem wdzięczności— i powiedziéć sobie: to moje, bo pochodzi od niego.

— Oto właśnie, moja najmilsza! I dziękuję ci, że tak słowa moje pamiętasz.

Ona położyła głowę na jego piersiach, on dotknął ustami jej włosów, i półimperyał zanego bogacza, dany przy wyznaniu dawniejszej biedy, wkrótce rozmienionym został.

We trzy tygodnie dopiero po wyprawieniu listu do księdza Macieja, odebrał Ignas odpowiedź wraz z żądanymi pieniędzmi. Obeszło się bez przyczynienia się kasztelana, z czego się Ignas niezmiernie ucieszył. Dzierżawca wypłacił je chętnie, gdyż zyskał dobrze na przeszłorocznej dzierżawie i przyprowadziwszy folwarczek do dobrego stanu, widział, że ma kontrakt niezmiernie korzystny i że takiego złotego jabłka, jak je w szczerości ducha nazywał, rzucać nie powi-

nien. Miał więc teraz bohater nasz tysiąc trzy-
sta złotych w ręku, z których tysiąc mógł śmia-
ło złożyć w ręce kochanki i powiedzieć jej: weź
to, to twoje, bo to moje własne, bo się bez te-
go dochodu obchodzić będę, byleś ty była spo-
kojna o jutro, bo w głowie mojej inna zrodziła
się myśl, inny dojrzał plan, który nas prędkiej
doprowadzi do tego, że podamy sobie ręce i pój-
dziemy razem drogą życia, którą moja praca u-
czyni gładką i bezpieczną, którą twoja piękność
ozdobi, a twoja miłość różami uściele. I tak jej
mniej więcej powiedział, oddając do szafunku jej
tę sumę, która na długo ubezpieczyła ich u-
trzymanie i zapewniła im pokój. A Julka rzekła
mu tylko:

— To moje Ignasiu!

— Twoje moja droga!— odpowiedział jej, i
w oczach jej postrzegł tylko łzę, która go zape-
wniała, że to wszystko, co sobie obiecywał ziści
się, i wcześniej już w myśli stapał po tych kwia-
tach, któremi miłość jej drogę jego zasłać miała.



IV.

GDY SIĘ tym sposobem rzeczy uregulowały, gdy dzień po dniu wnosił coraz większe uspokojenie do serc dzieci, oplakujących jeszcze stratę tak dobrej matki, ale już nie widzących tak żywo jej bladego i nieruchomego oblicza, aby odpędzało wszelką pociechę i myśli o własnej przyszłości, wszystko na Święto-Jańskiej ulicy wróciło do dawnego trybu, i życie poświęcone pracy, przyjaźni i miłości upływało szybko, cicho i jednostajnie.

Bohater nasz widząc, że go już nie tyle, co dawniej potrzebują, że Kańskiego pensya, praca kobiet, a w razie potrzeby to, co złożył w rękę Julki, na utrzymanie ich wystarczy, przystąpił

do wykonania zamiaru, którego nikomu dotąd nie udzielił. Nie dla tego taił się on ze swém przedsięwzięciem, aby się wstydział drogi, którą iść postanowił; ale że to droga rzeczywiście nie była zwyczajna, że nie każdy młody człowiek, różnego mu ukształcenia, odważyłby się szukać na niej karyery, bał się więc uwag, rad i odradzania, co wszystko alboby go nudziło, alboby może i zachwiało tę odwagę, jaką miał, a jakiej w wysokim stopniu do wykonania myśli swój potrzebował. Wolał więc mileżeć i powiedzieć dopiero wtedy, gdy już nie czas będzie radzić i perswadować.

Jednego więc wieczora w połowie września, skończywszy korrepetycją z dziećmi stolarza, udał się do niego samego i objawił mu, że ma mu zrobić pewną propezycją i prosi go, żeby go cierpliwie i przychylnie wysłuchał.

— Ej! pan Ignacy! co to ma być takiego, że pan Ignacy z taką ceremonią mnie prosi— rzekł pan Hebel,— który siedział w swoim pokoju w kamizelee, z maszestrową czapczką na głowie i mając przed sobą lampeczkę z winem, z porcelanowej fajeczki, na czarnym dość długim cybu-

chu, z rogowym i ruchomym musztukiem, palił drejkienig.

Był to jeden z fenomenalnych Niemców, który szczerze przywiązał się do kraju, w którym mu było dobrze. Przywędrował on, tu czeladnikiem, tu został majstrem, tu się ożenił, nauczył się prędko choć niepoprawnie krajowego języka, który przekręcał często i kaleczył, ale dzieci swe tak wychowywał, że mówiły nim doskonale i że się im ani zamarzyło o Germanii, z kąd ojciec ich pochodził. Uczciwy, pracowity i rzetelny, zyskał sobie rychło reputacją, i w owym czasie warsztat jego koło Dominikanów znany był powszechnie i najcelniejsze miewał obstalunki. W życiu jednak i w obyczajach został prawdziwym i nienaruszonym Niemcem. Zrana zaglądał często do warsztatu i trzymał czeladź w rygorze; przy obiedzie musiał mieć kufelek piwa, a po obiedzie filizankę blumenkafee, którą przy fajeczce spożywał; herbaty sam nie pijał, ale miał ją w domu, ponieważ żona jego, prawdziwa warszawianka, chciała dom na wyższej postawić stopie. Nie bronił jej tego Hebel, który *swoja Różia* bardzo kochał, ale sam wtedy, czy byli u żony goście,

czy nie, odsiadywał swoją godzinkę w kamizelce, w pokoju, który się nazywał jego kantora, wyciągał lampeczkę lekkiego wina z bułeczką, lub samotnie, lub z jakim kolegą majstrem, który go odwiedzał i wypalał ową porcelanową fajkę, którą najregularniej co kilka minut odkręcał i sok nagromadzony wylewał. W niedzielę i święta musiał odwiedzić ogródek *pod Węgrem*, tam odegrać parę partyj w kręgle i wypić parę kufelków piwa; a gdy przyszła piękna pora, zabierał żonę i dzieci i wywoził je *ins Freye*. Hebel miał już czterdzieści kilka lat; miernego był wzrostu, dość otyły, z twarzą rumianą i ucziwem wejrzeniem. Miał się on dobrze, kochał żonę i dzieci, z czeladzią umiał sobie dać radę, bo jej płacił sprawiedliwie i regularnie, był więc zawsze spokojnym i wesołym. Chociaż Niemiec, że był gorliwym katolikiem, miał więc i z tego względu poważanie u kolegów i szacunek od swój czeladzi, jak wiadomo, pobożnej i gorliwie obrzędy religijne zachowującej. Jakoż gdy przychodziła uroczystość lub taka, gdzie sama czeladź tylko występowała, ze swą chorągwią u PP. Wizytek złożoną, jak święto Opieki Śgo Józefa w niedzielę

trzecią po Wielkiej Nocy, albo processya Bożego Ciała, w archikatedralnym kościele Śgo Jana, albo oktawa tegoż święta na nieszpórach u PP. Wizytek, lub wreszcie konkluzya nieszpórów Najświętszego Serca Jezusowego, gdzie już całe zgromadzenie majstrów i czeladzi kunsztu stolarskiego, łącząc się z sobą, w komplecie i strojno, z właściwemi chorągwiami i ze świecami występuje, wtedy wszyscy ze zbudowaniem widzieli zawsze pana Hebla na przodzie, z najgrubszą świecą w rękę, śpiewającego wprawdzie z przyeiskiem, z myłkami i akcentem niemieckim pieśń i litanią, ale donosnością głosu i wyrazistością śpiewu nie dającemu się nikomu wyprzedzić. W pokoju bawialnym pani majstrowej było nawet dosyć elegancyi, często bowiem odwiedzała magazyn gotowych już mebli, i gdy się jej co podobało, brała bez ceremonii i mieniała swoje stare, za nowe i świeższej formy. Hebel śmiał się i pozwalał jej tak wybredzać, nazywał ją marnotrawną warszawianką, i wzięwszy czasem jej pełne i ładne policzki we dwa palce, patrzył jej w oczy z przywiązaniem i mówił: »Aj ty Rózia! teraz byłaś kontenta, żeś swego Wilhelma

zrabowała. No, no, *schad nichts!* I twój Wilhelm będzie także kontent. *Nicht wahr.*” Ale za to w jego kantorze, czyli gabinecie wszystko było proste i wygodne. Dębowe biuro, także kanapa obita skórą, także krzesła i fotel. Tylko misterny kantorek, prześlicznej roboty i formy, z kosztownego drzewa, stał tam na widoku, chociaż do żadnego nie służył użytku. Był to ów majstersztik, za który otrzymał patent mistrza, i który mu zjednał rękę jego kochanej Rózi. Dawano mu już za niego kilkadziesiąt dukatów, ale Hebel za nic w świecie nie chciał się rozłączyć z tą pamiątką, na którą wiele razy spójrzał, przypominał sobie najszcześniejszy moment swego życia.

— No, pan Ignacy! powiadaj, co to masz za prośba— dodał stolarz, gdy Ignas się zawahał, zastanowił się i spuściwszy oczy, zaczął się namyślać, jakby żądanie i zamiar swój wyrazić.— Jeszcze pietnasty nie ma, ale może pan Ignacy potrzebowałeś pieniędzy? to ja będę dawał zaraz. Czy to ze mną dla taka mała rzecz potrzebne ceremonie i takie gadanie z ogródka.

— Nie panie Hebel!— odpowiedział Ignas—

pieniędzy mi teraz nie trzeba; tu o co innego chodzi.

— O cóż tedy chodził, siądź pan Ignacy i powiadaj, jak przed dobry znajomy i przyjaciel— rzekł stolarz i przysunął krzesło młodemu człowiekowi, który usiadł, i zdobywszy się na determinacją rzekł:

— Oto przyszedłem prosić cię panie Hebel, abyś był łaskaw przyjąć mię do swego warsztatu za ucznia i za terminatora.

Hebel porwał się z krzesła, założył obie ręce w kieszenie od spodni, i nachylając się do bohatera naszego, w pół ze śmiechem, w pół seryo zawołał:

— *Was Teufel!* Pan Ignacy! co panu do głowa przyszedł? Pan sobie żartowałaś ze mnie. Młodzieniec z taka edukacya, z taka nauka? pfuj! *das geht nicht.*

— Nie żartuję panie Hebel— odpowiedział Ignas, postrzegłszy ze smutkiem, że nawet na stolarzu złe zrobiło wrażenie wyjawienie téj myśli, którą pierwszy raz głośno wymówił, a z którą się od kilku tygodni nosił. Dodał więc stanowczo:—

Owszem mówię bardzo seryo, i bardzo szczerze proszę pana, abyś mię chciał wysłuchać.

— No, no, *das ist was anders*. Powiadaj pan Ignacy, powiadaj. Będę słuchał z uwagą— rzekł Hebel, odlał fajeczkę i wsparłszy łokieć na biurze i puszczał dymek, słuchał go z natężeniem i ciekawością. Ignas rzekł:

— Nie wszyscy mogą i powinni iść taką drogą, jaką zwykle teraz nasza uboga młodzież idzie. Każdy chce być urzędnikiem, a jest nas kończących szkoły daleko więcej, niżli jest urzędów, które wszystkie zapełnione są mniej więcej przez ludzi zdolnych, trzymających się swego miejsca i nieustępujących go nikomu. Ztąd kierunek tak jest trudny i pomieszczenie się prawie niepodobne.

— No, to prawdę pan Ignacy powiedziałeś. I tu ja widzę rozsądku i zastanowienia— rzekł Hebel. Ignas mówił dalej:

— Kiedy kto ma cierpliwość i możność czekania, kiedy ma fundusz taki, że próbuje tylko, czy się czego nie dosłuży, to inna rzecz. Bo jeżeli się nie dosłuży, to może nie żałować straconych lat, przez które zawsze się czegoś nauczył,

i może sobie wrócić do domu, gdzie znajduje utrzymanie, a czasem i dostatek. Inny znowu ma szczęście i ambycją; służy więc, próbuje, i wreszcie wykieruje się tym sposobem, bo jużci i tam znajdzie się miejsce dla cierpliwego i zdatnego, a służba jest pełna zaszczytu i użytku i warto na nią czekać, kiedy można.

— *Ganz recht, ganz recht*, pan Ignacy! i to powiedziałeś prawdę— rzekł Hebel.

— Ale ja nie mogę młodości mojej— mówił dalej Ignaś już śmielój— stracić na próbie, któraby mnie do niczego nie doprowadziła, bo i cierpliwszych, i zdatniejszych i zamożniejszych jest przedemną bardzo wielu. Ja muszę i powinienem użyć tych lat, przeznaczonych na dobiecie się czegoś, tak, abym miał chleb, abym miał w rękę przyszły mój los, abym był niezależnym i zawsze pewnym, że gdziekolwiek się obrócę, pracą i pilnością zarobię sobie i na szacunek u ludzi i na opędzenie tych potrzeb, jakich życie wymaga. Otoż widzisz panie Hebel, od dzieciństwa miałem skłonność do majstrowania różnych rzeczy. Kiedym był malcem, wyrabiałem nożykiem ładne krzeselka i kanapki, i stoliczki. A te-

raz kiedym dojrzał, kiedym spróbował, że mnie siedzenie przy stole urzędowym nudzi i męczy, że tą drogą zwyczajną do niczego nie dojdę, kiedym się przekonał, że przy siłach, jakie mam, przy rozgarnieniu, jakiegom nabył, dawna skłonność nie opuściła mię, że kunszt stolarski będzie dla mnie i prawdziwym kunsztem, i zawodem, w którym znajdę chleb, utrzymanie i niezależność, przyszedłem prosić cię panie Hebel, abyś mi do tego dopomógł, otworzył mi swój warsztat, i swoją radą, nauką i życzliwością wyprowadził na człowieka.

Niemiec uśmiechał się z radości, gdy Ignas mówił z ożywieniem i przekonaniem; a gdy skończył, podniósł się z krzesła, wyciągnął rękę do młodzieńca, który powstał także i zawołał:

— No, pan Ignacy! to pan Ignacy piękne o nasze rzemiosło powiedziałeś. To jest dobre i pożyteczne rzemiosło, który na cały świat daje człowiekowi chleb i znaczenia. Z taka głowa i taka rozumna ochota, wyjdiesz pan Ignacy prędko na doskonałego czeladnika, a potem zrobisz taki majstersztyk, jak ten, za który mnie dali

trzydzieści dukatów, ale ja go nie sprzedam za sto, bo on mi dawał reputacya i ręka moja kochana Rózia, i będziesz pan Ignacy majster na cała gęba. A jak ja żyć będę i wybieramy pan Ignacy na starszy zgromadzenia, to wtenczas będziemy wypić dobra butelka wina i będziemy podać sobie ręka na dozgonne przyjaźni i szacunku.

Hebel mówił z uczuciem, a Ignaś wzruszony także tym wyrazem jaki w twarzy uczciwego majstra widział, ściskając z wdzięcznością jego rękę, odpowiedział:

— Do tego to jeszcze bardzo daleko panie Hebel. Ale ja nie tracę nadziei, że przy pomocy i życzliwości pana czas mojego terminowania nie będzie tak długi, jak zwyczajnego chłopca, który ani czytać ani pisać nie umie. Wiem ja, że czeladzi pańskiej będzie to trochę nie miło, że może zakażesz jej, aby się ze mną nie tak obchodziła, jak z małemi się obchodzi. Chociaż ja potrafię sobie i ich względność zyskać, a kiedy inaczej być nie może, poddam się cierpliwie wszystkim zwyczajom warsztatu.

— Ej! pfuj! tego nie będzie— rzekł Hebel— no, troszkę tam posłuszeństwo i grzeczności dla dobrych czeladników potrzebne, żeby ich to w oko nie kłuł, że się łamie zwyczaj, i żeby każdy z ochotą pokazał co umie. Ale nie bój się pan Ignacy, już ja w to będę się wdawał, żeby to nie był rzecz bardzo przykra.

— Serdecznie dziękuję panu panie Hebel— mówił Ignas— będę się starał, żeby i oni byli ze mnie kontenci, i żebyś pan nie żałował tego, że mi dopomożesz do nauki i pokierowania się.

— Ale mój pan Ignacy! jakże będzie z moje chłopcy?— zapytał zafrasowany cokolwiek niemiec.— Czy pan będziesz ich opuszczaleś? Moja Rózia byłby bardzo z tego markotna, bo ona pan Ignacy bardzo szacowała i z jego nauka bardzo była kontenta.

— Właśnie chciałem zapytać jakie będą warunki téj łaski, jaką mi pan wyświadczysz— rzekł Ignas.— Płacić panu za naukę w czasie mego terminowania nie mam zkad. Ale jeżeli pan pozwolisz, powiedziałbym, jakbyśmy się ułożyć mogli.

— Powiadaj pan Ignacy, powiadaj. Ja będę chętnie zgadzał się— mówił Hebel nachylając się z uwagą.

— Dzieci pańskich, P. Hebel—mówił młodzieniec któremu w tej chwili błysła śliczna twarz Julki, jako przyszej majstrowej— opuścić wcale nie myślę. Przywiązałem się do nich, bo to dobre chłopczyki, i mam nadzieję, że się i oni do mnie przyzwyczaili.

— Oni pana, pan Ignacy, bardzo kochają—odpowiedział uspokojony stolarz.

— Owszem — mówił dalej Ignas — będę mógł im teraz być pomocniejszym, gdyż położenie moje jest takie, że prosiłbym pana, abys mię całkiem do domu swego przyjął. Spać będę gdziekolwiek, to mi wszystko jedno, choćby w jakim kąciku na *pablaczu* warstatowym *).

— Pfuj! pfuj! das geht nicht! — mówił Hebel — co pan Ignacy sobie pomyślałeś? ja na to nie będę pozwalał, i ulokuje pan Ignacy z moje chłopcy, jeżeli zechciałeś.

*) *Pablacz* jest to drugi pułap w warsztacie stolarskim, gdzie się suszą deski, i gdzie na siennikach z wiórów spijają chłopcy terminujący, zwłaszcza w zimie.

— I owszem, to mi będzie miło— odpowiedział, Ignas uspokojony— tém lepiej będę mógł ich do-
patrzeć. I jeżeli pan pozwolisz, tak czas swój
rozłożę. Od piątęj do wpół do siódmęj, będę w war-
sztacie. Potém będę z chłopcami pańskimi, nim
pójdą do szkoły. Potém znowu udam się do war-
sztatu i tam już pracować będę do piątęj po obie-
dzie. Od piątęj, tak jak i teraz zajmę się z dziećmi
pańskimi do siódmęj i dalej, w miarę potrzeby.
Potém do dziewiątęj chciałbym mieć chwilkę wolną.
Czy pan się zgodzisz na taki rozkład?

— Jak-by ja się nie zgodziłem mój pan Ignacy—
rzekł Hebel— na takie mądre pomyślenie. Ale co
ja za to wszystko będę panu dawał?

— Dasz mi pan wiele— mówił Ignas powstając.
— Dasz mi pan stancyą i stół, żebym już o tych
najpierwszych potrzebach nie myślał, a w miejsce
tych pieniędzy, jakieś mi dotąd płacił, dasz mi
pozwolenie pracowania w swoim warsztacie, i
jeżeli szczerze i z serca będę uczył twe dzieci,
szczerze i z serca pokażesz mi swój kunszt, nie
będziesz mię zbyt długo trzymał w terminie i do-
pomozesz, żebym za lat parę mógł się wyzwolić,

i odpłacić ci potem za twoje nauki i obchodzenie się, jako uczciwy, pracowity i zdatny czeladnik.

Niemiec wzruszony powstał z krzesła, otworzył ramiona, przycisnął do piersi śmiałego i otwartego młodzieńca, i pocałował go w głowę, zawołał:

— No pan Ignacy! ja tego niespodziewałem się, żebym ja dzisiaj się rozplakałem, jak baba. Dawaj mi pan swoja ręka. Nasza umowa skończona. Za dwa lata będziesz pan czeladnik, a potem za dwa lata będziesz majster, może najpierwszy z cała Warszawa. A jak będziemy obadwa żyli, i Pan Bóg dopomoże, to ja znowu mój Frycunio oddam do terminu do pan Ignacy, a potem będziemy wybierali pan Ignacy na starszy naszego zgromadzenia, i będziem wypić za zdrowie nasz uczciwy kunszt stolarski taka butelka wina, co będzie starsza, niż my obydwu razem.

Ignaś ścisnął rękę rozrzewnionego Niemca który śmiał się i płakał razem, i oświadczywszy mu, że pojutrze dopiero przyjdzie o piątą do warsztatu prosił go, aby mu utorował tę ciężką drogę, i dobre wyjednał przyjęcie.

Bohater nasz, którego karyera tym sposobem

zadecydowała się, i inny zupełnie wzięła kierunek, pożegnał przyszłego swojego majstra i zwierzchnika, i nieśmiejąc już stanąć przed przyjaciółmi swojemi i przed kochanką, aby na twarzy jego nie wyczytali wzruszenia, jakie tak stanowcza w życiu jego chwila wywołać musiała, poszedł do ogrodu Krasieńskich, i tam w ustronnej alei chodził póty, póki go grzechotka stróża, mającego zamknąć ogród, nie wywołała. I różne wtedy przychodziły mu myśli. Zrobił on krok, który nosił na sobie piętno odwagi, a może i zachwalstwa. Wypowiedział wojnę potężnym siłom, które kierują życiem zwyczajnych ludzi, i na ubitych przez nałóg, modę i przesąd trzymają ich drogach. On, rodowity szlachcic, mający w imieniu swém ludzi możnych i wysoko w społeczności stojących, wyrzekał się tytułów, honorów, znaczenia i władzy, tych głównych elementów szlacheckich myśli i nadziei, do których mógłby dobieć się z czasem i stanąć na równi z temi, których nazwisko nosił. Z namysłu i przekonania rzucając tę zwykłą drogę, zniżał się do rzemiosła, niedającego nic, prócz dobrego bytu i niezależności, i mogącego mu zamknąć drzwi tych krewnych,

którzy takim wyborem niewłaściwego rodowi ich stanu mogli się obrazić i uczuć się pokrzywdzonymi. Wszakże był to wzgląd, który go jeszcze nie zbyt dotkliwie obchodził, chociaż żał mu było łaski i życzliwości kasztelana i jego córki, chociaż wiedział dobrze, że kasztelanowa, już i tak z nazwiska swego niekontenta, nie daruje mu nigdy, że je zespolił z hyblem i z dłułem, i zamknie usta mężowi i córce, gdyby go usprawiedliwiać i w obronie jego stanąć chcieli. Ale przyszedł mu na myśl Eugeniusz, jego miłość, jego nadzieje, które mógł zniszczyć, obudzając tym bardziej niechęć matki, i narażając jej dumę i wstręt do spowinowacenia córki swój z rzemieślnikiem, do uczynienia jej bratową stolarza. Czuł on wprawdzie w głębi duszy, że nadzieje brata są czeze i próżne, że to są tylko piękne ułudy, które i bez jego przyczynienia się rozprysłyby się jak bańki mydlane; a jednak obawiał się, aby Eugeniusz nieszczęścia swego jemu nie przypisał, aby nie odwrócił od niego serca, nasiąkłego innemi widokami i celami życia, i myśli swój, nawykłej do dróg pańskich, do karmienia wysokich nadziei i planów honoru i zaszczytów. Te obawy szczerze go zmartwiły, i

westchnął głęboko, pomyślawszy, że może stracić miłość brata, którego tak serdecznie kochał. Od tych smutnych myśli przeszedł do bliższych swoich stosunków. Nie wiedział, jak to postanowienie jego przyjmie Kański i jego żona, czy uprzedzenie i przesąd, od których nie są wolni, nie zmniejszy uczuć ich przyjaźni i wdzięczności, jaka mu się od nich należy; a nadewszystko czy obojętnością swą, potępianiem jego przedsięwzięcia, wmawianiem fałszywego wstydu w serce téj, której obraz napelniał jego piersi i snuł się jak nić złota przez wszystkie jego rojenia, nie odejmą mu jój miłości i nie zniweczą tych nadziei, które go właśnie do tak śmiałego kroku skłoniły. »Dla zbliżenia chwili naszego szczęścia, myślał sobie, dla zapewnienia jój pokoju i dobrego bytu, dla usunięcia od jój drogiej głowy wszelkich trosk i kłopotów, jakie daje ubóstwo, stan wątpliwy i zależący od kaprysu losu i łaski ludzkiej, oddaję się pracy, nieodpowiednej może mojemu usposobieniu i moim zdolnościom, narażam się na posłuszeństwo ludziom, niższym odemnie nauką i wiadomością życia, wehodem w społeczność uczeiwą zapewne i pracowitą, ale gminną i tak różną od téj, do któ-

rój przywykłem, w jakiej urodziłem się, do jakiej mogę mieć prawo; a któż wie, może i ona odwróci się odemnie za to wszystko, co dla niej robię! może nie umocni serca mego wejrzeniem miłości, które podwoiłoby moje siły i męztwo! może pogardzi ręką stwardniałą od rzemieślniczego narzędzia, które wytrącić ma igłę z jej palców, i śliczne jej ciało odzieje takimi samemi ozdobami, jakie dziś dla kawałka chleba wymyśla, i nad któremi nocy bezsenne trawi! Byłby to gorzki zawód i nieszczęście, na którym może nie zasłużył.” Takie i tym podobne myśli trapiły bohatera naszego, gdy chodził pod szumiącemi głucho drzewami i kiedy go późny wieczór wrześnieowy chłodem owiewał i dreszczem przejmował.

Jest w gubernii Augustowskiej ładne i handlowe miasteczko, Wołkowyski, ostatnie przed Wierzbołowem, gdzie jest granica pruska i komora tranzytowa towarów, idących z kraju do Królewca. Miasteczko to pamiętne jest w dziejach świata. Przy wjeździe do niego stoi dawny i obszerny dwór ekonomii dóbr, które do miejsca tego należą. W r. 1812 Napoleon, przed przejściem wojsk za Niemen, miał w tym dworze główną kwaterę

i ztąd wysłał rozkaz dzienny do swojej olbrzymiej armii, którym ją popchnął do marszu, i za Niemien przerzucił. Przejeżdżając tamtędy, dowiedziawszy się o wielkiem znaczeniu tego dworu, i widząc z drogi drzwi od sali otwarte na ogród i wiodące pod ogromne lipy, które go ocieniają, zdawało się nam, że widzimy tego mocarza, zagrożonego w myślach, w owym sławnym szaraczkowym surducie, z pod którego złota wyglądała szlifa, z rękami na tył założonemi, z których w jednej rękawiczka, i że do uszów naszych dochodził odgłos jego skrzypiących bótów, depczących w niepokoju żwir, którym aleja usłana. Nie czytaliśmy nigdzie, czy tak było w rzeczy samej; ale nie wątpimy ani na chwilę, że położywszy niezgrabne i gorączkowe N. na rozkazie, który miał wkrótce postać świata odmienić, bohater ów Europy, równie jak i bohater naszej powieści chodził długo pod szumiącemi głucho drzewami, niepostrzegłszy się nawet, że noc nadeszła, że go owiał wiatr tak chłodny, jakby się otarł o krzyże Moskwy i skąpał w falach Berezyny.

Postawiliśmy tu rzecz małą obok wielkiej, kropkę nie znaczącą i zaledwie widną obok massy

wód głębokiego i potężnego jeziora; ale podobieństwo jest, i zbliżenie to nasunąć się nam mogło. W głośnym życiu wielkich ludzi, kierujących losami ludów, jak i w cichym biegu pojedynczego człowieka są chwile równej ważności, są owe momenta stanoweze, które zdają się być tylko logicznym wypadkiem poprzedniczych wydarzeń, a które, według naszego przekonania, sprowadzone są tą wszechwładną ręką, która stawia nas na tym krytycznym punkcie, abysmy mieli sposobność pokazać czém jesteśmy i czegośmy warci. Mamy wolą iść dalej, lub się cofnąć, i w tém będzie zasługa naszego rozumu, naszego umiarkowania, naszej wytrwałości i cnoty; ale dochodzimy do tego punktu mimo wiedzy i woli, i ztamtąd dopiero zaczyna się droga nasza własna, droga naszego wyboru, która nam zgotuje zwycięstwo lub upadek, zrobi nas godnymi nagrody lub kary. Nie jest to z naszej strony uznanie fatalizmu, którego zabrania nam wiara, jaką szczerze i serdecznie wyznajemy. Ale inaczej Opatrzność i jej wyroki z wolną wolą, jaką nas Stwórca obdarzył, zgodzić się nie da. Dla tego to prosimy codziennie w pacierzu: »Nie wwódz nas na pokuszenie,» co

znaczy: nie stawiaj nas na tój rozstajnej drodze między użytecznym i szkodliwym, między dobrým i złým, między zgodnym i niezgodnym z Twoją wolą, abysmy nie wybrali tego, co nas zgubi, co się zrządzeniu Twojemu sprzeciwia.

Ignas postawiony na tym stanowczym punkcie uprzytomnił sobie żywiej wszystkie trudności i następstwa, jakie na drodze tój miał znaleźć. Myślał on o nich i dawniej, gdy plan jego dójrzewał, ale nigdy nie widział ich tak jasno, jak w tym momencie, gdy myśl miała się zamienić w czyn, gdy już nie można się było cofnąć bez obwinienia się o słabość, o płochosć i nierozwagę. Nie dziw więc że się zafrasował, że się zawahał, że były minuty, w których trwoga jakaś i niemoc brała górę nad siłą woli i przekonaniem. W każdej walce, jaką człowiek nowy stacza z dawnym w chwili przeradzania się, jest to samo. Należy mu więc przebaczyć, że noc tę przepędził bezsennie, jak może bezsennie przepędził i swoją noc w Wołkowyskim dworze ów mocniejszy od niego, brązowy człowiek, który dziś stoi na kolumnie Wandomskiej. Nie godzi się brać mu za złe, że chwiejącym się krokiem, z zasepionem czołem przyszedł nazajutrz

do bióra i naczelnikowi swemu drżącą ręką prośbę o dymissyą podawał; że równie drżąc, nieśmiały i blady przyszedł na obiad, nie w usta wzięść nie mógł i na zapytania troskliwych o niego kobiet, prawdą odpowiedzieć nie śmiał. Nieznacznie tylko poglądał on na twarz kochanki, chciał przeniknąć do głębi jej serca i wybadać jej myśli nimby się odważył wręcz powiedzieć jej co zrobił i co dla jej szczęścia przedsięwziął.

Dopiero przy końcu obiadu wszystko się wyjaśniło. Przyszedł Kański także zasmucony i poglądał przez niejaki czas mileząc na przyjaciela.

— Co się wam stało—rzekła Paulinka—żeście oba jak nie swoi.

— Mnie się nic nie stało—odpowiedział Kański—ale zdaje się że Ignas nie powinien był tak postąpić, jak postąpił. Ja żywszy jestem od niego, a jednak dałem dowód większej cierpliwości. On zawsze więcej miał odemnie rozsądku choć młodszy, a jednak zdaje mi się, że dziś na mnie kolój powiedzieć mu, że głupstwo zrobił.

Julka patrzyła na jednego i drugiego, niedowierzając, aby Ignas mógł coś nierozsądnego zrobić, a Paulinka zapytała:

—Cóżeś ty takiego braciszku zrobił, że aż Oleś nazywa to głupstwem.

Gdy zapytany nie odpowiadał, Kański rzekł:

—Widzisz, nie śmie ci nawet powiedzieć. To ja ci powiem. Podał prośbę o uwolnienie się z bióra. A w biórach naszych nie długo się nad tém namyślają, czy uwolnić kogo, czy nie, i już dymissya jego napisana; widziałem ją na własne oczy.

—Uwolniłeś się braciszku od służby?— zapytała Paulinka ze zmartwieniem.

—Uwolniłem się— odpowiedział Ignaś nie patrząc na nikogo.

—I nacóż to, proszę cię!— rzekła znowu— czyż można było tak się prędko zniecierpliwic, kiedy są tacy, co po dwa i po trzy lata czekają na dyety.

—Musiał mieć Ignaś ważny powód, kiedy tak postąpił— rzekła żywiej Julka, i na twarz jój wystąpił rumieniec, który ją dziwnie piękną zrobił. Młody człowiek podniósł na nią wdzięczny wzrok, i w oczach jój czytając aprobacją swego postępowania, rzekł śmielój:

—Mam inne zamiary, do których mi aplikacya w biurze przeszkadzała i dla tego uwolniłem się.

—Masz zamiary i taisz się przed nami?— rzekł Kański— czy myślisz opuścić Warszawę?

—Nie myślę wcale— odpowiedział prędko Ignas, widząc że twarz Julki nagle pobladła.

—A cóż będziesz robił?— rzekł Kański z takim akcentem, jakby był kontent, że mu się choć raz zdarzyło mieć górę nad rozsądniejszym od siebie przyjacielem.

—Będę terminatorem— odpowiedział Ignas czerpiący odwagę w twarzy kochanki.

—Terminatorem!— zawołał Kański z podziwieniem — pomieszało ci się w głowie, albo sobie z nas żartujesz.

—Ani jedno, ani drugie— odpowiedział Ignas odważnie, choć się pierś jego ścisnęła i wszystkie te myśli, jakie go całą noc trapiły, falą napłynęły znowu do jego głowy. — Do urzędu i płacy za ten trud nie dobiję się nigdy, a potrzebuję chleba, utrzymania zabezpieczającego mój pokój, potrzebuję niezawisłości od zmiennej protekcyi i niestałej łaski tych, co sami awansując, nie myślą nigdy o tych, którychby awansować należało, gdyż

głodni i obdarci. Dość już mam tej próby, którą przebyłem. Sprobuję jeszcze tego, co mnie nie skrzywdzi, bo żadna praca nie krzywdzi nikogo, a prędzej i pewniej doprowadzi mię do tego celu, do którego dążę. Umówiłem się więc z tym zawnym stolarzem, którego dzieci uczę, że on nawzajem będzie mię uczył swego rzemiosła, i za dwa najdalej lata wyzwoli mię na czeladnika. Dobry czeladnik zarabia dwa do trzech dukatów tygodniowo, co czyni przeszło dwa tysiące pięćset złotych na rok i jest już utrzymaniem pewnym i zależącym tylko odemnie, od mojej pilności i przemyśłu, a więcej od nikogo. Za rok potem, lub najdalej za dwa, mogę zostać sam majstrem, i być już pewnym, że gdziekolwiek się obrócę, będę miał chleb dla siebie i dla drugich, i przyjdę z czasem do ucziwego dostatku, do jakiego każdy człowiek, szanujący swoją niezależność, dążyć powinien.

Ignas mówił z coraz większym ożywieniem, bo widział w oczach Julki że go pojmuje, że rozumiała dobrze, iż wszystko to jest dla niej. Kański kiwając głową rzekł:

— Ignasiu! Ignasiu! boję się bardzo, czy się nie łudzisz. Łajałeś mię nieraz, że każdej nadziei

wierzę jak ewangielii. Prawda, było to kiedyś. Dziś bieda wykurowała mię z téj choroby. Ale bodaj, czyś ty w nią nie wpadł, i czy nie będziesz musiał spotkać się z taką samą kuraczą, jaka mnie wyleczyła. Daj to Boże, żeby tak nie było. Słuchając cię, zdaje się, żeś wszystko dobrze obmyślał i wyrezonował. A jednak nie gniewaj się na mnie, że powtórzę, com z początku powiedział: poczciwy mój, rozsądny przyjacielu! podobnoś ty wielkie głupstwo zrobił.

— I mnie się to nie podoba, mój drogi bracie — rzekła smutno Paulinka — i przepraszam cię, że tobie, coś dla nas taki dobry, co nas tak kochasz, ośmielam się zrobić uwagę. O! jeżeli jeszcze czas, usłuchaj nas Ignasiu, i cofnij się w tém przedsięwzięciu, które cię postawi daleko niżej, niż dziś stoisz, i które nie odpowiada ani twemu imieniowi, ani usposobieniu, jakieś odebrał.

— Nie słuchaj jój Ignasiu! — rzekła wówczas z mocą Julka i oczy jój wyiskrzyły się jakąś dziwną odwagą i postanowieniem. — Takie serce jak twoje wszędzie będzie na swoim miejscu, każdą pracę uszlachetni, każdy uczeiwy zawód ozdobi. Imię, to rzecz piękna, kiedy do niego przyłącza się za-

sługa, a bez tego, jest tylko znakiem, który różni jednego człowieka od drugiego, nie więcej. Twoja nauka, usposobienie twoje, także nie zginie; owszem rzemiosłu twemu przyda znaczenia, podniesie je myślą i tém widniejszém i szacowniejszém w oczach ludzkich uczyni. Bądź śmiałym braciszku i trwaj w swoim postanowieniu, bo to postanowienie dobre i przywiązania naszego dla ciebie, i szacunku tych wszystkich, co cię znają, ani na włos nie zmieni. Może nie tak prędko, jak sobie wyobrażasz, staniesz na tym punkcie, do którego dążysz — dodała czerwieńjąc się i spuszczać oczy. — Ale o tém nie myśl; czy za lat trzy, czy za cztery, czy za sześć i więcej zyskasz tę niezależność, której pragniesz, to...

— To co? oratorko! — przerwał jęj Książki śmiejąc się — poczekaj, ja dokończę... to Julija Jelewska, szlachecianka z ojca i z matki czekać na ciebie będzie, i poda rękę majstrowi kunsztu stolarskiego.

— Jakbyś wiedział, że czekać będę i podam mu rękę, która jeżeli teraz nie tak pokłuta igłą jak dawniej, to jemu się należy — odpowiedziała z ogniem determinowana dziewczyna. — A że potrafię

być taką majstrową, że mnie będziesz szacował, choćbyś był radeą i referendarzem, to tego możesz być pewnym.

— Będę was oboje kochał i szacował — rzekł prędko Kański — ale zawszebym wolał, żeby on był radeą, a ty radczynią.

— Dla mnie to wszystko jedno — odpowiedziała z postanowieniem Julka wyciągając rączkę do uszczęśliwionego kochanka. — Czémkolwiek będzie, zawsze będzie dla mnie takim, jakim go dziś widzę.

— Dziękuję ci Julciu! nie zawiodłaś moich nadziei. Teraz jestem pewny że dobrze zrobił — rzekł młody człowiek z ufnością i uspokojeniem.

— Boś to zrobił dla mnie — odpowiedziała głośno i czerwieniąc się — a cokolwiek dla mnie w życiu uczynisz, to bądź pewny od dziś, że to zawsze uważać będę za dobre. Takie serce jak twoje nie myli się, taka głowa jak twoja nie błądzi. To moja wiara i przekonanie.

Po tych słowach wszyscy się uspokoiли, wszyscy się porozumieli i podawszy sobie ręce na zakład wiecznego szacunku, przyjaźni i miłości, bądź co bądź, zaczęli wesoło i otwarcie o dalszych Ignasia

rozmawiać projektach. A gdy jeszcze dowiedzieli się od Julki, która w tak uroczystej chwili sekretu dotrzymać nie mogła, że cały swój dochód złożył w jej ręce, aby im dopomódz do utrzymania domu; że sobie nie zostawił nic, i dla tego poddaje się takiej ciężkiej pracy, aby im było lżej, wtedy dopiero Kański i jego żona zrozumieli charakter i serce bohatera naszego, i dzień ten, którego się tak obawiał, skończył się dla niego takim uczuciem własnej godności, szczęściem tak wysokiem i czystem, jakie rzadko kiedy, a może i nigdy nie przestępuje progów, których broni szwajcar i które ciżba galonowana zalega.

Nazajutrz o godzinie piątój rano, wszedł Ignas wesoły i spokojny do warsztatu P. Hebla. Najstarszy czeladnik, tak nazwany po naszych warszawskich warsztatach, gdzie cała nomenklatura jest niemiecka, *Werkführer*, a przekreconym przez chłopców i młodszą czeladź wyrazem *Wegkwir*, przyjął go dość chmurnie i oficjalnie, inni zaś czeladnicy lub wcale na niego nie zważali, lub poglądali z ukosa, lub poświstując przy rozpoczynającój się robocie i ruchu warsztatowym mówili w pół głośno: »obaczemy czy tu panicz wytrzyma. Na diabła nam

panicze, nam trzeba chłopców, nie paniczów uczonych i mądrych. Łacina tu nie pomoże.”

Takie i tym podobne szepty i rozmowy, przytęm przebieganie mu po przed nosem chłopców i chichotanie w oczy, zasępiły cokolwiek bohatera naszego i pokazały mu, że nie po różach przejdzie ten czas próby i nauki. Najwięcej go zastanowiło obejście się z nim kierującego warsztatem czeladnika, P. Antoniego Adwentowicza, którego znał, który z nim dawniej weale inaczej się obchodził, który go nawet nieraz chwalił i zręczność jego podziwiał, kiedy przez ciekawość zachodził do warsztatu, brał się do hybla i dłutem lub piłką manewrował. Niezważając więc na to przywitanie tak nieprzychylne reszty przyszłych swych kolegów, przystąpił do Adwentowicza i rzekł mu grzecznie:

— Panie Adwentowicz! zapewne pan Hebel uprzedził pana, jako zawiadującego warsztatem, o moim zamiarze zostania tu uczniem stolarskim.

— Chłopcem! chłopcem! małym — zawołało kilka głosów między czeladnikami, a malee powtórzyli śmiejąc się — małym! małym!

— Moje chłopczyki! — rzekł Ignas do maleców —

kto mały to mały, a kto już wyrósł, to małym być nie może. Ale równie mały jak i duży kiedy nie umie i przychodzi uczyć się, nazywa się uczniem.

— Chłopcem, chłopcem— powtórzyli czeladnicy.

— Dziękuję panom że mię oświecacie — rzekł Ignaś z postanowieniem niestracenia zimnej krwi i przytomności umysłu— będę więc odtąd nazywał się chłopcem, jeżeli się panom tak podoba i taki jest w warsztacie zwyczaj. Uczniem nazwałem się jedynie dla tego, że postanowienie księcia namiestnika z r. 1816 dla zgromadzeń rzemieślniczych, nazywa uczniami tych, co się chcą uczyć rzemiosła.

Piękna jego postawa, zimna krew i grzeczność, wzięły górę nad nieokrzesianiem i chęcią widoczną odstręczenia ukształconego młodzieńca od zawodu, gdzie potrzeba było tylko zręczności i czasu. Prawie wszyscy więc umilkli, a jeden z czeladzi szepnął do drugiego:

— Mądra bestya!

— Dajcie pokój! to jakiś tęgi chłopak. Nie będzie nam z nim źle — odpowiedział drugi głośniej, i wszyscy łaskawiej poglądać na niego za-

częli. Ale najstarszy milezał i swoje robił. Był to człowiek już nie młody, słuszny, barczysty, z dużemi wąsami, które mu dodawały powagi i twarz jego przystojną zdobiły. Miał na sobie czystą i dość cienką koszulę, popielaty fartuch z napiersznikiem okrywał całą przednią część ciała i spadał niżej kolan, a rękawy od koszuli zagarnięte ku łokciom, okazywały ręce silne, żylaste, i od pracy tak w muskularnej swój części wydane, że mogłyby służyć za model dla snycerza, gdyby chciał rękę gladyatora urobić. Ignas zwrócił się znowu ku niemu, i rzekł:

— Jakże P. Adwentowicz! czy P. Hebel nie panu o mnie nie mówił.

— Najsamprzód — odpowiedział gburowato starszy czeladnik, robiąc swoje i nie patrząc na młodego człowieka — trzeba, żebyś aspan wiedział, że jak skoro tu przyszedłeś jako uczeń stolarski, to już tu dla aspana nie ma ani pana Adwentowicza, ani pana Hebla, ale jest P. Werkführer i jest P. majster. Zrozumiałeś mię aspan.

Wszyscy zaśmieli się głośno, a szczególnie małe chłopaki zachichotali, klaszcząc w ręce, a jeden z tygielkiem pełnym kleju przebiegając mu

przed nosem nastąpił go na nogę. Ignaś usunął się spokojnie i odpowiedział:

— Zrozumiałem, P. Werkführer; i teraz zapytuję pana, czy P. majster dał panu jakie względem mnie polecenie?

— A jeżeli dał, to co?— zapytał zawsze zajęty robotą swoją Adwentowicz.

— To proszę mi rozkazać, co mam robić — odpowiedział Ignaś, którego słusznie moglibyśmy nazwać teraz bohaterem naszym.

— Niech panu Dylewiczowi bóty wyczyści—zawołał jeden z chłopaków.

— Niech biegnie po friszyk dla P. Fryca—mówił drugi.

— Niech wody przyniesie do warsztatu—odezwał się trzeci.

— Mileżeć smarkacze!—krzyknął zawiadowca, i obracając się do nowicyusza, któremu trochę krew szlachecka zaczynała bić do głowy, dodał:— rozkazuję aspanu najpierwój, żebyś zdjął ten surducik paniczowski, bo on się tu nie zda, a przywdział oto ten fartuch, który ci pani majstrowa przysłała, za co pójdiesz potem i podziękujesz jej. Zrozumiałeś aspan.

— Zrozumiałem i wykonam — odpowiedział Ignaś, zrzucił surdut i przywdział fartuch popielaty nowy i ładny, na co inni kiwali głowami i szeptali sobie po cichu.

— Po drugie: — mówił dalej Adwentowicz — ten kapelusz i laseczkę sprzedaj sobie, albo daruj komu, albo sobie schowaj, jak się za lat kilka wyzwolisz, jeżeli nie wyjdzie z mody. A teraz kup sobie aspan czapkę i w niej chodź. Bo jak cię kto obaczy w kapeluszu, a szczególnie z laską, to jak przyjdzie do Ferglajchu *) na gospodzie, to w ten czas nie laska będzie w robocie, ale co innego. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem P. Werkführer! — powiedział Ignaś — jutro będę miał czapkę, a z laską nikt mię nie obaczy.

— Potrzebie: — mówił dalej Werkführer, kontynuując swoje zajęcie. — Niedość jest mieć czapkę, ale trzeba jeszcze, żeby pod tą czapką nie było wróblów. Zrozumiałeś aspan?

— Niegrzecznym nigdy nie byłem dla nikogo — odpowiedział Ignaś.

*) Ferglajch, czyli porównanie z innemi, znaczy przyjęcie za towarzysza na gospodzie.

— Pokornym być trzeba i uległym, nie tylko grzecznym— mówił Adwentowicz.— W warsztacie słuchać, co każą, na ulicy każdemu starszemu się ukłonić. A starszym teraz dla aspana jest P. majster, P. majstrowa, i każdy z towarzyszków, to jest z czeladzi ferglajchowanych, nie tylko tutejszych, ale i z innych warsztatów, jak ich poznasz. Bo jak przyjdzie do Ferglajchu, a zajdzie skarga za hardość, za nieposłuszeństwo, za jaką kłótnię, to znowu będzie robota.

Chłopców cieszyło to niezmiernie i pokazywali gestami, jaka to będzie robota, a Ignasia te morały i powaga, z jaką mu były dawane, zaczynały już zajmować i bawić. Nie pokazał jednak tego po sobie, ale zachowawszy minę skromną i pokorną, uchylił głowę, na znak że pojął i zapamięta.

— Poczwarcie: — mówił dalej Adwentowicz — fajki palić nie wolno, tu w warsztacie nikomu, ani mnie, ani nawet P. majstrowi. Gdzie indziej wolno jest palić, ale dopiero po Ferglajchu. Uczeń, czyli chłopiec, jeżeli postrzeżonym będzie z fajką i oskarżą go, że palił, to palą go za to w gospodzie. Zrozumiałeś aspan?

— Przepis ten tym łatwiej mi będzie wykonać—
odpowiedział Ignas z uśmiechem— żem nigdy téj
skłonności nie miał i nałogu tego nie zaciągnąłem.

— Tém lepiej dla aspana— rzekł seryo Adwentowicz.— Po piąte: cokolwiek się tu zrobi w warsztacie, to wolno aspanu widzieć i kiedyś mądrzejszy od innych myśleć sobie, co ci się podoba; ale uwag starszym robić nie wolno, bo to hardość; wnosić sekretów z warsztatu także nie wolno, tak jak i ze szkoły, gdzie aspan tyle lat byłeś, i musiałeś się tego nauczyć, co i my wiemy, że, żeby cię pieczono i smażono w smole...

— Nie powiadaj co się dzieje w szkole— krzyknął cienkim głosem jeden malec, a inni chichotać zaczęli.

Adwentowicz zawołał chłopca do siebie, pokręcił go za ucho tak, że się aż rozplakał, i dodał patrząc groźnie na innych:

— A starszemu błaźnie nie przerywaj, kiedy mówi. To także nauka.

Malec poszedł w kąć szlochając, inni umilkli i wzięli się do roboty, a surowy zawiadowca obracając się do młodego człowieka, który pokonywał

jak mógł przykre wrażenie, jakiego doznał, mówił dalej:

— Otoż jak ze szkoły, tak z warsztatu nie wynieść nie wolno i plotek nie robić, ani przed majstrem, ani przed majstrową, ani przed ich dziećmi, ani przed nikim. Zrozumiałeś aspan?

— Zrozumiałem i to, i zajmę się tylko tém, co się mnie tyczćć będzie— odpowiedział Ignas.

— To i dobrze— odpowiedział Adwentowicz— zajmiesz się aspan tém, co ci kaza. A teraz rozpatrz się w warsztacie, i staraj się go poznać cokolwiek, żebym jutro nie musiał gadać trzy razy, i żebyś mię zrozumiał, jeżeli o co zawołam.

I to powiedziawszy odwrócił się i zaczął obchodzić stoły warsztatowe, przypatrując się robocie innój czeladzi i wydając jój dyspozycye. Ignas tymczasem przypatrywał się pilniej temu nowemu miejscu swojej działalności, które znał powierzchownie, a które teraz w najdrobniejszych szczegółach poznać był obowiązany.

Warsztat P. Hebla mieścił się w jednéj wielkiej sali, zajmującej całą szerokość domu i mającej ośm okien w dwóch przeciwległych sobie ścianach, po cztery w każdej. Środkiem sali szedł rząd słupów,

podpierających belki ścieli, a do kilku z nich, równie jak do belek przymocowany był *Pablacz*, to jest druga ścieleń, odległa od pierwszej na dwa łokcie, a na cztery lub pięć łokci szeroka i nad częścią środkową sali wisząca. Tam się suszyły deski i inny drewniany materiał, tam się składały części mebli, spojone z sobą klejem, ujęte w śruby dla wyschnięcia, tam były także sienniczki chłopców, wypchane wiórami, ich kuferki, jeżeli który je miał, i inne mniej potrzebne graty. W lecie chłopcy sypiali zwykle w warsztacie samym na wiórach, które raniutko musieli wymieść i w miejsce na to przeznaczone złożyć; ale w zimie dla ciepła zwykle sypiali na pablaczu. Mniejszych takich miejsc do suszenia materiałów i sklejonęj roboty, przymocowanych do belek i wiszących w różnych punktach sali, było kilka; ale tam już niewolno było nikomu włązić i lokować się na noc, gdyż tam składały się delikatniejsze roboty, potrzebujące ciepła, i droższy materiał. Przy drzwiach wchodowych było ognisko, jakby wielki i głęboki kominek, na którym od rana do nocy palił się nieustanny ogień, utrzymywany kawałkami odrzynanego drzewa i nieskończoną ilością wiórów,

mnożących się ciągle i zaścielających całą niemal podłogę sali. Ogień ten potrzebny był do utrzymania kleju w ciągłym rozczynie, i zgartywał się pod płytę żelazną, przymurowaną przy kominu, i mającą w sobie dziesięć kamforek, w której każdej tkwił miedziany tygielek z rączką, mający w sobie rozpuszczony i gorący karuk. Utrzymywanie tego wiecznego ognia, jak na zamku Świętoroga, dopilnowanie leimtyglów, aby każdy miał w sobie dostateczną ilość rozpuszczonego kleju, i podawanie go natychmiast, jeśliby który z czeladzi o klój zawołał, było obowiązkiem chłopców w pierwszym roku ich terminowania. Oni także musieli opalać w jesieni i w zimie cztery piece żelazne, w stosownych punktach sali umieszczone, pilnować, aby ciepło było zawsze umiarkowane, aby od przepalonego pieca nie było swędu, aby wióry od pieców były zawsze odmiecione i wszelki palny materiał od nich odsunięty. Te były pierwsze zajęcia, które czekały bohatera naszego, i które mu jeden z czeladzi złośliwie wskazał, chcąc go zniecierpliwic i może jaką ostrą odpowiedź wywołać. Ale Ignas postanowił być umiarkowanym, a w cierpliwości i milezeniu utrzymywał go obraz

jego przyszłej, tak odważnej i ślicznej majstrowej, który mignął przed jego myślą, i wczorajszą roszkowaną chwilę przypomniał.

Rzędem, między oknami i pablaczem i po obu jego stronach, stało dziesięć stołów warsztatowych, a przy każdym z nich, był czeladnik i jeden ze starszych terminatorów. Oprócz tego było pięć oddzielnych stołów, gdzie pracowali terminatorowie, kończący już swą naukę i mający się wyzwolić; w dogodnych zaś punktach i widnych były dwa przyrządy osobne; przy jednym z nich zajętych było dwóch rzeźbiarzy modelujących i wyrzynających rozmaite ozdoby do kosztowniejszych mebli; przy drugim zaś był biegły tokarz. Każdy stół warsztatowy miał należąca do siebie szafę zamykaną, w której porządkiem systematycznym, od większych do drobniejszych, uszykowane były wszystkie narzędzia podręczne i potrzebne do rzemiosła, nazywające się z niemiecka i dziwacznie często przez tutejszych robotników przekręcone. Tam to stały, jak książki w bibliotece *schrubhuble*, *schlichthuble* pojedyncze i dubeltowe, *putzhuble*, *karnizhuble*, *hohlkelhuble* i inne, w liczbie kilkunastu gatunków i modyfikacyj; tam świeciły szmelcowa-

nemi boki i ostremi zębami piły i piłki, jak *Ertersega*, *Schlitzsega*, *Schweifsega*, *Absatzsega*, szeroka jak ogon lisi *Fuchsschwanzsega* i t. d.; tam sterzczały we właściwem miejscu dłóta i dłótka, świdy, raszple, pilniki rozmaitej wielkości i formy; *winkelmaszy* czyli węgielnica, *streichmassy* do oznaczania linii, młotki, cyrkle i t. p. Każda taka szafa znajdowała się pod kluczem czeladnika stołu warsztatowego, do którego należała, i on odpowiedzialnym był za całość narzędzi, które odbierał pod rachunkiem. Pod tym względem w warsztacie P. Hebla była ścisłość największa i częste odbywały się rewizye.

Oprócz tych szaf pojedynczych, była jedna większa, ogólna, mieszcząca w sobie narzędzia nie tak często używane, a także zapas zwyczajnych naczyń, służący do zapełnienia tych, które się przez użycie lub jaki przypadek uszkodziły. Po dziesięć i piętnaście exemplarzy jednego gatunku hyblów, piłek, raszpili, pilników, dłót, centrumbohrerów, lefelbohrerów, schnekenbohrerów, schneidbohrerów i innych świdrów ręcznych stało tam obok siebie w największym porządku i czystości. Szafa ta

była pod kluczem P. Adwentowicza, i on w miarę potrzeby wydawał z niej żądane naczynia.

Przy każdym stole były jeszcze schraubzwengi większe i mniejsze, służące do ześrubowania części wziętych na klój, schraubknechty, któremi zmo-cowywały się rzeczy większe; a przy stole zawiadowcy stała machina, zwana schraubock, która przyciskała do desek forniry i wyrównywała je, i drugi przyrząd, nazwany keilbock, który służył do regularnego klucia drzewa i wbijania klinów.

Takiego mniej więcej składu, jak tu po krótko opisaliśmy, bojąc się większą dokładnością znużyć czytelników, było to miejsce, gdzie bohater nasz miał przepędzić kilka najpiękniejszych lat życia, gdzie spodziewał się znaleźć to szczęście, jakie mu się wczoraj tak pięknie uśmiechnęło, a gdzie, jak to widzieliśmy, mimo zapewnień P. Hebla tak go surowo przyjęto, i charakter jego i wytrwałość na ciężką wystawiono próbę.

Nie zrażając się jednak tem wszystkiem, nieodstręczając się niechętną odpowiedzią to tego to owego czeladnika, których o nazwisko i użycie rozmaitych naczyń zapytywał, poprzestał na przypatrywaniu się i przysłuchiwaniu rozkazom wyda-

wanym młodszym terminatorom, i z nich mimo chęci swoich przyszłych kolegów, to i owo zmiarkował i zapamiętał.

Wpół do siódmej zrzucił fartuch, wziął surdu-cik i opowiedział się Adwentowiczowi, że idzie wysłuchać lekcyj dzieci P. majstra. Wychodzącego pożegnano znowu szyderstwem:

— Adie, adie! — wołali do niego chłopcy.

— Upadamy do nóg pana dobrodzieja — mówili śmiejąc się niektórzy czeladnicy.

Ignaś nie nie odpowiadając wyszedł, ciekawy jak też go dziś P. Hebel przyjmie. Ale i ten kiwnął mu tylko głową nie zupełnie nie mówiąc; a gdy się zajęcie z dziećmi skończyło, kazał mu podać filiżankę kawy, i na powrót do warsztatu wyprawił. Taką samą powagę i milczenie zachował majster o godzinie pierwszej przy obiedzie, gdzie go poniżej Adwentowicza, który także przy stole P. Hebla siadał, posadzono.

Pomimo tych przykrości, doznał jednak i tego dnia pewnego wynagrodzenia, posunawszy się co-kolwiek w znajomościach w powołaniu jego naj-istotniejszych. Skoro bowiem powrócili do warsztatu i młody człowiek przywdział fartuch, P.

Adwentowiec nachmurzywszy czoło gorzej niż zwykle, rzekł:

— A pódź no aspan tu.

— Co P. Werkführer każe—zapytał Ignas przystępując do milczącego przez chwilę starszego czeladnika.

— Co każe, to aspan zaraz usłyszysz, tylko nie dopytuj się, bo tego nie lubię— odpowiedział mu ostro, a wszyscy poglądali uśmiechając się i oczekując co to z tego będzie. Zawiadujący warsztatem otworzył szufladkę swego stolika, który jemu tylko jednemu służył, wyjął z niej listę narzędzi znajdujących się w jego szafie, i dodał — powyjmuj wszystkie naczynia z mojej szafy i złóż tak, jak idą po sobie na tym oto próżnym stole. Wyczyść mi aspan szafę dobrze z kurzawy, i poustawiaj mi narzędzia na miejsce, w takim porządku jak tu napisano, opatrzywszy wprzód każde dobrze. Jeżeli które zardzewiało, albo gdzie nadpsute, to masz ołówek i w rejestrze położysz tam krzyżyk, lub inny jaki znak. Zrozumiałeś mię aspan.

— Zrozumiałem, tylko...

— Tylko co?— przerwał mu surowo Adwentowicz, a inni parsknęli głośnym śmiechem.

— Nie wiem czy trafię, jak się które narzędzie nazywa— rzekł Ignas czerwieniąc się.

— A oczy od czego?— rzekł wąsaty Werkführer— w szkołach aspan byłeś, czytać zapewne umiesz i na numerach się znasz.

To powiedziawszy odwrócił się, ale Ignas nie dostrzegł, że się uśmiechnął pod wąsem.

Wziął się Ignas z obawą do tej roboty, pewny, że umyślnie dana mu była na to, aby mu pokazać całą trudność zawodu, do którego, zaufany w swém usposobieniu i naturalnej skłonności wziął się za późno, i żeby go narazić na śmiech tych, co choć od niego młodszy i mniej uczeni, a jednak więcej już umieją i lepiejby się z danego polecenia wywiązali. Ale gdy jedno i drugie narzędzie wyjął i dobrze mu się przypatrzył, postrzegł, że na każdym z nich był numer odpowiadający numerowi spisu. To postrzeżenie ośmieliło młodego człowieka i zrobiło go panem zajęcia, które mu polecono. Do godziny piątej pracując bez przerwy, przypatrując się pilnie każdemu naczyniu, porównywając numer jego z nu-

merem rejestru, nie tylko, że się nie splątał, ale oczyściwszy szafę, każdą rzecz napowrót na swym miejscu postawił, obeznał się znacznie z tym arsenalem stolarskim i niemal połowę nazwisk śmiesznej téj i utrudzającej niepotrzebnie polskiemu robotnikowi zawód jego nomenklatury, zapamiętał.

— Skończyłem już panie Werkführer— rzekł Ignas gdy uderzyła godzina piąta.— Teraz pójdę na korrepetycyą do dzieci pana majstra.

— A to idź aspan— odpowiedział z powagą starszy czeladnik— a fartuch złóż tu na moim stole. A podziękowałaś aspan pani majstrowej?

— Nie zapomniałem o tém— odpowiedział młody człowiek i odziawszy się i wziawszy kapelusz i laseczkę ukłonił się grzecznie starszemu i tym z panów czeladzi, którzy byli bliżsi i na niego patrzyli i wyszedł. Gdy drzwi zamknął, Adwentowicz rzucił okiem na swoją szafę w doskonałym znajdującą się porządku, i znowu się nieznacznie uśmiechnawszy, poszedł do stołów terminatorów, rozmaite im dając rozkazy; a czeladnicy inni, i chłopcy zeszli się koło szafy Werk-

führera, przypatrywali się robocie nowego ucznia, i kiwając głowami mówili:

— Oho! prędko bestya da sobie radę, nie bójcie się.

Jakoż na drugi dzień przyjęli go obojętnie i z niechęcią, ale bez tych przekasów i śmieszków, które wczoraj tak heroicznie wytrzymał. Adwentowicz równie nachmurzony, jak dnia wczorajszego, przywołał go do siebie, i rzekł:

— Pomieszaleś mi tam aspan naczynia, i nie wszystko tak ustawileś jak trzeba. Nie wszystkie także oznaczyłeś nadpsute, tępe i pordzewiałe. Wyłóż jeszcze raz i przepatrz lepiej— i rzuć mu znów rejestr i klucz od szafy i odszedł.

Ignas nie bardzo był niekontent z tego rozkazu, dającego mu sposobność lepszego jeszcze obeznanania się z tém, co było najistotniejszém. A choć mu się wydawało, że szafa jest w porządku, i że polecenie to dane mu było jedynie w chęci pokazania wyższości i znudzenia go jednostajnym zajęciem, wziął się jednak do roboty z ochotą i taką uwagą, aby mógł jak najwięcej skorzystać. Gdy więc wyłożył znowu na stół wszystko w porządku, i starał się wbić sobie

w pamięć owe *stameizy, uhrfedry, knyple, cyklingi, cyklingstale*, rozmaitej formy i wielkości *fejle, gormassy, schnejdmassy, richtholze* i t. d., na których poznaniu i nauczaniu się jako takich nazwisk, zwyczajni chłopcy rok i dwa niepotrzebnie trawia, postrzegł, że o kwadrans na siódmą wczorajsza scena, którą miał za przypadkową, powtórzyła się znowu. Pan Adwentowicz stanął na środku warsztatu, i zdjawszy czapkę i trzymając ją w górze w prawej ręce, krzyknął na cały głos: *Früsztick!* Wtedy wszyscy chłopcy i młodszy terminatorowie, rzuciwszy każdy swoją robotę, wypadli do drzwi, i w kilka minut ten temu, ten owemu czeladnikowi przyniósł śniadanie. Gdy Ignas na to hasło nie ruszał się z miejsca i swoje robił, jeden z czeladników, pracujących przy warsztacie najbliższym, przystąpił do niego z hardą miną, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— He! paniezu! nie słyszałeś? idź mi po śniadanie.

Bohater nasz porwał się z miejsca zaczerwieniony, i byłby zapewne wyszedł z cierpliwości; ale w tej chwili Adwentowicz odezwał się surowo:

— Panie Batogowski! widzisz pan, że chłopak zatrudniony z mojego rozkazu i zaraz pójdzie do dzieci pana majstra.

Te słowa i mina Werkführera zwróciły czeladnika na swoje miejsce, a młodemu człowiekowi, który uczuł, jak trudnym jest jego położenie, dały czas do pomiarkowania się i ochłodzenia szlacheckiej i upokorzonej piersi.

Gdy się czas śniadania rzemieślników kończył, wtedy znowu Werkführer stanął na środku sali, zdjął czapkę i krzyknął: *Aus!* i chłopcy rzucili się do sprząwania resztek jedła, czeladnicy stanęli każdy przy swoim warsztacie i wszystko do dawnego wróciło porządku.

Po obiedzie, gdy szafa już była uporządkowana, rzekł Adwentowicz do Ignasia, który z jego rozkazu heblował schrübhublem daną sobie deskę:

— Chodź-no aspan tu. Oto masz klucz do tej wielkiej szafy. Przynieś mi ztamtąd dwie cyklingi, fejlę półokrągłą, sznycer, dwa gradhuble i jeden lochbeutel. Czekaj aspan. Powtórz, czego żądam.

Ignas wziął klucz i powtórzył.

— No, dobrze, ruszaj-że aspan teraz i nie guz-

draj się, bo mi pilno— dodał Adwentowicz, i znowu się uśmiechnął nieznacznie, gdy się młody człowiek odwrócił, i gdy inni, którzy rozkaz słyszeli, patrzyli ciekawie, jak też się sprawi. W kilka minut żądane narzędzia złożone były na stoliku Werkführera, który je obejrzał i dodał:— No, dobrze. Wyjm-że teraz aspan z mojej szafy takie same, zanieś je tam i schowaj, a te połóż tu na ich miejsce.

I znowu zaczęły się gadania, ale już cichsze między czeladzią, a ten i ów mówił do sąsiada:

— Sprytna kanalia! paniczek! jak on to prędko zmiarkował.

Takie było postępowanie Werkführera względem bohatera naszego, surowe, groźne prawie, i nieubłagane. Ale przynosiło mu tę korzyść, że inni widząc, jak się z nim obchodzi starszy czeladnik, jak obojętnie traktuje go majster, który wiele razy wszedł do warsztatu, żadnej na niego nie zwracał uwagi, sami złagodnieli względem młodzieńca, którego każdy z nich w duszy uznawał od siebie wyższym moralnie i umysłowo, prawie go żałowali, a ten i ów chętnie pomagać mu i w naznaczonej robocie radzić i o-

świecać go zaczął. Trwało to kilka tygodni, w ciągu których Adwentowicz nie spuszczał ani na włos z groźnego i imponującego tonu, dawał mu coraz inne, coraz trudniejsze zajęcia, ale zawsze takie, któreby go wtajemniczały w sekreta kunsztu, wykazywały jego wyższą pojętność i usposobienie, i jednały mu względność i szacunek współ-pracujących.

Jednej niedzieli, na parę dni przed sessyą wpisową, na której Ignaś miał być przedstawionym w urzędzie starszych i w wilią tego dnia, kiedy miał się już przenieść do pana Hebla, chodził sobie o dziewiątej z rana po swojej stancyjce, przypatrywał się jej jakby na pożegnanie, i medytował nad tą ciężką pracą, do której się zaprzął, i która z tyłu połączona była przykrościami. W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Wezwawszy do wejścia nieśmiałego widać gościa, gdyż pukanie było delikatne i powolne, za otwarciem się drzwi, z największym podziwieniem postrzegł przed sobą pana Antoniego Adwentowicza. Groźny ów Werkführer, świątecznie przystrojony, w porządnym surducie, w nowym kapeluszu i rękawiczkach, stanął przed bohate-

rem naszym uśmiechnięty, patrzący z łagodnością i życzliwością, słowem taki, jakim go dawniej widywał.

— A! pan Werkführer!-- rzekł Ignas zażenowany, i niewiedzący czemu te odwiedziny przypisać.

— Daj pokój panie Ignacy!-- rzekł uśmiechając się czeladnik— tu nie ma Werkfürera, ale przychodzi do pana Adwentowicz.

— Niech-że pan Adwentowicz z łaski swojej usiądzie i powie mi, co go sprowadza do stancyi chłopca stolarskiego?— mówił młody człowiek przysuwając mu krzesło. Gdy oba usiedli, Adwentowicz rzekł:

— Powiedzno szeczérze panie Ignacy, czy bardzo się na mnie gniewasz, zem cię czasem zburczał i nie tak cię przyjął, jakieś się może po dawniejszej naszej znajomości spodziewał?

— Gniewać się nie mam o co, gdyż może to było potrzebne, a ja wszedłem tam z postanowieniem zastosowania się do zwyczajów warsztatu— odpowiedział Ignas— a za oznajomienie mię z wielu rzeczami, których przy innym starszym

możebym się nie nauczył tak prędko, jestem nawet obowiązany.

— Ale czy pan nie domyśliłeś się, dla czego ja tak postępowałem— mówił Adwentowicz— choćbym może z duszy chciał być inaczej?

— Jako? — zapytał ucieszony Ignaś — pan chciałbyś być inaczej? Więc to była komedia?

— Z którą panu było nie do śmiechu, a i mnie także— rzekł Adwentowicz wyciągając zylastą swą rękę. Młody człowiek ujął ją i ścisnął. A Werkführer mówił dalej:— Ale była, była komedia, ułożona między mną i panem Heblem, który panu sprzyja serdecznie, tak jak i ja nie chwając się. Była zaś potrzebna, żeby pana od innych większych ochronić przykrości i od zawiści czeladzi, patrzącej złym okiem na każdego ucznia, który więcej umie niż oni, i prędej kończy swój termin, niż oni go przebyli.

— Teraz pojmuje— rzekł Ignaś— i serdecznie dziękuję panu.

— Bo widzi pan— mówił Adwentowicz— u nas są zwyczaję, których nawet majster gwałcić nie może. Chłopcy przez rok i przez dwa są na posłudze czeladzi i biegając za ich posyłkami, peł-

niąc rozkazy, nie mające związku z rzemiosłem, mało co przez ten czas mogą się nauczyć. Dopiero w trzecim i czwartym roku terminator zaczyna być prawdziwym uczniem; a i tu mu idzie ciężko, bo mu nikt chętnie nie pokaże i nie stara się jego drogi skrócić. Tyle więc umieć, ile z napatrzenia się i praktyki, jaką ma, gdy go który z czeladzi do pomocy wzywa. Otóż każdy z nich przechodził przez takie same cięgi i przez taką ciężką i długą drogę, i dla tego to niechętnie to widzą, gdy się dla kogo robi wyjątek. Gdybym był pana od razu zaczął cackać, bronić i wszystko tak pokazywać, jakbym chciał i mógł, byliby wszyscy na mnie i na pana powstali, i wszczęłaby się w warsztacie niezgoda i kłótnie, którymby i sam majster nie dał rady, a na których byś pan najgorzej wyszedł. A teraz jest przeciwnie. Jak zobaczyli, że majster o pana niby nie dba, a ja z panem nie żartuję, to sami dali pokój. I musisz to pan widzieć, że są dla pana zupełnie insi, jak byli z początku.

— Zupełnie insi— rzekł Ignaś ściskając rękę tego prostego, ale tak pełnego życzliwej chęci dyplomaty.— Nie jeden nawet oświeca mię i po-

kazuje, jak mi pan jaką bardzo trudną robotę naznaczysz.

— Nawet powiem panu— odpowiedział Adwentowicz— że pana żalują, kiedy czasem fuknę i zrobię taką borsuczą minę, że aż mnie samemu w duszy chce się śmiać z tego udawania. A jak pan wychodzisz z warsztatu to rozmawiając między sobą wychwalają i bronią pana; raz nawet zastyszałem jak Dyszkiewicz, który panu najwięcej pomaga, nazwał mię za to niedźwiedziem, że pana źle traktuję i obciążam pracą. Ale ja udałem, że tego nie słyszę, i cieszyłem się w duszy. A potem jakim wszystkim rozpowiedział panu Heblowi, tośmy się obydwu naśmieli, że się nam komedia tak doskonale udała.

Ignas powstał, objął pocziwego kolegę i serdecznie go uściskał. Adwentowicz dodał:

— Ale z innym, małego serca lub próżnym paniczykiem, toby się nam pewnie taka sztuka nie udała. Zapyrzyłby się pewnie od razu, zniecierpliwilby się, myślałby zaraz, że mu korona spadła z głowy i uciekłby pewnie. Ale pan wytrzymałeś, boś sobie szczerze postanowił wyjść na człowieka. I pewnie Pan Bóg pobłogosławi

i dopomoże prędko, gdyż pan nie płocho wziąłeś się do rzeczy, a z taką głową i z taką wolą to można i w naszym kunszcie zająć bardzo daleko. A za toż się pan na mnie nie gniewasz, że panu takie trudne daję roboty i do fraszek pana nie używam?

— Panie Adwentowicz!— rzekł Ignas z uczuciem— teraz widzę dobrze, jakiego mam w panu przyjaciela i przewodnika. Ale zaraz drugiego dnia, kiedyś marszcząc się i srożąc, kazał mi uporządkować narzędzia, które były w porządku, i oczyścić szafę, która była czysta, zmiarkowałem trochę, że może nie jesteś tak złym, jak się wydajesz. Niech ci Bóg płaci za ten człowieku! za twoje dobre serce i za te przysługi, jakie dotąd odebrałem. Póki żyć będę, nie zapomnę tej godziny, w której ci to powiedzieć mogę.

— Otóż to mi było najboleśniej— mówił dalej Adwentowicz— żem widział, żeś pan posmutniał, że się możesz zrazić i może nie rozumiesz dla czego ja tak raptownie odmieniłem się. Wczoraj tedy umówiliśmy się z panem Heblem, że

przyjdę do pana i cały ten sekret panu odkryję, abyś nie tracił ochoty i odwagi.

— Dziękuję panu, stokrotnie dziękuję— odpowiedział Ignas.— Ale powiedz mi pan, czy mogę dać poznać majstrowi, że wiem co się święci?

— Możesz pan— rzekł Adwentowicz— tylko tak, żeby dzieci nie słyszały, żeby czasem który z tych chłopaków nie wypaplał przed czeladzią. No, bądź pan zdrów panie Ignacy. Teraz pójdę do kościoła, a jutro znowu do roboty, i jak pan nazwałeś do komedyi. Bo nie gniewaj się na mnie panie Ignacy, ale jeszcze długo będę musiał fukać cię i aspanem nazywać, nim staniesz na nogach i będziesz tyle umiał, co my wszyscy.

— Łaj jak chcesz kochany panie Adwentowicz— odpowiedział Ignas trzymając jego rękę— ale ucz i zadawaj mi najtrudniejsze pensa. Teraz już wiem co znaczy twoja marsowata mina, i co twój aspan wyraża. I wiesz za co ja to mam w sercu mojem?

— No, za co?— zapytał czeladnik.

— Za najpoczeiwszy dowód przyjaźni, za rozum taki, na jakiby się nikt bez tak zacnego serca nie zdobył. Nie raz mię ten aspan gnie-

wał, ale teraz tak brzmi w moich uszach, żebym go za jaśnie wielmożnego nie wymieniał— rzekł Ignasz, i ścisnąwszy jego rękę pożegnał gościa, który wniósł radość do jego serca i pokojem czoła jego wyjaśnił. Uczucia te, jakich doznawał, odmalowały się na jego twarzy przy obiedzie na Święto-Jańskiej ulicy, gdzie w niedziele i święta zawsze jadał. Wesolość jego rozpromieniła lice ślicznej Julki, dawszy jej do myślenia, że ten, którego tak serdecznie pokochała, nie przedsięwziął dla jej miłości rzeczy, któraby siły jego przechodziła i smutne dała mu rozezarowanie. To ją zrobiło równie wesołą i nadzieja wspólnego szczęścia spoiła tém bardziej ich dusze.



V.

DRUGIEGO dnia, po skończonej korepetycyi z dziećmi, wszedł bohater nasz do majstra, który jak zwykle siedział sobie w swoim kantorze, wyciągał swą lampeczkę wina i wypalał fajkę, którą z upodobaniem odlęwał. Skoro go pan Hebel obaczył, zawołał:

— Zamykaj drzwi pan Ignacy! zamykaj.

Co gdy się stało i młody człowiek wszedł ku niemu uspokojony takim przyjęciem, niemiec wyciągnął do niego rękę i śmiać się zaczął tak serdecznie, że aż mu się brzuch trząsał i łzy do ocz nabiegły. Potem ukazując mu miejsce dodał:

— No, usiadaj panie Ignacy, usiadaj. Adwentowicz powiadał mi wszystko, i bardzo byłem

ukontentowany, że się rzeczy tak dobrze udał, i że pan Ignacy z takie męztwo i energija wytrzymałeś ten ciężki frycówka. Teraz już wszystko będzie dobrze, tylko jeszcze ten komedya mojego Werführer nie może tak prędko zupełnie ustawać, żeby się nie zrobiło znowu hałasu w warsztacie i żebyś pan Ignacy miał spokojna głowa. A jutro będziemy pójść do Urzędu starszych, gdzie ja będę pan Ignacy zarekomendował i zapisał do lista terminatorów. Ten umowa między nami, który ja na mocy §§ 21 i 22 nasze Postanowienie, obowiązany składać w Urzędzie starszych, aby jego warunki rozpoznał i zatwierdził, zabieraj pan Ignacy z sobą, przepisuj ładnie na dwa egzemplarze i poprawiaj tam polszczyzna, żeby nie był niemiecki, bo to ja sam skomponowałem, według te warunki, jak pan Ignacy sam chciałeś. A teraz ja kochany pan Ignacy będę uściśkałem, że się nie zrażałeś, i że nie gniewałeś się na moje chłopcy za to, że ja tak musiałem się z pan Ignacy obchodzić, i nie raz jemu przykrości zrobiłem.

I wzruszony niemiec uściśkał bohatera naszego, który zrozumiawszy dobrze całą jego życzli-

wość i dobre chęci, podziękował mu serdecznie, wziął umowę i odszedł spokojny i wesoły.

Urząd starszych, ustanowiony na miejsce dawniejszych cechów, przeciwko którym tyle niesłusznych podnosiło się głosów, zatwierdzony postanowieniem księcia Namiestnika z roku 1816, urządzającym Zgromadzenia rzemieślnicze w Królestwie Polskiem, składa się ze starszego, podstarszego i podskarbiego. Sekretarza a raczej pisarza, naznaczonego od rządu utrzymują majstrowie. Oprócz tego przydany jest komissarz municypalny, który na wszystkich sessyach jest obecnym i ma głos stanowczy. Starszy i podstarszy wybierani są co trzy lata przez całe zgromadzenie majstrów jednego rzemiosła, a w razach ważniejszych zasiadają jeszcze na sessyach delegowani zgromadzenia, to jest kilku z tych, którzy w czasie wyborów najwięcej mieli krósek. Sessye zwyczajne, mające miejsce w mieszkaniu starszego, odbywają się co miesiąc, a sessye wpisowe, to jest takie, w których nowi zapisują się uczniowie, i terminatorowie kończący swój termin wychodzą na czeladników i odbierają tak zwane *Lehrbriefy*, co kwartał.

W owym czasie, o którym mówimy, starszym Zgromadzenia stolarskiego był reputowany i majątny majster Drylius, urodzony i wychowany w Warszawie i mający tu po ojcu zostawiony obszerny i zamożny warsztat. Był to już człowiek stary, z białą głową, rozumny, ale zapominający się, trochę pedant i lubiący perorować do chłopców, którzy się wpisywali i do terminatorów, którzy na czeladników wychodzili. Miał on dwie przemowy z dawna przygotowane, i które zwykle powtarzał. Zasadą ich były prawidła wspomnionego wyżej postanowienia i dziesięć przykazań. Jeżeli był w dobrém usposobieniu i nie miał żadnego kłopotu na głowie, wtedy dodał czasem do swęj przemowy co nowego, stosownie do okoliczności i stosownie do indywiduum, do którego mówił. Ale jeżeli był zakłopotany, miał jaki ważniejszy interes, wtedy prawił malcom zwykle i przygotowane upomnienie, rodzaj wykładu dziesięcioro przykazań, a czasem zapomniawszy się mieszał jedną przemowę z drugą i począwszy upominać uczniów jak należy, kończył oracyą swą tém, co się do czeladnika stosowało i dla niego było skomponowane. Tę sła-

bość długiego i powtarzanego perorowania, i te zabawne czasem jego roztargnienia przebaczali mu chętnie koledzy, szanując jego biegłość w rzemiośle, jego skrupulatność w zachowywaniu przepisów i uczciwość w szafunku składkową summą, która w skrzynce rzemieślniczej, tak nazwanej *Ladzie* zamknięta, znajdowała się w jego domu i pod jego głównym była dozorem. Wybierano go więc już po raz trzeci starszym, i pan Drylius tak już przywykł do téj godności, że w domu swym urządził pokój sesyjonalny, który innego nie miał już przeznaczenia i wyglądał jak biuro. Był więc tam na środku stół duży zieloném suknem nakryty i otoczony krzesłami dla członków posiedzenia. Przy tym jego końcu, gdzie zasiadał starszy, podstarszy i komissarz municypalny, leżała ustawa urządzająca Zgromadzenia rzemieślnicze w paradnej oprawie, i stał krucyfiks, który na zawsze Zgromadzeniu darował, z piękném i bardzo dobrze wyrobioném wyobrażeniem Zbawiciela. Tam także był zbiór Dziennika praw dla poradzenia się w razie wątpliwego przypadku, leżały książeczki przygotowane dla wychodzących czeladników do zapisy-

wania o nich opinii majstrów, u których mieli się zajmować, oraz trzy wielkie księgi. W jednej był spis wszystkich majstrów miasta Warszawy z oznaczeniem tych, którzy mogą i którzy nie mogą wyzwać czeladź; w drugiej spis wszystkich czeladników, z odróżnieniem tutejszych, tych co przywędrowali z zagranicy, i tych, co się obecnie znajdują na wędrowiec; w trzeciej spis wszystkich uczniów, z oznaczeniem roku rozpoczęcia nauki i majstra, u którego każdy terminuje. W tymże pokoju ozdobionym portretem Monarchy i książąt Namiestników królewskich, była z boku szafa, w której się znajdowały akta, umowy z rodzicami lub opiekunami uczniów, jakie się przy wstąpieniu na naukę składają, rysunki geselstików, składane przez terminatorów przed wyzwoleniem, także rysunki lub modele meistersztików, jakie wyrabiają czeladnicy przed wyjściem na majstrów, i lada czyli skrzynka Zgromadzenia, do której klucz ma starszy i podskarbi, a w której oprócz składkowych pieniędzy, mieszczą się jeszcze wszystkie dawniejsze prawa, przywileje, urządzenia, tudzież wszystkie świadectwa uczniów i czeladzi. Przy tej szafie stał stolik sekretarza,

mającego w swém ręku pieczęć Zgromadzenia, na której hybel, węgielnica i cyrkiel, i pieczęć miasta Warszawy, a dalej, w głównym kącie pokoju stała okryta pokrowcem paradna chorągiew majstrów, oprócz téj jaka była złożona w kościele Śgo Jana, a z którą w czasie wielkich festynów i uroczystości występowali. Pod ścianą naprzeciw szafy były krzeselka dla majstrów, rodziców lub opiekunów przyprowadzających do zapisu uczniów, a po obu bokach drzwi, z jednej strony była ławka dla wyzwalających się terminatorów, a z drugiej dla zapisujących się uczniów.

Gdy pan Hebel z bohaterem naszym weszli do sali, już sessya była zaczęta. Starszy, podstarszy, komissarz municypalny, i dwaj majstrowie delegowani siedzieli z powagą na swych miejscach, przed stołem stał terminator otrzymujący wyzwolenie, Lehrbrief i książeczkę, a pan Drylius do niego mówił:

— Na mocy tedy 46 § Postanowienia...

— 49go pan starszy— podszeptnęli podstarszy i komissarz municypalny— 46ty § jest o chorobie ucznia.

— A! prawda. O chorobie ucznia — mówił Drylius zamyśliwszy się trochę. — Otóż na mocy § 49. Postanowienia z roku 1816 ponieważ przez chorobę za wiele utraciłeś czasu, zdaniem jest urzędu starszych, abyś się jeszcze douczył.

— Ależ pan Drylius — rzekł mu nachylając się z uśmiechem komisarz — on był zdrów, odpowiedział wszystkim warunkom § 49go, okazał sztukę czeladniczą i ma list wyzwolenia tylko niech złoży 20 złotych polskich do skrzyni, i z ojcowskim napomnieniem pana starszego niech idzie z Bogiem.

— A prawda, prawda. Trzeba go napomnieć — mówił starzec uśmiechnąwszy się i dopiero zaczął ułożoną przez siebie perorę, gdzie były wy cytowane główne artykuły Postanowienia, gdzie go upominał, żeby *Fercentag* (*) odbył u swego majstra sumiennie, żeby się w żadne biesiady i traktamenta nie wdawał, żeby poniedziałków nie świętkował, żeby po gospodach nie chodził, żeby pieniądze wzięte z góry pilnie odrabiał. Gdy

(*) *Fercentag* (Vierzen-tage) czternaście dni obowiązko wych u majstra, który wyzwala.

przyszło do strony moralnej dającej się nauki, stary trafnie i dotykalnie rozbierał dziesięć przykazań bożych, a szczególnie dziewiąte i dziesiąte, które bronią pożądać żony bliźniego i tego wszystkiego co cudze. Przy końcu dodał.— No, teraz pocałuj znak męki Pańskiej, i gdyś już zapisany w księgę Zgromadzenia i masz swój Lehrbrief opatrzony podpisem i pieczęcią urzędu, idź z Bogiem i pamiętaj, że gdziekolwiek będziesz, czy tu, czy gdzieindziej, żebyś nie zrobił wstydu majstrowi, który cię uczył i urzędowi starszych, który cię wyzwolił. Wędrowka ci się przyda, nawet jesteś do niej obowiązany, pierwsze jednak lata siedź jeszcze tu, i pracuj w naszych warsztatach, abyś nabył doskonałości, z którą będziesz mógł się popisać za granicą.

Te wyrazy *wędrowka* i *za granica* odwiodły jego myśl od rzeczy, o którą szło, tak, iż mu się zdało, że przed nim stoi jakiś wędrowny czeladnik, z których każdy na mocy §§ 68, 69 i t. d. oddziału IIIgo, winien się stawić w Urzędzie starszych. Zaczął go więc wypytywać z kąd i jak dawno przybył, czy ma *Kundschaft*, to jest świadectwo roboty, czy już posyłał szafarza z gospo-

dy, i czy się szykowanie (*) majstra, u którego-
by robił, odbyło.

Gdy się wszyscy usmiechnęli i komisarz ostrzegł go, że to tutejszy wyzwoleniec, a nie przybyły zkaąd inąd robotnik, stary uśmiechnął się także, machnął ręką i rzekł:

— Gdzie moja głowa! Tak to zawsze, kiedy kto ma kłopot w domu. No! idź już z Bogiem kochanku!— dodał obracając się do nowego czeladnika, który pokłonił się z pokorą starszemu, pocałował podany sobie krzyż i odszedł uradowany.

Gdy przyszło do zapisu uczniów, Drylius zwróciwszy się do ławki, na której siedziało ich kilku, a między niemi i nasz bohater, dał im znak, aby wszyscy przystąpili do stołu i złożyli swoje papiery. Co gdy się stało, zaczęto je przeziierać i gdy z kolei dostał się do rąk członków urzędu starszych patent z gimnazyum Lubelskiego, w którym Ignaś z języka łacińskiego i grec-

(*) Szykowanie, od *schicken* (posyłać) znaczy wysłanie szafarza z gospody na wynalezienie majstra, któryby przyjąć chciał wędrownika.

kiego, z literatury rosyjskiej i polskiej, z historii i jeografii, z różnych gałęzi matematyki i z fizyki miał stopnie celujące, wszyscy zaczęli na siebie poglądać, kiwać głowami, i porównywać tak chlubne zdania z postawą dorodnego młodzieńca, który stał skromnie wśród malców, swoich kolegów, drżących ze strachu i niewiedzących jak będą odpowiadać na zapytania.

— Jako? — zapytał komissarz municypalny — pan chcesz terminować i uczyć się rzemiosła, mając taki patent.

— Takie jest moje postanowienie panie komisarzu! — odpowiedział Ignas skłoniwszy się — i nie sędzę, aby mój patent mógł być przeszkodą.

— O! weale nie — rzekł komisarz — tylko ja bym myślał, że przy takiem usposobieniu pan mógłbyś co innego robić.

— Pan Ignacy Zabużski, którego miałem honoru zarekomendować prześwietny Urząd starszych — rzekł przystępując pan Hebel i oddawszy ukłon — już sprobował co innego, i ten jemu się nie spodobał. On wolał nasz kunszt stolarski, odbywał już u mnie czterotygodniowa próba, i

okazywał wielkiego ochota i usposobienie, które jemu przynosi zaszczytu.

— Czy pan masz rodziców?— zapytał komisarz.

— Nie mam ani ojca ani matki— odpowiedział młodzieniec, na którego wszyscy poglądali z największym zajęciem— i zależę tylko od siebie. Zresztą mam dwadzieścia jeden lat.

— Jeżeli tak, to nie ma o czém mówić— rzekł komisarz— a umowa panie Hebel?

Hebel podał umowę, komisarz czytał, uśmiechając się, i oddawszy ją innym członkom Urzędu, dodał:

— To pan pisałś?

— Ja, panie komisarzu.

— Widać— mówił komisarz— że pan niedawno hyblem pracujesz. Później nie będziesz pan tak ładnie pisał.

— Ale będzie zrobić prześliczny stół, na który skrybenty siedzą zgarbiony i ładnie piszą, żeby zarobić dziesiąta część to, co zarobił hybel— odpowiedział dotknięty cokolwiek stolarz.

— Nie ubliżam rzemiosłu, panie Hebel— rzekł komisarz głośniej— niech pan będzie spokojny. Proszę usiąść i zaczekać chwilkę. Pan Zabuzski

będzie zapisany, i umowa, choć nie zwykła, ponieważ wyraża zgodę obu stron, a nie przeciwi się przepisom, będzie przyjęta. Wprawdzie naznaczyłeś pan tylko dwa lata nauki.

— Ja na moc 47 §. nasze Postanowienie naznaczyłem taki termin— opowiedział Hebel.

— I przez wzgląd na usposobienie ucznia i świadectwo takiego sumiennego majstra jak pan Hebel — odezwał się Drylius — Urząd starszych przyjmuje ten skrócony termin. Czy panowie zgadzają się?

— Z tym warunkiem—rzekł jeden z delegowanych—że pan Hebel, którego świadectwo w zwyyczajnym razie byłoby dostateczne, pozwoli na to, aby rysunek geselztiku był zrobiony w Urzędzie, a sama sztuka żeby była wykonana pod dozorem jednego z delegowanych, gdy przyjdzie do wyzwolenia.

— Ja na ten warunek z całego serca się zgodziłem—rzekł Hebel.

— Tak więc rzecz skończona -- mówił Starszy, ożywiony tą dosyć niezwykłą sceną, i pozbywszy się swego roztargnienia, kiwnął głową młodemu człowiekowi, który się uklonił z wdzięcznością,

gdyż termin tak krótki był wyjątkiem i łaską, jakiej mało kto doznaje.

Gdy wszyscy uczniowie zostali zapisani i opłaty do skrzynki rzemieślniczej po zł. pol. sześć od każdego złożone, starszy Zgromadzenia odchrząknawszy, zaczął z uśmiechem perorę, którą już zapewne kilkanaście razy wygłaszał:

— No! chłopaki! wiecie, co się stało? Nie wiecie. Więc ja wam powiem. Oto z malców do niczego, strzelających bąki i zjadających darmo kaszę z mlékem, staliście się uczniami uczciwego rzemiosła, które wam da chleb i wykieruje was na ludzi. Jak wyrośnięcie, jak wam Pan Bóg dopomocze, to takich jak wy trutniów i swywolników będziecie sami uczyć rozumu i ciągnąć za uszy do pracy i obyczajów; w czasie wielkich uroczystości stawać będziecie rzędem ze świecami przed wielkim ołtarzem; w czasie pięknych i świętych processyj otaczać będziecie baldachim i iść tuż przy księdzu za swoją chorągwią; a jak szanowne Zgromadzenie członków kunsztu stolarskiego was wybierze, będziecie tu zasiadać w Urzędzie starszych, przyjmować do terminu takie baranie głowy, jakie wy dziś macie, aby z nich

zrobiły się głowy ludzkie, mające rozum i umiejące swój kunszt; będziecie wydawać czeladzi Lehrbriefy, i książki, będziecie sami rozpatrywać majstersztiki, i biegłego czeladnika, jeśli się wam zdawać będzie, wykierujecie na majstra, a jeżeli nie, każecie mu jeszcze uczyć się dalej. A prawda, że to będzie bardzo ładnie i trzeba starać się, żeby Pan Bóg dopomógł, żeby tak wszystko było?

— Prawda pan starszy!—odpowiedzieli malce cienkim głosem. A Hebel, który już tę przemowę kilka razy słyszał, szepnął majstrowi, który obok niego siedział:

— Ten gawęda zabierał niepotrzebnie czas, a do mój uczeń, co ja go tu przedstawiłem, był taki stosowny, jak pięść do nosa.

Drylius poprawiwszy się mówił dalej:

— A wiecie jakim sposobem do tego wszystkiego dojść, co tu powiedziałem? Nie wiecie. No, to ja was nauczę. Oto cały sekret w tém, że trzeba umieć dziesięć przykazań bożych, codzien je pobożnie odmawiać, i dobrze rozumieć, co każde przykazanie znaczy. Umiecie wy dziesięcioro?

— Umiemy panie starszy—odpowiedzieli malce śmielej.

— Umięcie za panią matką pacierz — mówił Drylius.—Umięcie wypaplać piąte przez dziesiąte, jak szpaki, których nauczyli mówić: Dzień dobry panie majster! a które nie wiedzą co mówią, bo głupie i nie mają rozumu, tak jak i wy, choć macie rozum, ale jeszcze głupi i taki, że się zdał tylko na swywołę i psoty. Ale czy rozumiecie wy dziesięcioro? Nie rozumiecie. Otóż ja wam je wytłómaczę. Cóż to znaczy, co powiedziano na początku, przed pierwszym przykazaniem: Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z domu niewoli. Wićcież wy, co to jest dom niewoli? prawda że nie wićcie? Słuchajcież, to ja wam powiem. Dom niewoli jest wtedy, kiedy się jeść chce, a nie ma za co kupić nawet obwarzanka; kiedy palce z bótów powyłażą, a nie ma za co je załatać; kiedy na grzbiecie dziurawa i brudna koszula, i ciało świeci przez kapotę jak przez rzeszoto, a tu choć płacz nie ma zkład ani na koszulę, ani na całą kurtkę. Otóż dom niewoli jest to głód i nędza, które krępują zawsze człowieka, kiedy nie umie i kiedy mu się nie chce robić.

Jak się nauczycie kunsztu stolarskiego, będziecie pracowitemi i wiernymi swemu rzemiosłu, to was Pan Bóg z domu niewoli wyprowadzi, bo będziecie mieli co dzień sztukamięszę z kwiatkiem i kufelek dobrego piwa; będziecie mieli ładne granatowe surduty na niedzielę i święto, wyszuwakowane i błyszczące bóty, będziecie mieli porządną izbę, gdzie będą stoły, krzesła i kanapy, a jak któremu się poszczęści i nie przestanie pracować od rana do nocy, niezważając czy to poniedziałek, to będziecie mieli i kamienicę własną i wtenczas wszysey się wam będą kłaniać. Jeżeli zaś będziecie próżniaki i hultaje, to was wypędzą z rzemiosła i znowu wpadniecie w biędę, która już was ćwiczyć i krępować nie przestanie, i tak zostanieie na zawsze w domu niewoli, z której Pan Bóg nie wyprowadza tych, co sami z niej wyjść nie chcą.

Gdy komisarz znudzony ziewał, a Hebel kręcił się jak na szpilkach, poglądając na swojego ucznia, i dziwiąc się, że z taką słucho uwagą, Drylius odchrząknawszy, objaśniał dalej następne przykazania. Przy trzecim wytłómaczył im jak należy dzień święty święcić i ztąd znowu była

rzecz o poniedziałku; przy czwartém, nauczył kto w warsztacie zajmuje miejsce rodziców, i dla czego trzeba służyć majstra, majstrowę i starszego czeladnika; piąte i szóste opuściwszy, mówił obszerniej o siódmém i ósmém przytaczając rozmaite wypadki, tentujące do przywłaszczenia sobie cudzej własności, do świadczenia fałszywie i zrzucania własnej winy na innych. Wykładał chłopcom, którzy go pilnie słuchali, że jak się nie oduczają kłamać, co każdy z nich umie, i za grzech nie uważa, to będą kraść i majstra, i fałszywie świadczyć przeciw czeladzi i oskarżać niesprawiedliwie towarzyszków, że za to wszystko znowu zostaną wzgardzeni, znienawidzeni, wypędzeni z warsztatu i z rzemiosła, i znowu padną do domu niewoli, z którego już ich Pan Bóg nie wyprowadzi. Wszystkie te objaśnienia były proste, namacalnie wystawione, przykładami poparte, tak, że się mogły na zawsze wbić w pamięć malców. A choć nudziły obecnych członków urzędu, jako rzeczy dla nich nie nowe, i niecierpliwiły Hebla, który sądził, że uczeń jego, o którego rozumie wielkie miał pojęcie, zbyt liचे o nich powéźmie wyobrażenie, Ignaś jednak

słuchał z natężoném zajęciem, i całą trudność i trafność takiego wykładu lepiej pojmując, niż jego majster, dla starego Dryliusza, którego okazała postawa, biała głowa i twarz pełna wyrazu miała coś znaczącego, szczerym przejął się szacunkiem.

Gdy sam postrzegł, że wszystkich znudził i sam się już zmęczył, obrócił się do komisarza i zapytał go naiwnie.

— A co panie komisarzu, może już będzie tego dosyć.

— Oj! będzie, będzie panie starszy— odpowiedział urzędnik powstając i wyciągając się nieznanie.— Mam jeszcze jedną czynność, na którą muszę pośpieszać.

— Zaraz więc skończymy— rzekł stary, i obracając się do maleców, zapytał.— Cóż, zrozumieliście, co ja wam tu mówiłem?

— Zrozumieliśmy, proszę pana starszego— odpowiedzieli malce chórem.

— A o czém że ja mówiłem? ty powiedz— mówił dalej ukazując na jednego czarnookiego chłopaka, z zarosłym gęsto łbem i z dołkami na czerwonych policzkach.

— O domu niewoli, proszę pana starszego—
odpowiedział mały.

— A cóż to jest dom niewoli? — pytał stary
uśmiechając się.

— Kiedy palce z bótów wyłażą i łokcie z ko-
szuli i kiedy się jeść bardzo chce, a nie ma za
co kupić obarzanka—odpowiedział chłopak.

— A kiedyż to człowiek wychodzi z domu
niewoli? — pytał Drylius.

— Kiedy ma codziennie sztukę mięsa z kwiatkiem,
kufelek piwa, i potem własną kamienicę—mówił
chłopak.

— A któż to daje człowiekowi to wszystko?

— Pan Bóg, który go wyprowadza z domu nie-
woli.

— A jakiegoż Pan Bóg wyprowadza z domu
niewoli—spytał stary.

— Takiego, co sam chce z niej wyjść, pracuje
od rana do nocy, choćby w poniedziałek, szanu-
je i słucha starszych, nigdy nie kłamie, jak co
złego zrobi, to się przyzna i nie zwala na dru-
gich, a jak go po co posyłają, a wyda dziesięć
groszy, to nie mówi, że wydał piętnaście.

— No dobrze — rzekł stary ucieszony—chodźcie

tu teraz, przezegnaj się, pocałuj Zbawiciela, i prosz go co dzień, żeby ci dopomógł, a będziesz miał kamienicę.

Malec przezegnał się, pocałował krzyż, potem rękę starego, który go pogłaskał. To samo zrobili inni malee; Ignas na końcu przystąpił także, i z szczerem uczuciem pokory westchnawszy do Boga, żeby mu pomógł i utrzymywał jego wytrwalosc, przyložyl usta do nog Chrystusa, uklonil się wszystkim obecnym, którzy nań ze współczuciem spojrzeli, i przystąpił do pana Hebla, którego rękę uściskał i serdecznie mu za przymowienie się dziękował. Tak się skończyła sessya w Urzędzie starszych.

Odtąd Ignas, zostawszy juz aktualnym terminatorem i przełamawszy pierwsze lody, szedł szybkim krokiem do celu i poznawal się z tajemnicami rzemiosla, które szczerze polubil. Adventowicz nie zmienil się względem niego ani na włos, póki byli w warsztacie. Obarczal go trudnemi robotami, nie dawal mu odpoczynku i nie raz jeszcze sfukal; co wszystko obudzało podziwienie czeladzi, przypatrującej się z szacunkiem mlodemu czlowiekowi, którego pojetynosć i

tak łatwe wykonanie rzeczy trudnych, i które oni ledwie po trzech i czterech latach pojęli i wyrobiali, uderzyły ich i napełniały życzliwością. Przy obiedzie u majstra, który bohatera naszego bardzo pokochał, a także w takich miejscach, gdzie nikt na nich nie patrzył, okazywał mu Adwentowicz wielką przychylność, uprzedzał go, jaką mu da robotę, uczył go teoretycznie, jak ma sobie postąpić, jakiego materiału i jakich narzędzi do najlepszego wykonania jej użyć. Rozłączali się wówczas zawsze z przyjacielskiem ściśnięciem ręki, i Ignas nie mógł się wydziwić charakterowi tego prostego człowieka, którego rozsadek był tak zdrowy, powaga w warsztacie tak wielka, i który zawdzięczając ucziwemu Niemcowi jego ufność i dobre z nim obchodzenie się, chociaż był jednym z najpierwszych rzemieślników, nie myślał weale o wyjściu na swój chleb i odstąpieniu pryncypała, do którego się przywiązał i którego warsztat podniósł w znaczeniu i reputacji.

Gdy się Ignas przekonał, że zostanie już w zawodzie, który obrał, poszedł do hrabiego Adama, opowiedział mu wszystko, dał mu poznać przez jakie przeszedł trudności i jak je przezwyciężył,

podziękował mu oraz za rozmowę, jaką go zaszczycił w czasie podróży, dodając, że te rady i uwagi, których nigdy nie zapomni, stanoweżo na jego decyzją wpłynęły. Hrabia, wnuk i prawnuk hełmanów i wojewodów, podał rękę terminatorowi stolarskiemu i życzył mu wytrwałości na tej drodze, którą wykształcenie ułatwi i podniesie, a która go prędzej niż inna doprowadzi do celu, jaki sobie zamierzył.

— A umiesz pan rysować — zapytał go hrabia.

— W rysunkach graficznych i technicznych mam dosyć wprawy — odpowiedział młody człowiek, niewiedzący, do czego dąży to zapytanie.

Wtedy hrabia wyjął z szafy parę dzieł poświęconych rzemiosłom a między temi: Zbiór mebli gotyckich, Renaissance i Rococo, z pięknymi rysunkami z natury; Ogólny dziennik dla stolarzy i rzeźbiarzy; Paulin Desormeaux; *Art du menuisier* i t. p. i ukazując mu tam rysunki i wzory różnych mebli i wszelkich przedmiotów z kunsztem stolarskim mających związek, dodał:

— Przejrzyj pan to sobie, a jak będziesz miał czas w niedzielę lub święto, przychodź tu do mnie na parę godzin. Każę ci przyrzadzić stolik, i

wszystko co ci potrzebnem będzie do przerysowania modeli, jakie ci się podobają. To ci się pewnie przyda, ukształci twój gust, wprawi oko do pojmowania ładnych form, i zjedna ci szacunek majstra, jak postrzeże, że nie tylko z twojej ręki, ale i zgłowy będzie mógł korzystać.

Ignas podziękował serdecznie rozumnemu protektorowi swemu, i zaraz na przyszłą niedzielę siedział w pokoju poprzedzającym gabinet hrabiego, gdzie zastał już stolik przy oknie, a na nim wspomniane wyżej dzieła, ładny papier rysunkowy, wyborne ołówki, pędzel, tusz, grafiony, cyrkle i t. d.

Od hrabiego udał się bohater nasz do owego bogacza, którego złoto nie olśniło go wcale, ale którego serce i to że pamiętał zrobione mu dobrodziejstwo, wymogło na nim szacunek. Z danych sobie dziesięciu półimperyalów wyexpensował dotąd Ignas dwa. Dziś, pozostałych już nie potrzebował, miał bowiem stół i stancyą, a od majstra, wdzięcznego za bardzo znaczny postęp dzieci i za pochwałę, jaką od inspektora szkoły otrzymali, miał sobie jeszcze nad umowę naznaczonych trzy ruble miesięcznie, co mu na bóty i

inne drobne potrzeby wystarczało. Odniósł więc panu Olkuskiemu ośm półimperyałów, prosząc go, aby pozwolił, że dwa wydane później odniesie. Bankier rozwalony w aksamitnym szlafroku i z dwuzłotowym cygarem w gębie, uśmiechnął się, położył złoto na stole i rzekł:

— To już u mnie w takie expensy porachowane, która mnie przynosiła na miejsce tych dziesięć półimperyały sto razy tyle. Bo widzisz pan Zabużski, ten stary człowiek — dodał ukazując na portret — tak mnie nauczył. Jak ja jemu przyniosłem tych sto tysięcy, których on mnie pożyczył, i powiedziałem jemu, że ja już mam trzykroć, to on mi mówił: Teraz ja już tobie pieniędzy nie dam, ale jeszcze dam ci tę naukę. Pamiętaj, kiedy już jesteś bogaty i jeszcze będziesz bogatszy, że jak co komu dasz, który bardzo potrzebuje, to ci zaraz Pan Bóg da taki interes, który ci przynosić będzie sto razy tyle, ile dasz. Ja już przekonałem się, że to zawsze prawda, co ten poczciwy człowiek powiedział. I tak się i wtedy stało. Jak pan Zabużski poszedłeś, i rozgniewałeś się na Geldsona, może niesprawiedliwie, bo co on temu winien, że

on lubi ładne kobiety, a ładne kobieta lubi jego brylanty i jego dukaty, to wtenczas zaraz Geldson zaproponował mi takie spekulacye, która mnie już dotąd przynosiła pięć tysięcy rubli srebrnych czysty zysk, co jest właśnie sto razy tyle, jak to, co ja panu Zabużskiemu dałem, kiedyś pan bardzo potrzebował. Dla tego ja tych pieniędzy za swoje uważać nie mogę, i dawać ich także komu inszemu nie mogę, bo oni znowu by mi przynosili sto razy tyle, i to byłoby już za wiele; gdyż ten stary powiedział, że powinni przynosić nie dwieście, ale sto, a jego słowo jest dla mnie święte. Kiedy ich pan Zabużski teraz nie potrzebujesz, to dobrze; niech oni leżą u mnie w depozyt. A jak się co wydarzy, że będzie bardzo potrzeba, a nie będzie inszy dochód, to proszę do mnie przychodzić i wziąć z nich tyle, ile się spodoba.

Ignasia zabawiło to żydowskie wyrozumowanie powodów dobroczynności, ujęła go wszakże ta wiara w słowo i naukę człowieka, który zawsze był wyrocznią dla milionera, jak niegdyś był dobroczyńcą dla ubogiego żydka. Podziękował mu więc z uśmiechem, zgodził się z jego wolą i od-

szedł spokojniejszy, że ciężar ten złożył z głowy i miał nadzieję, że z tej gotowości bankiera i jego łaski, która mu już tak ogromny przyniosła procent, korzystać nie będzie.

Gdy się tak wszystko dobrze złożyło, i dzień za dniem schodził w pracy, w postępie widocznym równie w kunszcie, którego się uczył, jak i w życzliwości kolegów, którzy się z nim oswoili, i za równego już sobie uważać go zaczęli; gdy czasem wieczorem, a każdej niedzieli w czasie obiadu, wejrzenie pełne miłości i ściśnienie ręki przyszłej majstrowej utrzymywało jego odwagę, krzepiło jego wytrwałość i słodkimi upajało go nadziejami, dwie rzeczy trapiły go niezmiernie i czoło jego pokrywały nieraz chmurą troski i zamyślenia. Pierwszą była ta, że nie śmiał, bał się a może i wstydział się donieść Eugeniuszowi, jaki zawód wybrał: a druga, że zbliżał się czas przybycia kasztelana z rodziną do Warszawy, i Ignas lękał się, nie tak wzgardy samej kasztelanowej, gdyż tego był aż nadto pewnym, ale oziębienia współzucia kasztelana, którego pokochał, a szczególnież zrobienia przykrości jego córce, dla której miał cześć wysoką, i którą bał się utracić, gdy-

by się przekonał, że kobieta taka, jak panna Jąd-wiga, nie jest przecie wyższą nad zwyczajny przesąd i ceni nie człowieka, jego serce i głowę, ale tę ramkę w którą go położenie jego na świecie oprawia.

Przy końcu października miał Ignas od Eugeni-usza z Paryża list następujący:

»Paryż dnia 20 października 1841 roku. Ko-chany Ignasiu! Dawno i bardzo dawno do ciebie nie pisałem. Przenoszenie się z miejsca na miej-sce, tułanie się po hotelach, zwiedzanie rzeczy ciekawych, lub za takie uchodzących, zabieranie znajomości na dzień, często na kilka godzin z ta-kimi ludźmi, z którymi się już nigdy w życiu nie spotkam, wszystko to tak zajmuje czas, tak fa-tyguje, że zaledwie zostaje sił i głowy do robie-nia notatek, które są konieczne i które jak się łatwo domyślasz, uważam za święty obowiązek. Donieść ci, że jestem tu lub owdzie, że się mam tak lub owak, że widziałem lody na górach Szwaj-caryi, beczkę w Heidelbergu, ruiny na Renie, koronkę kamienną na katedrze Kolońskiej, niewar-to. Bo cóż ci przyjdzie z takiej wzmianki, kie-dy nie można wymalować ci tego, co mię uderza,

i wyrazić tego wszystkiego, co myślę i czuję, patrząc na cudze i trwałe dzieła ręki bożej, i na przemijające roboty ludzkiej, noszące na sobie piętno próżności lub niemocy, wyrażające myśl pobożną lub grzeszną, ludzką lub barbarzyńską.

»Teraz przybywszy od miesiąca do Paryża, osiedliśmy tu na całą zimę, mamy każdy swój pokój, swój stolik, jesteśmy w domu i nic nas nie pędzi dalej i do żadnego kroku nie nagli. A choć mnóstwo jest rzeczy do widzenia, do poznania, do nauczania się, do pokochania i znienawidzenia, mamy jednak czas, tak że można się zebrać duchem i posiedzieć ile się podoba.

»List twój ostatni, kochany Ignasiu! który tu na poczekie znalazłem, ucieszył mię bardzo. Widzę z niego, że jesteś na dobrej drodze, że masz nadzieję za lat parę mieć tyle, że się przyzwolicie utrzymać zdołasz. Winszuję ci bardzo, bo słyszałem nieraz jak to trudno po biórach naszych dojść tak prędko do tak stanowczego rezultatu. Ale czemu pismo twoje jest coraz gorszem i litery straciły na föremności, a ręka widać nie tak lekko biegnie po papierze, jak dawniej. Mnie się zdaje, że pisząc tak wiele w biórze, powinienes

pisać coraz lepiej, a nie psuć sobie tego pięknego charakteru, który był zawsze dla mnie jednym z przymiotów, jakich ci zazdrościłem. A twój list ostatni wygląda tak, jak gdybyś cały dzień rąbał drzewo, lub strugał deski hyblem. Donieś mi, czy nie jaki kłopot, jakie zmartwienie wzburzyło cię w tej chwili, kiedyś do mnie pisał, i było przyczyną, że ci się ręka trzęsła. Nie o kalliografią mi idzie, ale o twój pokój, kochany Ignasiu!

»Zapytujesz mię, co się dzieje z moją głową i mojem sercem. Jakże ci na to odpowiem? Od dawna wzięły one kierunek stały i pewny, i nie już zbić ich niezdola z tej drogi, która może podnosi się coraz, coraz się rozszerza, ale się nie rozczepia na ścieżki i manowce, i nie skrzywia się tak, aby moje myśli lub uczucia zasły w jakąś obcą im dziedzinę, choćby była więcej ziemską, widniejszą i użyteczniejszą dalszemu życiu w praktycznym i materyalnym znaczeniu. Marzę więc po dawnemu. Wszystko co ma piękną formę, wzniosłego wyrażającą ducha, zajmuje mię, pociąga do siebie potężnym powabem; wszystko, co mi mówi o Bogu o nieskończoności, budzi wszystkie siły mojej głowy do działania i unosi

mię nad ziemię; wszystko, co ma bliźniętę granice i drobne, ziemskie cele, jest dla mnie rzeczą obojętną, nie zastanawia mojej uwagi, nie zdoła skłonić mojej głowy do myślenia, do rozbioru, nawet do pilniejszego przypatrzenia się. Osądź więc z tego jak mi jest w Paryżu po Rzymie, we Francji po Włoszech. Serce moje także zachowało dawniejszą swą czystość i wszystkie dawne przedmioty swojej miłości. Przed tobą mogę się tem pochwalić, bo pewny jestem, że ty, na którego duszę żadna bezwątowania nie padła skaza, prędzej mnie, niż kto inny pojdziesz, i łatwiej temu wyznaniu uwierzysz. Obecnie mi więc jest dotąd samolubstwo, próżność głupia i pyszna, łakomstwo i zamiłowanie tego kruszcu, który wszystkie te poniżające naturę ludzką namiętności zaspokajają. Nie skalałem się dotąd żadną brudną skłonnością, i mimo liczne pokusy, jakie mi się nastroczały, odsuwałem je wszystkie, aby za ciałem nie poszło i serce. I czy myślisz że sobie, swojej sile, swojej enocie lub rozumowi przypisuję ten tryumf, którego wysokie poczucie i uznanie go w sobie podnosi mnie we własnych oczach? O! weale nie. Kocham wszystko dobre,

szlachetne, czyste i wzniosłe, bo wszystko dobre, szlachetne, czyste, wzniosłe i święte przedstawia mi się w jej postaci, bo to jest ona z duszą i ciałem, ona która strzeże mojego serca i nad każdą myślą moją czuwa. Jak ta pamiątka, którąś mi przysłał, leży dotąd na mojej piersi, i póki nie zetrze się to złoto którym okruszyłem tę świętego chleba objałem, kierować będzie każdym serca mego uderzeniem, tak jej obraz, okolony promienistą aureolą, jaką go dusza moja obwiodła, kieruje i kierować będzie każdą moją myślą, każdym jej celem i dążeniem. Nie dziwisz się więc, że się tak pięknie przed tobą odmalowałem i wierzysz, że takim jestem w istocie, boś ją poznał, bo ze słów twoich widzę, żeś ją odgadł, bo to nie jest bożyszcze, którym ja sam z cudnych tęcz swojej fantazyi urobił, ale istota żywa, czująca, myśląca i kochająca, którą Bóg zesłał na ziemię na to, aby się ludzie przekonali, że są wyższe istoty na niebie.

»Życie paryzkie niepodoba mi się wcale. Teraz wracam z teatru od bramy Świętego Marcina, gdzie długi jakiś i pełen najdziwaczniejszych efektów dramat, ścisk wielki i światło gazowe dały

mi ból głowy. Wszedłem więc przed końcem i chodziłem jeszcze do północy po Bulwarach, które są ulubioną przechadzką Paryżanów, i moją, i każdego, kto się znajdzie w tym tłumie pełnym elegancyi, i spójrzy na tę ulicę, jedyną na całym świecie. Wyobraź sobie przestrzeń, którą zaledwie w trzech godzinach przejść można w całej jej długości, począwszy od kościoła Magdaleny do placu Bastylli, szeroką tak, jak nasze Krakowskie Przedmieście przed Wizytkami, zabudowaną po obu stronach przez ogromne pięcio i sześciopiętrowe domy ozdobnej architektury, mającą środkiem szosę, na której tysiące krąży powozów, a po obu stronach obszerne, równe, czyste trotuary, na których w każdej porze dnia aż do północy krąży, przechadza się, siedzi, rozmawia lub się gapi kilkanaście a czasem i kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Na tej to ulicy znajdują się długim i nieprzeliczonym rzędem najpyszniejsze magazyny, wystawiające za ogromnemi i kosztownemi szklami wszystkie wyroby przemysłu i sztuki, ułożone z niezmiernym gustem, nęcące oko ślicznym doborem kolorów, blaskiem jedwabów, połyskiem srebra i złota, iskrami brylantów i innych drogich

kamieni, białością marmurów w biustach i posągach, świeżością farb w obrazach olejnych, doskonałością rylca lub ołówka w sztychach i litografjach. Z wieczora do późnej nocy oświecone są te magazyny gazem tak jasno, tak obficie rozlewającym blask swój wewnątrz na wszystkie ich zakątki i zewnątrz na trotuary, że jest widno, jak w dzień, że cały ten widok przybiera jakąś dziwną, czarodziejską barwę, która przy tłumie widzów, przy wesołości wszystkich, przy szczebiotaniu i śmiechach zgrabnych i zwinnych francuzek, i ogólnej wrzawie tej pięknej i wyrazistej mowy, ma w sobie coś zachwycającego. Nie można się dziwić, że nasze panie, które ze wszystkich rozumnych stworzeń są najbardziej kupującymi istotami, tak lubią Paryż, a szczególnie Bulwary, *rue Richelieu i Vivienne, Chaussée d'Antin, rue de la Paix* i inne, celujące zbiorem towarów i wabiące do siebie ich oko i serce tak cudną wystawą i kolosalnym napisem, który tyle uciechy obiecuje. Ja sam mógłbym już złożyć kilka dni z tych godzin, którem przegapił na bulwarach, w Palais Royal i różnych passażach, gdzie wszędzie jest tyle rzeczy do widzenia, gdzie

wszystko kusi, bawi, zajmuje, i tak miło, a razem tak nieużytecznie wykrada z życia godziny i rzuca rdzę na myśl, która przez cały czas tych próżniackich wędrówek, mających w Paryżu swój techniczny wyraz: *flânerie*, leży bezezynnie i pozor swój traci.

»Do miejsc wykradających czas i niepospolitych ozdób bulwarów należą także sławne paryzkie kawiarnie. Nic podobnego nie ma w żadnym mieście europejskiem. W domach, leżących na rogu celniejszych ulic, które na bulwary wychodzą, obaczysz na dole dwie lub trzy sale wyłoczone, ozdobione marmurami, pełne bronzów, obrazów i wszelkiego rodzaju ozdób, jakie tylko przepych dla zabawy oka i ściągnięcia ciekawych wymyślić może. Wszystko to widać z ulicy przez ogromne, całkowite szyby, które niemal stanowią zewnętrzne ściany, zastępują drzwi i okna, a w wieczór przenosząc z tych salonów, oświetlonych kilkudziesięciu gazowemi świecznikami jasność dnia na ulicę, dają im pozór owych kryształowych pałaców, o jakich czytaliśmy w bajkach, które nas tak w dzieciństwie zajmowały. Wszystkie te przybytki zbytku i próżniactwa, pełne są ludzi w pe-

wnych godzinach dnia, a wieczorem zawsze. Kiedy ciepło i pogoda, przed każdą kawiarnią stoi rząd krzesełek i małych stolików, i wówczas oprócz gości zapelniających sale, obaczysz liczne grupy, siedzące na ulicy, pożywające chłodniki, czytające gazety, rozprawiające z sobą, a najczęściej przy szklance wody z cukrem, gapiące się na przechodniów. I jest wówczas co widzieć, można się zapomnieć, patrząc na te processye ludzi, przeciągające nieustannie i przesuwające się jak fale rzeki, której wody uchodzą bez końca a wyczerpnąć się nie mogą.”

A jednak Francuzi są niezmiernie pracowici. Każda godzina dnia ma u nich swoje przeznaczenie. Chwile oddane zatrudnieniu przechodzą im na pracy rzeczywistej, pilnej, szybkiej i umiętej. Ztąd tak ogromne jej rezultaty w każdej gałęzi nauk, w sztukach i przemyśle. Ale gdy się zajęcie kończy, gdy się warsztat zamyka, gdy zużycie i zmrok odpędza artystę od jego stołu lub sztalugi, wtedy każdy Francuz musi się przejść, musi użyć Paryża, musi obaczyć bulwary, usiąść na chwilę przed główną kawiarnią, posilić się w jednej z kilkudziesięciu restauracyj, znajdujących

ych się na tej celnej ulicy, i potem zabawić się w jednym z teatrów, których także na bulwarach jest kilkanaście. Ztąd ów nacisk ludzi w tém miejscu, mogącym dać chwilowe zapomnienie wszelkiego znużenia, wszelkiego kłopotu, wszelkiej troski domowej. Gdy do tego dodasz tysiące cudzoziemców, któremi Paryż przepelniony, którzy nie mają żadnego zajęcia, ale po to tylko przybyli, aby chodzić, patrzeć i używać, łatwo sobie wytłómaczysz, zkad przy rzeczywistej pracowitości tego ludu, takie massy próżnujące, które, jakby nie ceniły czasu, marnują niby ten skarb, na którego wartości zdają się nie znać wcale. Do tego przydać należy jeszcze i tę okoliczność, że nie tylko biura ministeryów i wszelkich władz, akademije, galerye i inne zbiory, kolegija, szkoły, biblioteki, magazyny, redakcye pism i drukarnie, ale nawet warsztaty rzemieślników i pracownie wszelkiego gatunku sztuki i przemysłu, słowem wszystkie te miejsca, gdzie się działalność tego ludu rozwija, są oddzielnie, są zawsze za domem. Dom dla Francuzów jest tylko miejscem chwilowego schronienia, gdzie śpią i ubierają się, gdzie się widują z żoną i kiedy niekiedy spotykają się

z dziećmi. Całe życie schodzi im gdzie indziej, gdzie indziej praca, gdzie indziej posiłek i rozrywka. Z tego to powodu Paryż tak pełen ruchu, tak pełen ludzi, którzy zdają się mieszkać na ulicy, w kawiarni, w traktyerze lub w teatrze; ztąd mieszkania zamożniejszych nawet paryżanów są tak szczupłe, tak źle opatrzone, tak mało wyobrażające to ognisko domowe, które dla każdego uczciwego człowieka w innym kraju jest przytułkiem skołatanej głowy, jest celem do którego dążą jego myśli, jest, że tak powiem, świątynią, w której jedynie szuka pozwolonej uciechy, rodzinnych rozkoszy i trwałego pokoju. Nie znam jeszcze domowego życia tutejszych magnatów, zdaje mi się jednak, że i tam musi być toż samo, że ten prąd ogólny, który wszystkich wyrывa ze ścian domowych i wyrzeka na ulicę, nie omija i świetnych hotelów, na pozór zamkniętych i zamurowanych, ale wewnątrz zapewne pustych, lub zaludniających się tylko wtedy, kiedy zaproszenie i uczta napełnia salon. Tam bowiem nie gabinet pana, nie pokoje pani, jako gospodyni domu, jako matki czuwającej nad wychowaniem dzieci, które od pieluch wychowują się i rosną za jej oczami,

wyobraża dom, ale salon, który ma swoją barwę, lub polityczną, lub literacką, lub artystyczną, lub jest zbiegowiskiem piękności oddanych modzie, gdzie sama gospodyni daje ton i roztacza swe wdzięki; lub wreszcie jest miejscem intryg, gdzie rozmaite partye i odcienia w ożywionej, rozumnej i dowcipnej konwersacyi drwią jedne z drugich, lub wzajemne na siebie zastawiają sidła. Cały ten tryb życia przyczynia się zapewne do tego, że jak ludzie, tak i myśli krążą tu i snują się po ulicach, że oświecenie się w kwestyach bieżących, które zajmują wszystkie głowy, jest łatwiejsze i prędzsze, niż gdzie indziej; że dosyć jest wyjść, powąłęsać się z kąta w kąt, nastawić uszy i wytrzeszczyć oczy, aby się dowiedzieć za kilka godzin tyle, ilebyś się gdzie indziej za kilka dni i tygodni nie dowiedział; mnie to jednak razi niekończonem, odurza mię i nie daje mi przyłgnąć ani do tego życia, ani do ludu, który je prowadzi. Jam przywykł do cichszej drogi, do spokojniejszego zastanawiania się, do samotniejszych dumań, do czego wszystkiego tu nie ma ani czasu, ani miejsca. Łatwo więc wniesiesz, że mi żal Rzymu, że tutejszy ruch i to oddanie się wszyst-

kich obecnej chwili, nie może mi zastąpić poważnej ciszy dawniej stolicy świata; że, cały ten blask dzisiejszej działalności i świetne owe cuda przemysłu nie mają dla mnie tyle powabu, ile tam miały zakurzone i połamane złomy kamieni, które unosiły myśli moje do upłynionych wieków, i otaczały mię nieskończonym szeregiem wielkich wspomnień, wielkich klęsk i tryumfów, które wszystkie przebrzmiały, a został tylko palec boży piszący na ruinie przeznaczenie potężnych i małych. Tu o przeszłości nikt nie myśli; a chociaż Paryż jest miastem starożytnem, pełnem dawnych pomników, nie budzą one jednak w nikim zajęcia i nie odnoszą imaginacyi do upłynionych czasów. Gród ten potężny jest przedewszystkiem stolicą obecnej chwili. Wszystko co się dziś poczyna, tu się poczyna, tu się rozwija i ztąd się rozechodzi na wszystkie strony świata. Każdy wynalazek ma tu lub źródło, lub uznanie i zastosowanie do życia; każda sztuka dochodzi tu do swęj najwyższości, każda nauka do właściwego jęj rozwoju i użytku; słowem, każda myśl zbawienna lub zgubna, która się ma odbić w sercu ludzkości lub wdzięczuém uznaniem, lub jękiem bólu, ztąd wy-

chodzi i rozlatuje się po ziemi. Paryż więc jest to olbrzymia pracownia terazniejszości, a ten ruch potężny, który porywa każdego i wplata go w rozmaite koła i kółka tój ogromnej maszyny, gdzie się dzień dzisiejszy wyrabia, zasłania przed oczami wszystkich cały szereg dziejów, i nie pozwala obecnemu pokoleniu pomyśleć o tych naukach, jakie daje historia. Ztąd wszystko, co jest wczorajszem, choćby było wielkiem i podnosiło chwałę narodową, ginie tu prędko w niepamięci, i pojutrze jest już zapomnianem i umarłem. Nie tylko więc rewolucya krwią i gruzami przerwała wszelką nić dawnych tradycyj, ale to dążenie dzisiejsze, ten wir potężny, utrzymujący wszystkich w obecnej chwili i któremu się nikt oprzeć nie może, czyni Francuzów ludźmi bez wspomnień, daje im gorączkową działalność, odbiera możność zadumania się nad tem co było, i seiera z ich życia, myśli i czynów wszelką barwę poetyczną. Jedną jest tylko przeszłość, która im czasem przychodzi na myśl i tę przypomina im ów kolos w szaraczkowym surducie i trójgraniastym kapeluszu, ulany z brązu, i z potężnej kolumny na placu Vendôme patrzący surowo na Paryż, jakby na mrowisko,

które u stóp jego rusza się bez przerwy, bez odpoczynku, a może i bez prawdziwej chwały i wielkości.”

»Ale dość tego tymczasem. Później prześlę ci więcej szczegółów. A jest o czym mówić, bo nie masz miejsca na całym świecie, gdzieby wielkość i małość ludzka wyraźniej się objawiła, gdzieby nauka i sztuka więcej dawała zasobów temu, któryby chciał się jej poświęcić; gdzieby życie dawało więcej przykładów cnoty i występku, pobożności i niewiary, bogactwa i nędzy, moralności i rozpusty, słowem, nie masz miejsca, gdzieby więcej można widzieć, więcej się nauczyć, więcej nabyć głową i sercem i więcej stracić z godności ludzkiej, z sił ciała i zasobów kieszeni. Oczy mi się kleją, sen może mi powtórzy wasze drogic oblicza, może mię przeniesie między was i da zapomnieć, że jeszcze nie prędko obaczę ten kraj, tak biedny pod każdym względem w porównaniu z innymi, ale mający dla mnie skarby, jakich reszta ziemi nie posiada. Bądź więc zdrow, kochany Ignasiu! niech Bóg czuwa nad tobą i prowadzi cię do celu, jakiśś to bież zamierzył.”

Ignas z wzruszeniem odczytał ten list, i z bra-

terską pobłażliwością patrząc na rzucone w nim myśli, nie rozbiérał jak dalece są prawdziwe, ale widząc w nich stronę dla siebie nową, cieszył się tą przedwczesną dojrzałością głowy Eugeniusza i tą biegłością pióra, jaką w uwagach jego i ich wyrażeniu upatrywał. Uśmiechnął się on wprawdzie, czytając to miejsce, gdzie Eugeniusz wspomina o zmianie jego ręki, która się trzęsła, jakby drzewo rąbał lub hyblem strugał; ale w duszy się zasmucił, przewidując, jakie to przyniesie zmartwienie bratu, gdy się dowie, że w rzeczy samej praca hyblem była przyczyną, że pismo jego straciło na piękności i ręka przestała być tak lekką i pewną. To dało mu postanowienie nie uwiadomiania Eugeniusza o prawdziwem swoim położeniu, póki by nie powrócił i nie przekonał się naocznie, że droga, jaką wybrał nie jest tak ponizającą, jakby zdaleka mógł sobie wyobrażać.

Kto inny jednak zrobił to, czego Ignaś oszczędzając nie miłość własną i szlacheckie uprzedzenia brata, ale jego nadzieje, zrobić nie chciał. Choć terminator nasz wiedział, że kasztelan z rodziną swą jest już w Warszawie, nie pokazywał się tam jednak, bojąc się, aby nie był badany,

co robi, jak się kieruje, aby zatém nie był przymuszonym kłamać, gdyż do wyznania prawdy nie czuł w sobie odwagi. Jednej niedzieli, w grudniu, siedział on spokojnie w pokoju hrabiego Adama i rysował, gdy nagle stanął przed stolikiem jego kasztelan, który przybył hrabiego odwiedzić. Ignaś, postrzegłszy go, zmieszał się i zacerwienił, powstał jednak i z uszanowaniem go powitał. Kasztelan zrobiwszy mu wymówkę, że się dotąd nie pokazał, że posyłał po niego na dawne mieszkanie, ale go znaleźć nie mógł, kazał mu przyjść do siebie i zapytał przytém, co tu robi. Bohatér nasz odpowiedział, że w wolnej chwili, z łaski hrabiego, zajmuje się rysunkami technicznymi, które mu się przydać mogą. Na to wyszedł z pokoju swego hrabia, i odczwawszy się z pochwałą o młodym człowieku, którego szczerze polubił, nie oszczędzając miłości własnej kasztelana, objawił mu, jak się cieszy, że młodzież szlachecka zaczyna się wybijać z pod panowania przesądu i bierze się do zawodów, które bez ujmy klejnotowi herbowemu, mogą ją uczynić użyteczną sobie i drugim. Wtedy to kasztelan się dowiedział, że krewny jego kieruje się na stolarza.

Kasztelan miał rozum, wyższe ukształcenie i serce pełne dobroci i szlachetności, a jednak Ignas uważał, że się zaczerwienił, i odwróciwszy się od młodzieńca, który oczekiwał dobrego słówka od człowieka, którego szacował i kochał, wziął pod rękę hrabiego i nie rzekłszy odszedł. Gdy po pół godzinnej wizycie wyszedł znowu, nietylko że zaproszenia swego nie powtórzył, ale nawet nie spojrzawszy na krewnego, który go ścigał oczami, w których łzy się zakręciły, ze schyloną głową spieszenie się oddalił. Ze smutkiem opuścił Ignas mieszkanie hrabiego, a gdy nazajutrz stanął przeddrzwiami kasztelana, lokaj objawił mu bez ogródki, że pani kasztelanowa kazała mu powiedzieć, aby się więcej nie fatygował. Tym sposobem drzwi domu, w którym brat jego znalazł wychowanie, gdzie serce jego spodziewało się znaleźć szczęście całego życia, zostały mu zamknięte za to, że się jał ucziwój pracy, że nie chciał szukać łaski, zebrać pomocy, ale chwycił się drogi, która w mniemaniu oświeconego nawet i szlachetnego człowieka przynieść miała ujme imieniowi, jakie nosił. Dziwna jest siła przesądu i niepojęta ślepotą, która nie pozwala wi-

dzieć fałszu i uprzedzenia w uświęconej przez wiek opinii. Gdyby Ignas miał las i tartak i przerabiał sosny, dęby i jesiony na tarcice; gdyby miał zboże i gorzelnię, i w niej zboże to przerabiał na wódkę, któraby upajała chłopów, nie ubliżyłby swemu nazwisku i nie zrobiłby krzywdy dostojnym swym krewnym. Ale że te same tarcice przerabiał na meble, i zamiast odziedziczonego po przodkach kapitału, wkładał w swój przemysł kapitał kunsztu, nabytego pracą, podniesionego myślą i gustem, popełnił występki, za który ciż krewni ukarali go wzgardą i wyparli się, że do ich krwi i imienia należy. I nie można im bardzo mieć za złe, że sobie jeszcze téj rzeczy dobrze nie wyrozumowali. Nie jeden z nas na ich miejscu uczułby może to samo.

Ignas wkrótce zapomniiał o przykrości, jaką mu obejście się z nim kasztelana sprawiło. Wszakże często jeszcze przychodził mu na myśl Eugeniusz i ta obawa, aby wybór stanu, jaki zrobił, i którego już wyrzec się nie myślał weale, nie odbił się na dalszym kierunku i losie brata, którego tak serdecznie kochał i któremu powodzenia i szczęścia, o jakiem marzył, z całej duszy życzył. Oba-

wy jego nie były próżne. Na początku lutego r. 1842 odebrał on od Eugeniusza list następujący:

»Paryż d. 19 stycznia. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek w życiu pisać do ciebie będę ręką drżącą od żalu i napełnię list mój gorzkimi wymówkami. A przecież dziś zmusza mię do zrobienia ci téj przykrości wiadomość o tém niedorzeczném przedsięwzięciu, które ci nie powinno było przyjść do głowy, gdybyś był pomyślał, że nie sam jesteś na świecie, że każdy krok który czy słusznie czy niesłusznie poniża twoje imie, zlewa to poniżenie na tych wszystkich, którzy to samo imie noszą. Gdyby nas było tylko dwóch, gdybyśmy oba nie byli związani żadnemi stosunkami ze światem wyższym, mającym swoje prawa, którym ulegać i które szanować musi, nie miałbym ci za złe, żeś się mnie nie zapytał, czy mi to nie będzie przykrém, że chcesz być rzemieślnikiem i wejść w koło społeczne, z którego cię wyłącza i urodzenie i wychowanie, jakieś odebrał. Nawet miałbyś prawo niedbać o moje zdanie i nazwać mię przesadnym i głupim, gdybym ucziwą, chociaż niską pracę uważał za jakieś pokrzywdzenie imienia i rodu, i wyrzekł się, lub stronił od brata,

że się nie pnie do urzędu, lub szuka kawałka chleba nie w pługu, ale w hyblu i pile. Ale mógłżeś żądać takiej filozofii po tych, którzy zrosli w innych zupełnie o godności ludzkiej pojęciach, a stali się mojami dobroczyńcami? mógłżeś nie pomyśleć, że twoje postanowienie wpłynie na mój los, odbije się w mojem życiu, zniszczy moje nadzieje? Gdybyś był o nich nie wiedział, przebaczyłbym ci to zapomnienie o mnie; ale znasz je, ale wiesz czém jest dla mnie ich życzliwość, jak czarowny zamek wybudowałem na tém nazwisku, które chciałem podnieść nauką, myślą i pracą, przynoszącą chwałę i rozgłos. To wspólne nasze nazwisko ośmielało jedynie moje serce, ono tylko dawało mi otuchę, że mną nie pogardzą, stanowiło jedyne moje prawa, a tyś je przeniósł na szyld warsztatu! Pomyślałżeś o tém, kochany Ignasiu! że sam, własną ręką rozkopiesz jeszcze bardziej tę przepaść, która mię od niej oddziela?

»Możesz ciekawy, z kąd dowiedziałem się o tém, o czém sam nie śmiałeś mi zapewne donieść? Powiem ci, abys się przekonał, że moje obawy nie są rzeczą czezą, na niczém nicopartą, że to nie są widziadła mojej własnej głowy, któremi się

straszę, i które na przyszłość moją ponurę zasuwają zasłonę. Wczoraj Staś, w którego sercu rozrasta się duma matczyzna, jak polip zalegający wszystkie jego zakąty, wszedł do mnie zapierzony, rzucił mi przed nos list matki i rzekł czerwieniąc się od gniewu: »Przeczytaj to i dowiedz się, jak się nam braciszek twój przysłużył. Tego tylko jeszcze brakowało, żebyśmy w imieniu i rodzie naszym mieli krawców i szewców.»— Nie wiedziałem co to znaczy, co na to odpowiedzieć, a gdy ów towarzysz mojej młodości, od którego wszystko coraz bardziej mię odpycha, wszedł, znalazłem w liście kasztelanowej następujące słowa: »Ojciec wasz doznał w tych dniach wielkiego zmartwienia, dowiedziawszy się, że brat Eugeniusza zapisał się do cechu stolarskiego, uczy się tego rzemiosła, i kompromituje i poniewiera to nazwisko, jakie nosicie. Łatwo pojmiesz, jakiem mię to przejmuje oburzeniem. Staralam się ile możności imię to, które stało się i mojem, podnieść i ozdobić, aby lepiej odpowiadało temu, jakie dobrowolnie utraciłam. Aż tu czy płochość, czy głupstwo młodzika, który nie tylko do imienia, ale i do rodziny waszej należy, obryzguje błotem z ulicy tę

tarczę, nie zbyt wprawdzie świetną, ale przynajmniej wolną dotąd od tych podłych znamion i narzędzi, które tylko ręka gminu piastować powinna. Nie mamże prawa mieć żal do waszego ojca, że gołych krewnych swych zbliżył do siebie, że dał poznać tym, z którymi żyjemy, iż Zabuzscy są nie tylko pod strzechą szlacheckiej chałupy, ale mogą także być i pomiędzy czeladzią stolarskiego warsztatu. Bo nie myśl, aby to krzywdzące nas postanowienie brata Eugeniusza było sekretem. Hrabia Adam wie o tém, chłystka tego proteguje i równie przed ojcem waszym, jak zapewne i przed innymi wychwala jego determinacją, którą uważa za jakiś postęp, mający być użytecznym krajowi. Nie wiem, czy Eugeniusz wie o tym mniemanym heroizmie swojego brata, o którym bez zarumienienia się i gniewu myśleć nie mogą. Jeżeli się to stało za jego wiedzą i przyzwoleniem, to powiedz mu, że mi się niewdzięcznością wypłacił za te dobrodziejstwa, jakie od ojca waszego odebrał, a których nie otrzymałby był pewnie, gdybym była nie przyzwoliła na danie mu wychowania wespół z tobą, na koszt takiej podróży, która go oświeci i wyższy może mu nadać kieru-

nek, na uwolnienie go od służby wojskowej, o czém może nie wie, gdyż niedawno daliśmy za niego zastępcę i tym sposobem otworzyliśmy mu szeroką drogę, po której może już iść swobodnie i starać się o zyskanie stanu, któryby odpowiadał jego zdolnościom i imieniowi, które brat jego rzucał między gawiedź miejską, walającą się po warsztatach i szynkach. Sądzę jednak i przekonana jestem, że się to stało bez wiedzy Eugeniusza. W przeciwnym razie musiałabym was natychmiast rozdzielić i nie zniósłabym, aby towarzyszem twoim był człowiek, który tak dalece zapomniał o stosunku, jaki go łączy z nami, że nie odradził i nie wzbronił bratu zajęcia, czyniącego go niegodnym nazwiska, jakie nosi, a tym bardziej tego pokrewieństwa, które mię zawsze upokarzało, a dziś staje się dla was wszystkich, a cóż dopiero dla mnie, nieskończenie przykrém i zawstydzającym." Patrz tedy Ignasiu! w jakiem mię postawiłeś położeniu, na jakie naraziłeś mię wymówki, jak gorzkim zrobiłeś mi ten chleb, który z ich łaski pożywam. Gdybym miał o czém, powróciłbym natychmiast do kraju, aby uniknąć wyrzutów, które mnie spotykają po raz pierwszy od

kobięty, której winienem wszystko, która jest jej matką, i którą już przez ten wzgląd zamykający w sobie całą treść mojego zycia, obrażać i brawować nie mogę. Ale gdzież znajdę środki na dogodzenie tej ambicyi, którą w tej chwili poczuwam, i czy powinienem okazywać się im niewdzięcznym za to, co mi już dali, gardząc tem co mi dać mają i schodząc z tej drogi, jaką mi ich zyczliwość utoruje? Nie dziw się więc, że mnie położenie moje zmusza powiedzieć prawdę, że o postanowieniu twém nie wiedział i że go nie aprobuję weale. Gdybyś mógł zajrzeć do mego serca, widziałbyś ile mię kosztuje ten krok niekezemny, gdyż mam go za taki, gdyż dla ocalenia ich względów wypieram się niejako ciebie, nie śmiem utrzymać cię w twojem prawie rozrządzenia sobą i stanowczo powiedzieć, żeś dobrze zrobił. Ale wiesz, jaka postać staje w tej chwili przedemną, jakie są nadzieje i mary, które lękam się utracić i rozwiać słowem, któreby ci może więcej miłości braterskiej dowiodło. O Ignasiu! czyś to dobrze zrobił dla siebie, tego nie wiem; ale z bolem serca robię ci tę ostatnią wymówkę, że dogadzając swojej skłonności, którą od twoich

lat dziecinnych w tobie widziałem, zapomniałeś o bracie, który jednak kocha cię serdecznie, w którego piersiach miłość braterska bierze górę nad żalem, i który za powrotem swym, bądź tego pewnym, przyciśnie do serca twoją rękę, chociaż je tak boleśnie zraniła.”

Łatwo sobie wyobrazić jakiem zmartwieniem list ten napełnił biednego bohatera naszego. Przez kilka dni chodził znękany i przybity. Ani praca którą polubił, i która w miarę postępu, jaki w niej czynił coraz bardziej go zajmowała, ani serdeczne współczucie kochanki i przyjaciół, którzy mu perswadowali, że brat nie może odpowiadać za brata, że to krzywda urojona, którą ludzie rozumni w pierwszym tylko uczuli momencie, i prędko o niej zapomną, pocieszyć go nie mogły. Ciągłe stał mu w myśli Eugeniusz, zważywszy w swoich nadziejach, i jemu przypisujący tę boleść, jeżeli z temi nadziejami, które i bez téj okoliczności żadnej nie miały zasady, rozstać się będzie musiał na zawsze. W tém smutném położeniu, przypadek, sprowadzony zapewne przez tę rękę opatrzną, która czuwa nad cierpiącymi i upadającymi na duchu, przyniósł mu pociechę i umocnienie.

Jednej niedzieli przy końcu lutego, o godzinie dziewiątej rano, szedł Ignas Lesznem, dając do ustronnego kościoła Karmelitów, którego jeszcze nie znał. Już był niedaleko, gdy postrzegł ze schodków kościoła schodzącą jakąś młodą osobę w bogatej szubce i mającą za sobą lokaja w znanej mu liberyi. Pani ta zatrzymała się przez chwilę przy ganeczku kościelnym i znajdującym się tam ubogim rozdała jałmużnę. Przez ten czas Ignas miał czas przypatrzeć się i poznał w niej P. Jadwigę. Serce mu uderzyło na ten widok i dziękował P. Bogu za to spotkanie, w tém przekonaniu, że kobieta, o której tak wysokie miał wyobrażenie, wiedząca zapewne, co groziło Eugeniuszowi z jego powodu, nie pominie go nie poznawszy, wejrzeniem współzucia i słowem pociechy umocni go i pokrzepi. Stał więc tak, aby go widzieć mogła, a gdy się zbliżyła, ukłonem pełnym uszanowania starał się zwrócić na siebie jej uwagę. P. Jadwiga spójrzawszy nań bystro, przystąpiła prędkiej i rzekła:

— Jakże to dobrze że pana spotykam. Wiem dla czego pan u nas nie bywasz. Niech to pana nie martwi i nie zniechęca. Mówiłam już o tém

z moim ojcem, któremu z początku postanowienie pana było przykrém. Dziś widzi on to dobrze, że nie ma prawa tamować panu téj drogi, na której prędzej i pewniej dojdziesz do dobrego i niezależnego bytu. Byłam obecną przy jednéj rozmowie o panu mojego ojca z hrabią Adamem, w którym pan masz szczérego i światłego protektora. Trwaj pan w swojém przedsięwzięciu, P. Ignacy. Jeżeli się to panu na co przyda, to powiem panu, że ja podzielałam zupełnie przekonanie hrabiego.

—O dziękuję pani za to słowo pociechy i umocnienia — odpowiedział Ignaś głosem drżącym, w którym się wzruszenie jego malowało. — Gdym tu panią obaczył, pomyślałem zaraz że mi Bóg zesłał tę chwilę, której od dawna pragnąłem.

— Miałeś pan list od Eugeniusza? — zapytała ciszéj, idąc ku domowi.

— Biedny Eugeniusz! — rzekł Ignaś—niechcący przyczyniłem mu zmartwienia i nabawiłem go trwogą, aby przeze mnie łaski dobroczyńców swych nie utracił.

— Napisz mu pan, niech będzie dobréj myśli— odpowiedziała idąc prędzej, jakby chciała odsunąć

się od służki, który był tuż za nią— Moja matka może mu zrobi jaką wymówkę, mój brat może go zmartwi kiedy jakim przekąsem, ale serce mojego ojca znajdzie nie zmienioném; a mnie... mnie Eugeniusz zna zapewne i wie, co zastanie jak wróci.

To powiedziawszy głosem stłumionym przez wyraźne i wrywające się mimo jej woli uczucie, kiwnęła mu głową i poszła prędko, jakby mu chciała dać poznać, aby już dalej nie szedł za nią i przestał na tém co powiedziała. I było to zapewne dostatecznym dla znękanego ciężkimi myślami młodzieńca. Pobiegł on do kościoła, tam upadł na kolana i podziękował Bogu za ten jasny promień, który na mgłę jego myśli spuścił. Wzręziony modlitwą, umocniony tą pociechą, jaką mu dało to przekonanie, że ta istota dla której taką cześć powziął, w żadnym zdarzeniu nie zstąpi z tej wysokości, na której ją miłość Eugeniusza i jego własna myśl postawiły, opisał zaraz bratu swoje spotkanie, i cały ten dzień przepędziwszy wesóło w gronie tych, co go kochali, śmielej odtąd patrzył w przyszłość i nie żałował postanowienia, które go chwilowo tak wielką napełniło boleścią.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



F

1546

3-4